MŁODY SAMURAJ

DROGA WOJOWNIKA

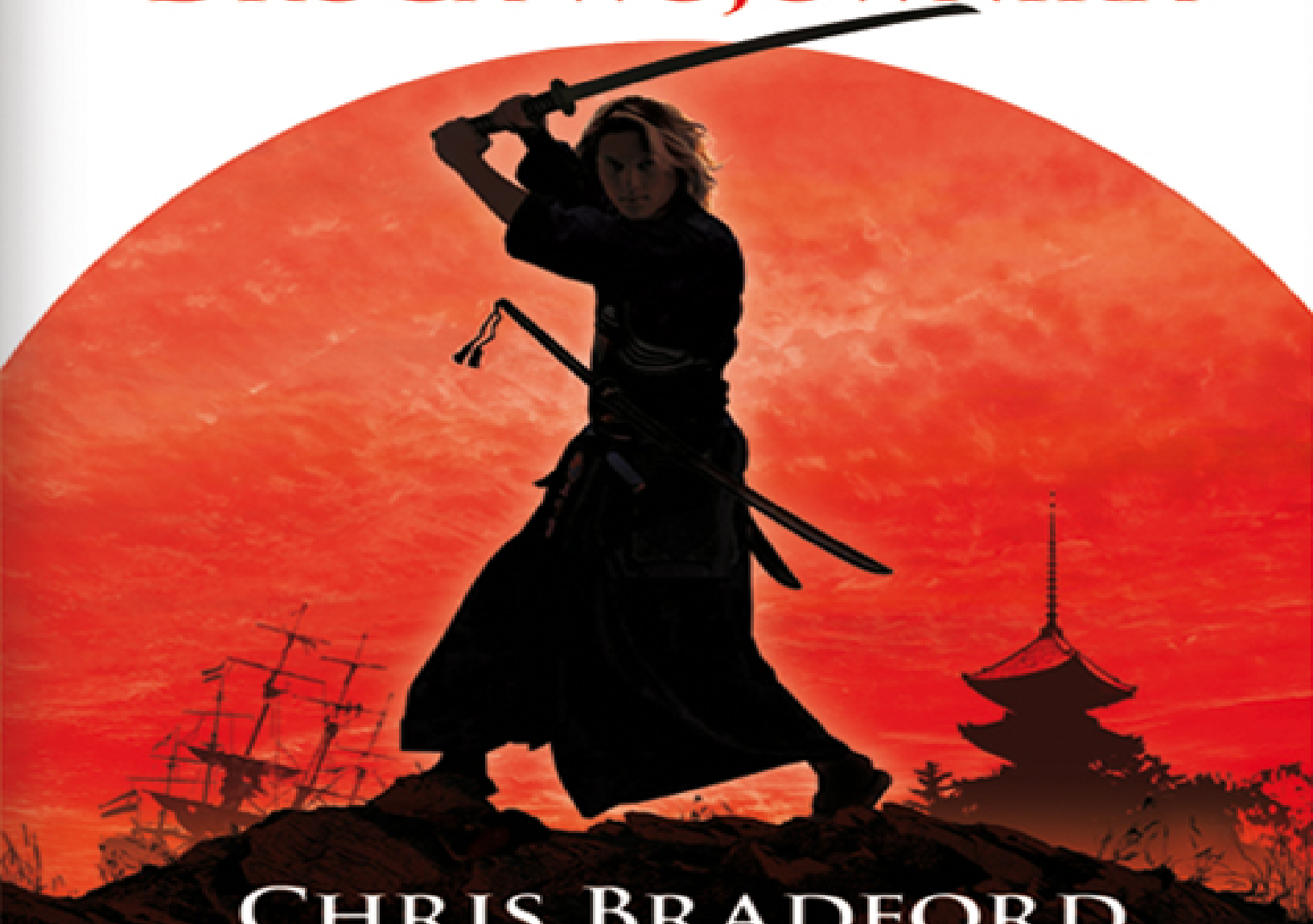

CHRIS BRADFORD

NASZA KSIĘGARNIA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

DROGA WOJOWNIKA

Przełożyła
Hanna Pasierska

CHRIS BRADFORD

NASZA KSIĘGARNIA

Młody samuraj Droga wojownika

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Zajrzyj na strony:

W serii Młody samuraj:

Mapa

Prolog – Masamoto Tenno

1 Ognista kula

2 Majtek

3 Pomiędzy diabłem a bezdennym oceanem

4 Kraj wschodzącego słońca

5 Cienie wśród nocy

6 Gorączka

7 Samuraj

8 Ofuro

9 Kimona i pałeczki

10 *Abunai!*

11 Sencha

12 Pojedynek

13 Ojciec Lucius

14 Wezwanie

15 Yamato

16 Bokken

17 Gaijin

18 Do trzech zwycięstw

19 Powrót Masamoto

20 Akiko

21 Niten Ichi Ryū

22 Droga Tokaido

23 Butoku-den

24 Sensei

25 Roztaczający blask

26 Pokonać miecz

27 Powód, by trenować

28 Lalka Daruma

29 Sensei Kyuzo

30 Trafić do celu

31 Wojna Kazukiego

32 Przyjęcie hanami

33 Taryu-Jiai

34 Tajemnica Yamady

35 Podmiana

36 Demon i motyl

37 Jadeitowy Miecz

[38 Wodospad Szelest Piór]

39 Przeprosiny

40 Pozostać na ścieżce

41 Gion Matsuri

42 Dokugan Ryu

43 Kendo – droga miecza

Informacje na temat źródeł

Podziękowania

Uwagi o języku japońskim

Poznaj Chrisa

Najskuteczniejsze techniki sztuk walki używane przez przez Jacka

Przeczytaj również

Karta redakcyjna

Zajrzyj na strony:

www.mlodysamuraj.pl
www.nk.com.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

Znajdź nas na Facebooku
www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia

W serii Młody samuraj:

Droga wojownika
Droga miecza
Droga smoka
Krąg ziemi

W przygotowaniu:

Krąg wody

Mojemu ojcu

Mapa

CHINY
KARAFUTO
OCEAN
KOREA
CHIŃSKI
NAGASAKI
KIOTO
EDO
IOBA
JAPONIA
XVIII
WIEK
MORZE
JAPOŃSKIE
DROGA TOKAIDO

Prolog – Masamoto Tenno

Kioto, Japonia, sierpień 1609

Chłopiec przebudził się gwałtownie.

Chwycił miecz.

Ledwie śmiał oddychać, wyczuwając, że w pokoju jest jeszcze ktoś. Kiedy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, rozejrzał się, wypatrując intruza. Nic jednak nie dostrzegł prócz cieni pośród cieni i widmowego światła księżyca, sączącego się przez półprzejrzyste papierowe ściany. Pewnie mu się zdawało... Instynkt samuraja ostrzegał jednak, że tak nie jest.

Tenno z napięciem nasłuchiwał najcichszego dźwięku, sygnału świadczącego, że w pokoju jest nieproszony gość. Nie dobiegło go jednak nic niepokojącego. Powiała lekka bryza, a drzewa wiśni w ogrodzie zaszeleściły cicho niczym jedwab. Słyszał znajomy szmer wody ściekającej z niewielkiego źródła do stawu z rybkami, gdzieś w pobliżu cykada ćwierkała wytrwale jak każdej nocy. W pozostałej części domu panowała cisza.

Zareagował zbyt nerwowo... To tylko zły duch *kami* zakłócił jego sny, wytłumaczył sobie.

Przez ostatni miesiąc wszyscy w gospodarstwie Masamoto odczuwali napięcie z powodu plotek o wojnie. Wspominano o buncie, a ojca Tenny wezwano pod broń, na wypadek gdyby trzeba było stłumić powstanie. Pokój, jakim Japonia cieszyła się przez ostatnich pięć lat, był zagrożony, i mieszkańcy obawiali się kolejnej wojny. Nic dziwnego, że chłopiec miał napięte nerwy.

Tenno się odprężył i na powrót ułożył do snu na futonie. W tej samej chwili cykada zaćwierkała trochę głośniej i dłoń chłopca zacisnęła się na rękojeści miecza. Ojciec powiedział mu kiedyś: „Samuraj powinien zawsze słuchać swego instynktu", a instynkt podpowiadał Tenno, że coś jest nie w porządku.

Podniósł się z materaca, by to sprawdzić.

Naraz z ciemności wyprysnęła srebrna gwiazdka.

Tenno uchylił się, lecz o sekundę za późno.

Shuriken zranił go w policzek, po czym wbił się głęboko w futon, gdzie przed momentem spoczywała głowa chłopca. Przetaczając się, Tenno czuł, jak gorąca krew szybko spływa mu po twarzy. Potem usłyszał stuk drugiego shurikena uderzającego o wyścieloną *tatami* podłogę, i jednym płynnym ruchem zerwał się na nogi, unosząc miecz do obrony.

Z cieni niczym duch wynurzyła się postać od stóp do głów odziana w czerń.

Ninja! Nocny zabójca!

Z opanowaniem, bez pośpiechu ninja wysunął z pochwy *saya* groźnie wyglądającą klingę. W odróżnieniu od długiego, wygiętego

miecza katana należącego do chłopca, tantō napastnika był krótki, prosty i idealnie się nadawał do pchnięć.

Ninja w milczeniu zbliżył się o krok i uniósł broń; ludzka kobra gotowa do ataku.

Tenno, uprzedzając natarcie, ciął mieczem z góry. Ninja jednak zręcznie wyminął ostrze, zawirował w miejscu i kopnął chłopca w pierś.

Pchnięty gwałtownie, Tenno roztrzaskał *shoji*, papierowe drzwi swego pokoju, i wypadł w noc. Wylądował ciężko pośrodku wewnętrznego ogrodu, w oszołomieniu starając się złapać oddech.

Ninja wyskoczył przez wybity otwór i niczym kot wylądował przed chłopcem.

Tenno próbował zerwać się do obrony, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zdawały się zdrętwiałe i bezużyteczne. W panice próbował zawołać o pomoc – lecz ze spuchniętego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Paliło niczym ogień; zamiast krzyczeć, bezowocnie próbował chwytać powietrze.

Postać ninja się rozmyła, a potem rozpłynęła w chmurze czarnego dymu.

Chłopcu pociemniało w oczach; zrozumiał, że shuriken zanurzono w truciźnie, która teraz paraliżuje jego członki. Ciało szybko ulegało zabójczej sile; Tenno leżał zdany na łaskę przeciwnika.

Oślepiony, nasłuchiwał kroków mordercy, lecz dolatywało go jedynie ćwierkanie cykady. Przypomniał sobie, jak ojciec wspominał kiedyś, że ninja wykorzystują nawoływanie tych owadów, by zamaskować odgłosy swoich ruchów. To w ten sposób zabójca prześlizgnął się niezauważony przez straże!

Wzrok wrócił Tenno na chwilę i w słabym blasku kurczącego się księżyca pojawiła się przed nim zasłonięta twarz. Ninja przysunął się tak blisko, że chłopiec poczuł gorący oddech zabójcy, kwaśny i zwietrzały niczym tania saké. Przez szparę w kapturze *shinobi shozoku* zobaczył jedno jedyne, lśniące nienawiścią szmaragdowe oko.

– Oto wiadomość dla twojego ojca – syknął ninja.

Tenno poczuł nagle śmiertelnie zimne ostrze tantō nad swoim sercem.

Jedno gwałtowne pchnięcie i całe jego ciało przeszył ból palący niczym ogień...

A potem już nic...

Masamoto Tenno odszedł w wielką pustkę.

1

Ognista kula

Pacyfik, sierpień 1611

Chłopiec gwałtownie się przebudził.

– Wszyscy na pokład! – ryknął bosman. – To oznacza, że ty też, Jack!

Spalona słońcem twarz marynarza majaczyła w ciemnościach nad chłopcem, który pośpiesznie wyskoczył z kołyszącego się hamaka na deski środkowego pokładu statku.

Jack, choć miał dopiero dwanaście lat, był wysoki na swój wiek, szczupły i muskularny po dwóch latach spędzonych na morzu. Oczy, przesłonięte niesforną czupryną słomianoblond włosów odziedziczonych po matce, miały kolor lazurowy i błyszczały dorosłą determinacją oraz energią.

Marynarze, znużeni długim rejsem na pokładzie Alexandrii, ciężko zeskakiwali z koi i przepychali obok niego, śpiesznie zmierzając na górny pokład. Jack rzucił bosmanowi pełen nadziei, przepraszający uśmiech.

– Ruszaj się, chłopcze – burknął tamten.

Naraz rozległ się ogłuszający huk, a potem trzask drewna i Jack potoczył się na pokład. Niewielki kaganek zawieszony u belki stropowej brudnej ładowni zakołysał się gwałtownie, płomień zatańczył.

Chłopiec wylądował wśród pustych butelek po grogu, roztrącając je po kołyszących się deskach pokładu. Próbował się podnieść, a tymczasem inni obrośnięci brudem, wychudzeni członkowie załogi, potykając się, wymijali go w migotliwym półmroku. Czyjaś dłoń chwyciła go za koszulę na plecach i postawiła na nogi.

Był to Ginsel.

Niski, przysadzisty Holender uśmiechnął się do Jacka, ukazując komplet połamanych, nierównych zębów, nadających mu wygląd wielkiego białego rekina. Mimo surowej powierzchowności marynarz zawsze odnosił się do chłopca życzliwie.

– Kolejny sztorm daje nam w kość, Jack. Zdaje się, jakby samo piekło otwarło podwoje! – rzucił. – Lepiej pędź na pokład dziobowy, zanim bosman dobierze ci się do skóry.

Chłopiec, śpiesznie wspiąwszy się zejściówką w ślad za nim i pozostałymi marynarzami, wynurzył się w samym sercu sztormu.

Przerażające czarne chmury mknęły po niebie, a utyskiwania marynarzy natychmiast ginęły w bezlitosnym wietrze targającym olinowaniem statku. W nozdrza chłopca uderzył ostry zapach morskiej soli, lodowaty deszcz smagał go po twarzy, kłując niczym tysiące drobnych igieł. Zanim jednak zdołał to wszystko spostrzec, statkiem zakołysała fala olbrzymia niczym góra.

Pokład spłynął spienioną wodą morską i Jack w mgnieniu oka przemókł do suchej nitki. Woda kaskadami wylewała się przez spływniki, a kiedy chłopak próbował nabrać tchu, po deskach przetoczyła się z rykiem następna fala. Ta, gwałtowniejsza od poprzedniej, przewróciła Jacka; cudem zdołał się chwycić relingu, by go nie zmyła za burtę.

Ledwie stanął na nogach, poszarpana błyskawica przemknęła przez nocne niebo i uderzyła w główny maszt. Na krótką chwilę cały statek zalało upiorne światło. Handlowy oceaniczny trójmasztowiec ogarnął chaos. Członkowie załogi leżeli rozrzuceni po pokładzie niczym kawałki drewna wyrzucone przez fale. Wysoko na rei grupa żeglarzy walczyła z wiatrem, próbując zrzucić grotżagiel, zanim sztorm go podrze albo – co gorsza – przewróci cały statek.

Na pokładzie rufówki trzeci oficer, dwumetrowy olbrzym z ogniście rudą brodą, zmagał się z kołem sterowym. Obok niego stał kapitan Wallace, surowy mężczyzna, i wykrzykiwał komendy do swoich ludzi, lecz na próżno, bo wiatr porywał jego słowa, nim ktokolwiek zdołał je usłyszeć.

Oprócz nich jedynym człowiekiem na pokładzie rufówki był wysoki i silny marynarz o ciemnobrązowych włosach związanych na karku kawałkiem cienkiej liny. To był ojciec Jacka, John Fletcher, pilot Alexandrii; oczy utkwił w horyzont, jak gdyby miał nadzieję przebić wzrokiem sztormowe chmury i wyszukać za nimi bezpieczny ląd.

– Wy wszyscy! – rozkazał bosman, wskazując Jacka, Ginsela i dwóch innych członków załogi. – Na górę i postawić topsel. Już!

Natychmiast skierowali się na dziób, lecz kiedy przechodzili przez główny pokład w kierunku fokmasztu, nie wiadomo skąd spadła ognista kula – prosto na Jacka.

– Uważaj! – krzyknął jeden z marynarzy.

Chłopiec, który w czasie rejsu przeżył już kilka poważnych ataków wroga, uchylił się instynktownie. Poczuł podmuch gorącego powietrza i usłyszał cichy świst, gdy ognisty pocisk przeleciał obok i spadł na pokład. Uderzenie nie przypominało jednak odgłosu kuli armatniej: nie dobiegł ich przerażający trzask żelaza wbijającego się w drewno. Zabrzmiało głucho i tępo, jak gdyby spadła bela płótna. Jack z odrazą i przerażeniem spojrzał na przedmiot leżący teraz u jego stóp.

To nie ognista kula.

To były płonące zwłoki jednego z marynarzy, zabitego przez piorun.

Chłopiec stał jak wrośnięty w ziemię, czując mdłości wzbierające w żołądku. Twarz zmarłego wykrzywiał ból i była tak zniekształcona ogniem, że Jack nie mógł nawet rozpoznać rysów.

– Święta Mario, Matko Boża! – wykrzyknął Ginsel. – Nawet niebiosa są przeciwko nam!

Zanim jednak zdołał coś powiedzieć, kolejna fala przelała się przez reling i zmyła zwłoki do morza.

– Jack, trzymaj się mnie! – rozkazał marynarz, widząc szok na twarzy chłopca. Chwycił go za rękę i pociągnął w kierunku fokmasztu.

Jack jednak stał jak wmurowany. Wciąż czuł odór zwęglonego ciała zmarłego marynarza, przypominający swąd świni przypalonej na rożnie.

W żadnym razie nie była to pierwsza śmierć, jaką oglądał podczas rejsu, i wiedział też, że nie ostatnia. Ojciec ostrzegał, że rejs przez Atlantyk i Pacyfik będzie najeżony niebezpieczeństwami. Chłopiec oglądał marynarzy umierających z powodu odmrożeń, szkorbutu, gorączki tropikalnej, ran od noża i kul armatnich. Lecz zetknięcie się ze śmiercią nie znieczuliło go na jej grozę.

– Chodźże, Jack – ponaglił Ginsel.

– Modliłem się za niego – wyjaśnił po chwili chłopiec. Wiedział, że powinien iść za marynarzem i resztą załogi, jednak teraz potrzeba bycia z ojcem przeważyła nad poczuciem obowiązku.

– Dokąd to? – wrzasnął Ginsel, kiedy Jack rzucił się w stronę rufówki. – Jesteś potrzebny na maszcie!

Chłopiec jednak nie baczył na sztorm i walcząc desperacko, próbował dotrzeć do ojca, podczas gdy statek kołysał się i przetaczał z burty na burtę.

Ledwie dotarł do bezanmasztu, gdy następna gigantyczna fala natarła na Alexandrię. Była tak potężna, że zbiła Jacka z nóg i zmyła przez całą długość pokładu aż do relingu na lewej burcie.

Statek znowu zanurkował; chłopiec przeleciał nad burtą i wpadł do mrocznej kipieli oceanu...

2

Majtek

Jack przygotował się na śmiertelne uderzenie o powierzchnię morza, lecz nieoczekiwanie coś szarpnęło jego ciałem i stwierdził, że zwisa za burtą, a wzburzony ocean faluje pod nim.

Podniósłszy wzrok, zobaczył wytatuowaną dłoń mocno zaciśniętą na swoim nadgarstku.

– Nie bój się, chłopcze, trzymam cię! – stęknął jego wybawca, kiedy na spotkanie Jacka uniosła się fala, próbując go znowu wciągnąć pod powierzchnię. Zdawało się, że kotwica wytatuowana na przedramieniu marynarza wygina się pod ciężarem i Jack poczuł, iż jego własne ramię omal nie wyskoczyło ze stawu, gdy bosman wciągał go z powrotem na pokład.

Chłopak padł bezwładnie u stóp marynarza, wymiotując morską wodą.

– Będziesz żył. Urodzony z ciebie marynarz jak z twojego ojca, chociaż ciut bardziej zalany. – Bosman wyszczerzył zęby. – A teraz odpowiadaj, chłopcze! Coś ty chciał zrobić?

– Ja... biegłem z wiadomością dla ojca.

– Nie taki wydałem rozkaz. Kazałem ci zostać na pokładzie! – krzyknął mu prosto w twarz. – Możesz sobie być synem pilota, ale to cię nie uchroni przez batami za niesubordynację! A teraz jazda na fokmaszt, wyswobodzić żagiel, albo zrozumiesz, co to jest kot!

– Niech cię licho, bosmanie! – mruknął Jack i szybko ruszył w stronę pokładu dziobowego, świadomy, że miał wielkie szczęście. Kot o dziewięciu ogonach nie był czczą groźbą. Bosman karał chłostą innych marynarzy za wykroczenia znacznie mniej poważne niż niewykonanie rozkazu.

Mimo to zawahał się, kiedy dotarł na dziób. Fokmaszt był wyższy od kościelnej wieży i chwiał się dziko pośród sztormu. Palce tak już zgrabiały chłopcu z zimna, że nie czuł dotyku lin, a przemoczone ubranie stało się ciężkie i krępowało ruchy. Kłopot w tym, że im dłużej zwlekał, tym bardziej marzł i wkrótce jego kończyny zesztywnieją za bardzo, by mógł im zaufać.

„No, śmiało – przekonywał sam siebie. – Starczy ci odwagi".

W głębi duszy wiedział jednak, że to nieprawda. W rzeczywistości był śmiertelnie przerażony. Podczas długiego rejsu z Anglii na Wyspy Korzenne zdobył sobie opinię jednego z najlepszych majtków pracujących z olinowaniem. Lecz jego umiejętność wspinania się na maszty, naprawiania żagli i rozplątywania lin na wielkiej wysokości nie brała się z pewności siebie ani wprawy – zrodziła się z czystego strachu.

Jack spojrzał w sztorm. Niebem zawładnęły wiatr i chaos, ciemne burzowe chmury przemykały przez bladą tarczę księżyca. W mroku ledwie potrafił dostrzec Ginsela i resztę załogi na wantach. Maszt poruszał się tak gwałtownie, że ludzie kołysali się niczym jabłka strząsane z drzewa.

„Nie bój się życiowych sztormów” – przypomniał sobie rady ojca w dniu, kiedy polecono mu pierwszy raz wspiąć się do bocianiego gniazda. „Każdy musi się nauczyć kierować własnym statkiem bez względu na pogodę”.

Pamiętał też, jak obserwował nowicjuszy próbujących przerażającej wspinaczki. Każdy z nich albo trwał skamieniały ze strachu, albo wymiotował na marynarzy w dole. Zanim nadeszła kolej Jacka, wiatr bardzo przybrał na sile i olinowanie dygotało prawie tak rozpaczliwie jak jego własne nogi.

„Za każdym razem, kiedy stawiamy czoło strachowi, zyskujemy dzięki temu siłę, odwagę i pewność siebie – rzekł wtedy ojciec i z miłością ścisnął go za ramiona, dodając mu otuchy. – Wierzę w ciebie, synu. Potrafisz to zrobić”.

Przekonany wiarą, jaką pokładał w nim ojciec, wspiął się na olinowanie i nie spojrzał w dół dopóty, dopóki nie przelazł nad krawędzią bocianiego gniazda i nie znalazł się bezpiecznie w środku. Wyczerpany, lecz szczęśliwy, krzyknął z zachwytem do ojca, maleńkiego jak mrówka, na odległym pokładzie w dole. Strach prowadził go całą drogę aż na sam szczyt. Zejście było zupełnie innym wyzwaniem...

Zanim miał stracić tę odrobinę odwagi, jaka mu pozostała, Jack chwycił się olinowania i się podciągnął. Szybko wpadł w zwykły rytm; powtarzanie dobrze znanych ruchów podniosło go nieco na duchu. Szybko zyskiwał wysokość, aż zobaczył białe grzywy fal uderzających o statek. One jednak nie stanowiły już zagrożenia. Był nim bezlitosny wiatr. Przerażające podmuchy ze wszystkich sił starały się cisnąć Jacka w noc, lecz kulił się instynktownie i piął dalej. Wkrótce stanął na noku rei obok Ginsela.

– Jack! – ryknął marynarz; wyglądał na wyczerpanego, oczy miał zapadnięte i nabiegłe krwią. – Jeden z fałów się splątał. Nie możemy zwinąć żagla. Musisz odczepić fał.

Chłopiec spojrzał w górę i zobaczył gruby sznur zaplątany w olinowanie bramstengi; blok i talia groźnie miotały się na wietrze.

– Chyba pan żartuje! Dlaczego ja? A co z innymi? – krzyknął chłopiec, ruchem głowy wskazując dwóch skamieniałych marynarzy, ze wszystkich sił wczepionych w drugi koniec rei.

– Poprosiłbym twego przyjaciela Christiaana – odparł Ginsel, zerkając na drobnego dwunastoletniego Duńczyka, w którego mysich oczach czaił się strach – ale on się nie nazywa Jack Fletcher. Jesteś naszym najlepszym majtkiem.

– Przecież to samobójstwo... – zaprotestował chłopiec.

– Podobnie jak żeglowanie dokoła świata, a jednak tego dokonaliśmy! – odparł Ginsel, próbując uśmiechnąć się zachęcająco, lecz rekinie zęby sprawiły, że wyglądał jedynie jak szaleniec. – Nie ma mowy, żeby bez tego topsla kapitanowi udało się uratować statek. Trzeba to zrobić, i ty się tym zajmiesz.

– W porządku – odrzekł chłopiec, widząc, że nie ma wielkiego wyboru. – Ale oby był pan gotowy mnie złapać!

– Wierz mi, braciszku, nie chciałbym cię teraz stracić. Obwiąż się w pasie tą liną. Ja chwycę drugi koniec. I lepiej weź mój nóż. Będziesz musiał przeciąć fał.

Jack zawiązał mocno linę i zacisnął w zębach topornie wykonane ostrze. Potem wspiął się po maszcie na bramstengę. Wykorzystując olinowanie, ostrożnie wędrował w górę, w kierunku zaplątanego fału.

Posuwał się teraz bardzo powoli, wiatr szarpał go tysiącem niewidzialnych dłoni. Kiedy zerknął w dół, ledwie zdołał dojrzeć ojca daleko w dole na pokładzie rufówki. Przysiągłby, że w pewnej chwili tato do niego pomachał.

– Uważaaaaj! – ostrzegł Ginsel.

Jack obejrzał się i zobaczył, jak luźny blok oraz talia lecą z wiatrem wprost ku jego głowie. Rzucił się w bok, by się przed nimi uchylić, ale równocześnie jego dłonie straciły uchwyt i zsunął się z drzewca.

Spadając, próbował się złapać olinowania – pochwycił luźny fał. Ręce zsunęły mu się po linie, a szorstkie konopie głęboko poraniły dłonie. Mimo palącego bólu jakimś cudem nie wypuścił liny.

Zawisł w powietrzu, miotany wiatrem.

Morze. Statek. Żagiel. Morze. Wszystko wokół wirowało.

– Nie bój się! Trzymam cię! – zawołał Ginsel, przekrzykując sztorm.

Napiął sejzing przymocowany do bramstengi i pociągnął Jacka w jej kierunku. Chłopiec sięgnął w górę nogami i chwycił się drzewca, a potem podciągnął do pozycji siedzącej. Trwało parę chwil, zanim uspokoił oddech, wciągając powietrze przez zęby wciąż zaciśnięte na nożu Ginsela.

Kiedy palący ból w dłoniach osłabł, podjął boleśnie powolną wspinaczkę po drzewcu. Na koniec zaplątany fał znalazł się parę cali od jego twarzy. Jack wyjął nóż z zębów i zaczął ciąć namokłą linę. Nóż jednak okazał się zbyt tępy; dopiero po kilku próbach nici zaczęły się rozrywać. Palce chłopca skostniały z zimna, nóż ślizgał się niezgrabnie w zakrwawionych dłoniach. Podmuch wiatru szarpnął Jackiem na boki, a kiedy chłopiec starał się

mocniej przytrzymać, ostrze wysunęło się z dłoni i odleciało w burzę.

– Nieeee! – krzyknął, na próżno wyciągając rękę.

Załamany niepowodzeniem, odwrócił się do Ginsela.

– Przeciąłem sznur ledwie w połowie! Co robić?

Ginsel, z liną ratowniczą w ręce, gestem rozkazał mu wracać, lecz kolejny podmuch zarzucił Jackiem tak silnie, że chłopiec byłby przysiągł, iż statek wpadł na mieliznę. Maszt zadrżał w posadach, topsel zatrzepotał, napierając na fał. Osłabiona cięciami noża lina trzasnęła niczym łamana kość, żagiel rozwinął się i z ogłuszającym hukiem wypełnił wiatrem.

Żaglowiec pomknął naprzód.

Ginsel i pozostali marynarze krzyknęli radośnie, Jack zaś nabrał ducha, widząc nagłą odmianę fortuny.

Lecz nie trwała długo.

Rozwijając się, żagiel cisnął blokiem i talią o maszt; odbiły się i niczym kamień poleciały w stronę Jacka – tym razem nie miał się gdzie ukryć.

– Skacz! – ryknął Ginsel.

3

Pomiędzy diabłem a bezdennym oceanem

Jack wypuścił drzewce i zanurkował, by umknąć przed blokiem i talią.

Przeleciał łukiem po niebie; Ginsel wytężył siły, starając się utrzymać chłopca uwiązanego do drugiego końca sejzingu. Jack wpadł w olinowanie po przeciwnej stronie fokmasztu, wplątał rękę w sznury i trzymał się ich ze wszystkich sił.

Blok oraz talia leciały teraz wprost na Ginsela. Minęły go o włos i uderzyły w stojącego tuż za nim Sama. Nieszczęsny marynarz wirując, spadł w fale.

– Sam...! – krzyknął Jack, pośpiesznie spuszczając się po olinowaniu w ślad za nim.

Kiedy znalazł się na pokładzie, podbiegł do relingu, ale tylko bezradnie obserwował, jak Sam zmaga się z wielkimi niczym góry grzywaczami, znikając i ukazując się znowu, aż z żałosnym krzykiem po raz ostatni został wciągnięty pod powierzchnię.

Zrozpaczony chłopiec spojrzał na bosmana, który stanął obok.

– Nic nie możesz dla niego zrobić, chłopcze. Będziesz go opłakiwał rankiem, jeśli ujdziemy cało – powiedział.

Widząc rozpacz na twarzy Jacka, złagodniał nieco.

– Dobrze sobie poradziłeś tam w górze, chłopcze. Teraz idź się zobaczyć z ojcem; jest w kajucie z kapitanem.

Jack śmignął do zejściówki, wdzięczny, że może uciec przez srożącą się burzą. We wnętrzu żaglowca sztorm nie wydawał się tak groźny, pod pokładem niepowstrzymana furia żywiołu zmieniała się w stłumione wycie. Chłopiec przecisnął się na rufę, gdzie zakwaterowano Johna, i cicho wszedł do ciasnej, niskiej kajuty.

Ojciec, pochylony nad biurkiem, w skupieniu studiował plik morskich map.

– Pilocie, to pański obowiązek, by nas z tego wydostać! – warknął kapitan i uderzył pięścią w blat. – Twierdził pan, że zna tutejsze wody! Dwa tygodnie temu obiecywał pan, że przybijemy do lądu! Dwa tygodnie! Z bożą pomocą mogę żeglować tym statkiem w każdym sztormie, ale muszę wiedzieć, dokąd płynę, do krocset! A jeśli żadna Japonia nie istnieje? To wszystko może być jedynie legendą. Oszustwem wymyślonym przez przeklętych Portugalczyków, by nas zgubić.

– Japonia istnieje, kapitanie – odparł spokojnie ojciec Jacka. – Jak zapisano w moim rutterze, leży pomiędzy trzydziestym a czterdziestym stopniem szerokości północnej. Wedle moich obliczeń znajdujemy się zaledwie parę mil morskich od wybrzeża. Proszę spojrzeć.

Wskazał niezgrabnie naszkicowaną mapę na stronie wielkiego, oprawnego w skórę notesu, w którym Jack rozpoznał rutter.

– Znajdujemy się na wyciągnięcie ręki od japońskiego portu Toba. O, tutaj. To kilkaset kilometrów od naszego celu, Nagasaki. Jak pan widzi, sztorm zniósł nas z kursu. To jednak nie jedyny nasz problem – o ile mi wiadomo, całe wybrzeże roi się od piratów. Toba nie jest przyjaznym portem, więc zapewne nas także wezmą za morskich rozbójników. Co gorsza, pewien pilot z Bantamu poinformował mnie, że jezuici z Portugalii założyli tam katolicką misję. Z pewnością zatruli umysły tubylców. Nawet jeśli zdołamy przybić do brzegu, zostaniemy wymordowani jako protestanccy heretycy!

W trzewiach statku rozległ się niski grzmot, a potem jęk belek, kiedy olbrzymia fala uderzyła w burtę Alexandrii.

– W takim sztormie, pilocie, nie mamy innego wyboru, jak tylko za wszelką cenę zmierzać do lądu. Możliwe, że to wybór pomiędzy diabłem a bezdennym oceanem, John, ale wolę już się mierzyć z jezuickim diabłem!

– Mam inny pomysł, kapitanie. Dwie mile na południe od Toby znajduje się kilka osłoniętych zatok. Są bezpieczniejsze, lepiej ukryte, choć wejścia do nich bronią te oto zdradliwe rafy.

Chłopiec przyglądał się, gdy ojciec wskazywał na mapie rząd poszarpanych linii.

– Sądzi pan, że zdoła nas przez nie przeprowadzić?

– Owszem, jeśli Bóg będzie po naszej stronie.

Kapitan odwrócił się do wyjścia i spostrzegł Jacka.

– Lepiej ufać, że twój ojciec się nie myli, chłopcze; los statku i życie załogi spoczywają w jego rękach.

Wyszedł, zostawiając Jacka z ojcem.

John starannie owinął rutter w ochronną, nieprzemakalną tkaninę i podszedł do wąskiej koi w kącie kajuty. Uniósł cienki materac i otworzył ukrytą przegródkę, włożył do niej notes i zatrzasnął schowek.

– Pamiętaj, Jack, to nasz mały sekret. – Mrugnął konspiracyjnie do syna, przyklepując materac. – Rutter jest zbyt cenny, by go zostawiać na widoku. Kiedy się tylko rozejdzie, że dotarliśmy do Japonii, wszyscy będą wiedzieć, że go mamy na pokładzie.

A gdy chłopiec nie odpowiedział, John przyjrzał mu się z troską.

– Trzymasz się jakoś?

– Nie uda się, prawda? – zapytał chłopiec bez ogródek.

– Oczywiście, że się uda, synu – odpowiedział ojciec, przytulając go do siebie. – Zdołałeś rozwinąć fok. Z takimi marynarzami jak ty nie może być inaczej.

Jack próbował odpowiedzieć uśmiechem na jego uśmiech, lecz w głębi serca stracił nadzieję. Był naprawdę przerażony. Ogarnął go strach mroczniejszy niż ten, który towarzyszył mu w olinowaniu i podczas całego wyczerpującego rejsu. Ojciec schylił się i spojrzał mu w oczy.

– Nie trać nadziei, Jack. Morze to porywcza dama, lecz widziałem wiele sztormów znacznie gorszych od tego, a przecież wyszedłem z nich cało. Przeżyjemy.

Kiedy wracali na pokład rufówki, Jack trzymał się blisko ojca. Jakimś sposobem w jego obecności czuł się chroniony przed najgorszym; niezachwiana pewność Johna dodawała mu otuchy w beznadziejnej na pozór sytuacji.

– Nie ma to jak porządny sztorm, kiedy trzeba zmyć pokład, co? – zażartował ojciec na widok trzeciego oficera, który wciąż dzielnie zmagał się z kołem sterowym; z wysiłku jego twarz przybrała kolor prawie tak ognisty jak broda.

– Kurs północ – północny zachód. Powiadomić wszystkich, że przed nami rafy. Ostrzec ludzi na oku, żeby zachowali czujność.

Mimo przekonania ojca, że zmierzają we właściwym kierunku, widzieli ocean bez końca; fala za falą uderzały w Alexandrię. Nadzieje Jacka opadały równie szybko jak piasek w klepsydrze.

Dopiero kiedy piasek przesypał się po raz drugi, rozległ się krzyk: „Ziemia!”. Fala radości i ulgi obiegła całą załogę. Zmagali się ze sztormem przez blisko pół nocy. Teraz zapaliła się iskierka nadziei, ujrzeli cień szansy, że zdołają przetrwać sztorm ukryci za jakimś cyplem albo znajdą schronienie w zatoce.

Niemal w tej samej chwili, gdy ich nadzieje zostały rozbudzone, marynarz na oku krzyknął znowu.

– Rafy z prawej burty!

A wkrótce później...

– Rafy z lewej burty!

Ojciec Jacka zaczął wykrzykiwać wskazówki trzeciemu oficerowi.

– Ster na prawą burtę!... Teraz trzymaj kurs. Trzymaj... Trzymaj... Trzymaj...

Alexandria wznosiła się i opadała na spienionych falach; wymijając rafy, zmierzała szybko ku czarnej sylwetce lądu w oddali.

– Ster na lewą burtę! – ryknął ojciec i całym ciałem naparł na koło sterowe.

Płetwa sterowa wbiła się we wzburzone fale. Pokład przechylił się gwałtownie. Żaglowiec skoczył w przeciwną stronę... lecz za późno. Alexandria trafiła na rafę. Fał pękł i osłabiony fokmaszt zatrzeszczał, złamał się i runął.

– Ciąć olinowanie! – rozkazał kapitan, gdy dziób niebezpiecznie zarył w fale, pociągnięty przez fokmaszt.

Marynarze na pokładzie rzucili się z toporami ku linom. Rąbali ile sił, uwalniając maszt, lecz statek wciąż nie reagował. Stało się oczywiste, że kadłub został uszkodzony.

Alexandria tonęła!

4

Kraj wschodzącego słońca

Załoga walczyła całą noc, by utrzymać żaglowiec na powierzchni, choć zdawało się, że wysiłki pójdą na marne. Zalało zęzę i Jack pracował z marynarzami, szaleńczo starając się wypompować wodę, lecz jej poziom podnosił się gwałtownie, sięgała mu już powyżej piersi. Ze wszystkich sił starał się zapanować nad paniką. Utonięcie to najgorszy koszmar marynarza: wodny grób, gdzie kraby pełzają po twoim wzdętym ciele, wyżerając zimne, pozbawione życia oczy.

Zwymiotował przez burtę Alexandrii czwarty raz tego ranka, przypominając sobie, jak ciemna, słona woda zalewała mu usta. Wstrzymując oddech, nie przestawał pompować. Jaki jednak miał wybór? Uratować statek albo utonąć, starając się go ocalić.

Jednak szczęście uśmiechnęło się do nich. Dotarli bezpiecznie do niewielkiej zatoczki. Ocean nagle się uspokoił, Alexandria gładko wsunęła się do zatoczki i poziom wody szybko opadł. Chłopiec przypomniał sobie, jak wciągał do płuc stęchłe powietrze

zęzy niczym najświeższy górski powiew, kiedy wystawił głowę nad pokład i usłyszał głuchy odgłos spuszczanej kotwicy.

Odpoczywał teraz na pokładzie rufówki; czyste morskie powietrze rozjaśniło mu umysł, a żołądek zaczął się uspokajać.

Powiódł wzrokiem po morzu, falach łagodnie pluszczących o burty; ryk burzy zastąpiły poranne nawoływania ptaków, a niekiedy skrzypienie olinowania.

Pozwolił, by otaczający spokój przeniknął jego myśli. Wkrótce wspaniałe szkarłatne słońce wynurzyło się nad ocean, odsłaniając piękny widok.

Alexandria stała na kotwicy pośrodku malowniczej zatoczki zamkniętej wyniosłym cyplem wbijającym się w ocean. Porastały go bujne zielone cedry i rdzawe sosny, wzdłuż brzegu ciągnęła się piękna złota plaża. W szmaragdowych wodach zatoki roiło się od ruchliwych rybek w kolorach tęczy.

Uwagę chłopca przyciągnął jakiś przedmiot na półwyspie, odbijający blask słońca; wyjął lunetę ojca. Wśród drzew stała przepiękna budowla wyglądająca, jakby wyrosła ze skały. Jack nigdy nie widział niczego podobnego.

Na masywnym kamiennym piedestale przycupnął rząd kolumn z ciemnoczerwonego drewna. Każdą z nich zdobiły pieczołowicie wykonane złote wizerunki smoków i egzotyczne, wijące symbole. Kolumny podpierały wielopiętrowy dach z kunsztownie zdobionych dachówek, o końcach zawiniętych ku niebu. Na szczycie najwyższego poziomu umieszczono smukłą, wysoką iglicę z koncentrycznymi złotymi kulami, przebijającą sklepienie lasu. Przed budowlą, dominując nad zatoką, wyrastał z ziemi olbrzymi,

ustawiony pionowo kamień. Także jego powierzchnię zdobiły skomplikowane rzeźbione symbole.

Chłopiec próbował odgadnąć ich znaczenie, gdy naraz dostrzegł jakiś ruch.

Obok kamienia był uwiązany wspaniały biały wierzchowiec, w jego cieniu zaś, ledwie sięgając głową siodła, stała smukła ciemnowłosa dziewczyna. Wydawała się ulotna jak zjawa. Skórę miała białą niczym śnieg, włosy ciemne i lśniące jak dżet kaskadą spływały jej do pasa. Nosiła czerwoną niczym krew suknię, połyskującą w zamglonym porannym świetle.

Jack tkwił jak wrośnięty w ziemię. Nawet z tej odległości czuł na sobie jej wzrok. Z wahaniem uniósł rękę na znak powitania. Dziewczyna nie drgnęła. Pomachał znowu. Tym razem skłoniła się ledwie zauważalnie.

– O, cudowny dniu! – rozległ się za jego plecami jakiś głos. – O tyleż słodszy, że poprzedzony sztormem.

Jack obejrzał się i zobaczył ojca podziwiającego rubinowy dysk słońca unoszący się nad oceanem.

– Ojcze, spójrz! – zawołał, wskazując dziewczynę na półwyspie. John przebiegł wzrokiem cypel.

– Mówiłem ci, synu! Ten kraj jest pełen złota – powiedział wesoło, przyciągając do siebie syna. – Wznoszą z niego nawet świątynie...

– Nie, nie chodziło mi o świątynię, ojcze, tylko o dziewczynę i... – Lecz dziewczyna i koń zniknęli. Pozostał tylko kamień. Jakby młodą damę uniósł ze sobą wiatr.

– Jaką dziewczynę? Zbyt długo byłeś na morzu! – zażartował ojciec, uśmiechając się porozumiewawczo, jednak po chwili zbladł,

jakby porwany przez dawne wspomnienie. – O wiele za długo...

Umilkł, smutno wpatrując się w cypel.

– Nie powinienem był cię tu przywozić, Jack. Postąpiłem bardzo lekkomyślnie.

– Ale to ja chciałem jechać – zaprotestował chłopiec, patrząc mu w oczy.

– Twoja matka... niech spoczywa w spokoju... nigdy by na to nie pozwoliła. Chciałaby, żebyś został w domu z Jess.

– Prawda, ale mama nie pozwalała mi nawet przejść przez doki, jeśli jej nie trzymałem za rękę!

– I miała rację! – odparł ojciec i uśmiech powrócił na jego twarz. – Zawsze szukałeś przygód. Pewnie wskoczyłbyś na pokład jakiegoś żaglowca zmierzającego do Afryki i tyle byśmy cię widzieli!

Jack znalazł się naraz w potężnym, niedźwiedzim uścisku.

– No i oto jesteś w Japonii. I słowo daję, synu, wczorajszej nocy dowiodłeś swojej wartości. Pewnego dnia zostaniesz doskonałym pilotem.

Chłopiec całym sobą chłonął ojcowską dumę. Wtulił twarz w pierś Johna, chcąc tak pozostać na zawsze.

– Jack, jeśli rzeczywiście spostrzegłeś kogoś na cyplu – ciągnął ojciec – powinniśmy się mieć na baczności. *Wakō* nawiedzają te wody, więc nigdy dość czujności.

– Kto to są *wakō*? – spytał chłopiec, podnosząc głowę.

– Piraci, synu. Lecz nie zwyczajni. Japońscy piraci, zdyscyplinowani i bezlitośni – wyjaśnił ojciec, przebiegając wzrokiem horyzont. – Budzą powszechny lęk i bez skrupułów

mordują na równi Hiszpanów, Holendrów, Portugalczyków i Anglików. To najgorsze diabły tych mórz.

– I przez nich, młody człowieku – wtrącił kapitan, stając za jego plecami – musimy się szybko uporać z naprawą Alexandrii. Jak tam, pilocie, otrzymał pan od pierwszego oficera raport o uszkodzeniach?

– Tak jest, kapitanie – odparł ojciec Jacka, ruszając z kapitanem w kierunku steru. – Jest tak źle, jak się obawialiśmy.

Chłopiec trzymał się blisko, słuchając urywków rozmowy i wciąż przepatrując cypel w poszukiwaniu śladów tajemniczej dziewczyny.

– Alexandria nieźle dostała w kość... – zauważył John.

– Co najmniej dwa tygodnie, by ją doprowadzić do idealnego stanu...

– Chcę, by była zdolna do żeglugi przed nowiem.

– ...ależ to za niespełna tydzień!... – zaprotestował ojciec.

– Musimy pracować na dwie zmiany, pilocie, jeśli chcemy uniknąć losu Clove...

– ...wymordowani do ostatniego. Poucinali im głowy, wszystkim bez wyjątku.

Wiadomość o pracy na dwie zmiany nie ucieszyła marynarzy, nazbyt się jednak obawiali bosmana i jego kota o dziewięciu ogonach, by narzekać. Przez następnych siedem dni Jack i reszta załogi tyrali jak galernicy, aż pot lał się z nich strumieniami w palącym japońskim słońcu.

Naprawiając fok, chłopiec łapał się na tym, że często podnosi wzrok na świątynię. Lśniła w mgiełce upału i wyglądała, jakby

się unosiła nad ziemią. Codziennie też szukał wzrokiem dziewczyny – lecz zaczynał podejrzewać, że ją sobie wyobraził.

Może ojciec miał rację. Może naprawdę był zbyt długo na morzu.

– Nie podoba mi się to. Wcale mi się nie podoba – poskarżył się Ginsel, budząc go z marzeń na jawie. – Jesteśmy handlową jednostką bez żagli. Mamy ładunek sukna, czerwonego drewna i strzelb. Każdy pirat wart tego miana domyśli się, że łakomy z nas kąsek!

– Ale jest nas ponad setka i mamy działo – zauważył Christiaan. – Jakim sposobem mieliby nas pokonać?

– Czy ty nic nie rozumiesz, nędzny, marynarski wyskrobku!? – splunął Fajczarz, chudy, kościsty mężczyzna, którego skóra wisiała na cherlawej postaci niczym pergamin. – Jesteśmy w Japonii. Japończycy to nie jacyś tam bezbronni półnadzy tubylcy. To wojownicy. Zabójcy! Nigdy nie słyszałeś o samurajach?

Christiaan pokręcił głową.

– Powiadają, że samuraje to najgroźniejsi, najpodlejsi wojownicy chodzący po tej ziemi. Zabiją cię, gdy tylko cię zobaczą!

Christiaan szeroko otworzył oczy ze zgrozy. Nawet Jackiem wstrząsnął ten przerażający opis, choć dobrze wiedział, że Fajczarz znany jest z opowiadania niestworzonych historii.

Marynarz przerwał, by zapalić małą glinianą fajkę, i zaczął ją leniwie pykać. Wszyscy przysunęli się bliżej.

– Samuraje służą samemu diabłu. Słyszałem, że potrafią człowiekowi odrąbać głowę za to, że im się nie skłonił jak niewolnik!

Christiaan westchnął... paru marynarzy się zaśmiało.

– A więc jeśli kiedyś spotkacie samuraja, chłopcy, pokłońcie się nisko. Bardzo, bardzo nisko!

– Dość już tego, Fajczarzu! Starczy już siania paniki! – wtrącił bosman, który obserwował ich z pokładu rufówki. – Sklarować statek; musimy być gotowi do wypłynięcia jutro o wschodzie słońca!

– Tak jest, bosmanie! – zawołali członkowie załogi, pośpiesznie wracając do obowiązków.

W nocy wśród załogi narastał lęk. Pogłoski o samurajach i *wakō* rozprzestrzeniały się jak leśny pożar, a marynarz na oku zauważył czarne cienie przemykające w lesie.

Następnego dnia spojrzenia wszystkich były utkwione w wybrzeże i choć pozostawało całkowicie puste, ludzie pracowali z gorączkowym niepokojem.

Alexandria była gotowa do odpłynięcia tuż przed zmierzchem. Bosman wezwał wszystkich na pokład i Jack wraz z innymi czekał niespokojnie, by usłyszeć rozkazy kapitana.

– Panowie, wykonaliście doskonałą pracę – oznajmił kapitan Wallace. – Jeśli wiatr będzie nam sprzyjał, odpłyniemy rankiem. Zasłużyliście na dodatkowy przydział rumu!

Podwładni wydali radosny okrzyk. Kapitan nieczęsto okazywał taką hojność. Kiedy jednak wiwaty umilkły, usłyszano wołanie marynarza na oku.

– Statek na horyzoncie! Statek na horyzoncie!

Wszyscy równocześnie obejrzeli się na morze.

W oddali ujrzeli groźną sylwetkę żaglowca... z czerwoną banderą *wakō*!

5

Cienie wśród nocy

Księżyc malał, więc noc była ciemna jak smoła i okręt *wakō* wkrótce rozpłynął się w mroku.

Kapitan podwoił wachty, tymczasem pod pokładem marynarze szeptem dzielili się obawami. Jack, wyczerpany, leżał cicho na koi, pustym wzrokiem gapiąc się na palący się nierównym płomieniem kaganek, w którego świetle twarze gawędzących marynarzy wydawały się wynędzniałe i podobne do duchów.

Musiał na chwilę zasnąć, bo kiedy znowu otworzył oczy, kaganek zgasł. Co go zbudziło? W ciemności nie rozlegał się żaden dźwięk, jeśli nie liczyć ciężkiego chrapania pozostałych członków załogi. A mimo to chłopca nie opuszczał niepokój.

Zeskoczył z koi i boso podszedł do zejściówki. Na pokładzie wcale nie było jaśniej. Nie widział ani jednej gwiazdy; całkowita ciemność przeraziła go. Przeszedł przez pokład, wymacując sobie drogę. Pozorna pustka zwiększała poczucie zagrożenia.

Nagle, bez ostrzeżenia, wpadł na marynarza stojącego na wachcie.

– Przeklęty idiota! – warknął żeglarz. – Przez ciebie mało nie umarłem ze strachu.

– Przepraszam, Fajczarzu – odparł Jack, dostrzegając jasny gliniany przedmiot w ustach mężczyzny. – Ale czemu nie świecą się żadne lampy?

– Żeby nas *wakō* nie wypatrzyli, durniu – odszepnął ostro, ssąc niezapaloną fajkę. – A właściwie co ty tu robisz na pokładzie? Chętnie bym ci przyłożył.

– Eee... Nie mogłem spać.

– Jasne. No cóż, to nie miejsce na lunatykowanie. Dostaliśmy pistolety i szable na wypadek ataku *wakō*, więc wracaj na dół. A gdybym tak zechciał przefasonować twoją śliczną buźkę, co?

Posłał chłopcu szeroki bezzębny uśmiech i podsunął mu pod nos zardzewiałe ostrze. Jack nie był pewien, czy marynarz na pewno żartuje, ale nie zamierzał się o tym przekonać.

Cofnął się w stronę zejściówki.

A zanim się skrył pod pokładem, ostatni raz obejrzał się na Fajczarza. Marynarz stał teraz przy relingu, zapalając fajkę. Tytoń rozżarzył się czerwono; pojedynczy węgielek w mroku.

Nagle ognik zniknął, jakby go pochłonął cień. Jack usłyszał ciche sapnięcie, stuk upadającej fajki, a potem zobaczył, jak ciało Fajczarza bezgłośnie osuwa się na pokład. Jakiś cień śmignął w powietrzu i wspiął się po olinowaniu.

Chłopiec był zbyt przerażony, by krzyknąć. Co się działo? Wzrok przyzwyczaił mu się do ciemności i wytężając go, Jack dostrzegł cienie pełzające po całym statku. Dwaj inni strażnicy na pokładzie dziobowym zostali przez nie zaatakowani i padli na deski. Najbardziej nienaturalne w ataku było to, że rozgrywał się

w całkowitej ciszy. „Jednak to właśnie atak!” – uświadomił sobie chłopiec.

Zeskoczył ze schodów i pomknął prosto do kajuty pilota.

– Ojcze! – krzyknął. – Napadli nas!

John Fletcher zerwał się z koi, chwycił szablę, kordelas i dwa pistolety leżące na biurku. Był ubrany, jakby spodziewał się kłopotów. W pośpiechu przypasał szablę, pistolety i kordelas wsunął za pas.

– Dlaczego straż nie woła? – spytał ostro.

– Nie ma już straży, ojcze. Wszyscy nie żyją!

John znieruchomiał na chwilę i obejrzał się z niedowierzaniem, lecz jedno spojrzenie na szarą twarz Jacka przekonało go, że chłopiec nie kłamie. Wyjął kordelas zza pasa i podał synowi wraz z kluczem do kabiny.

– Nie wolno ci opuszczać kajuty. Słyszysz? Cokolwiek się stanie, nie wychodź! – nakazał.

Chłopiec skinął posłusznie głową i wziął klucz, zbyt oszołomiony rozwojem wydarzeń, by protestować. Nigdy nie widział ojca równie poważnego. Przeżyli razem gwałtowne ataki wrogich okrętów portugalskich, żeglując wokół Ameryki Południowej z jej niesławną Cieśniną Magellana. Jack nigdy jednak nie usłyszał, że ma zostać w kabinie. Zawsze walczył u boku Johna, ładując jego pistolety.

– Zarygluj wyjście... i czekaj na mój powrót! – polecił ojciec, zamykając drzwi za sobą.

Jack słyszał, jak odchodzi korytarzem, zwołując marynarzy.

– Wszyscy na pokład! Do dział! Przygotować się do odparcia abordażu!

Chłopiec przekręcił klucz w zamku.

Nie wiedząc, co robić, usiadł na koi, wciąż z ojcowskim kordelasem w dłoniach. Słyszał tupot stóp marynarzy zbiegających się na rozkaz Johna. Rozlegały się krzyki i nawoływania, gdy wspinali się zejściówką na pokład.

A potem zapadła cisza.

Jack nastawił uszu. Słyszał jedynie skrzypienie desek, kiedy ludzie ostrożnie krążyli po pokładzie. Wydawali się zdezorientowani.

– Gdzie jest wróg? – zawołał ktoś z załogi.

– Nie było żadnego ataku... – powątpiewał inny.

– Cicho tam! – rozkazał ojciec i mężczyźni zamilkli.

Głucha cisza wytrącała z równowagi.

– Tutaj! – to był głos Ginsela. – Fajczarz nie żyje.

I nagle rozpętało się piekło. Rozległ się huk pistoletu, a potem kolejne wystrzały. Marynarze krzyczeli.

– Są w olinowaniu! – zawołał ktoś.

– Moja ręka! Moja ręka! Moja... – zawodził inny, aż jego udręczone jęki urwały się złowróżbnie.

Szczękały szable. Rozlegał się grzmiący tupot stóp. Jack słyszał stęknięcia i przekleństwa towarzyszące walce wręcz. Nie wiedział, co robić. Targały nim dwie obawy: przed walką i przed ukrywaniem się.

Do odgłosów potyczki dołączyły jęki umierających, lecz chłopiec wciąż słyszał głos ojca zwołującego marynarzy na pokład rufówki. Przynajmniej tata żył!

Potem coś uderzyło w drzwi kajuty. Jack zerwał się z koi przerażony. Ktoś desperacko szarpał za klamkę, lecz zamek nie

puszczał.

– Pomocy! Proszę, pomóżcie! Wpuśćcie mnie do środka! – rozległ się cienki, rozpaczliwy głos z zewnątrz. Był to Christiaan, to on bębnił pięściami w zamknięte drzwi.

– Nie! Nie! Błagam... – Zabrzmiały odgłosy rozpaczliwej walki. Miękki stuk ciała, a potem żałosny jęk.

Jack podbiegł do drzwi. Nerwowo wymacał klucz, lecz upuścił go, zanim zdołał włożyć do dziurki. Podniósł klucz w panice, obrócił w zamku i otworzył drzwi z ojcowskim kordelasem w ręce, gotów się bronić.

Christiaan wpadł do wnętrza; niewielki nóż sterczał mu z brzucha. Krew strugą trysnęła na podłogę z desek i Jack poczuł, jak rozlewa się, ciepła i lepka, pod jego stopami.

Oczy Christiaana spoglądały na niego, przerażone i błagające.

Jack wciągnął przyjaciela do bezpiecznej kajuty, a potem przestąpił nad nim, by stawić czoło cieniom kryjącym się w mroku.

6

Gorączka

Jack krzyknął z bólu.

Wciąż jeszcze była noc, lecz ciemność przecięło jaskrawe, białe światło.

Otoczyły go obce głosy, dziwne i niezrozumiałe.

Dostrzegł pochyloną nad sobą twarz jakiegoś mężczyzny. Jedną stronę oblicza pokrywały okropne szramy, jakby się stopiło. Co dziwne, oczy nieznajomego zdradzały zatroskanie.

Wyciągnął do chłopca rękę.

Całe ramię Jacka nagle zapłonęło palącym bólem i krople potu pokryły jego rozpalone czoło. Stękał i wyrywał się, próbując umknąć przed nieznośnym cierpieniem, poczuł jednak, że odpływa, nieważki, jakby się unosił na łożu z miękkiej trawy...

Tracił i odzyskiwał przytomność... tonął w strasznych wspomnieniach...

Stał na pokładzie rufówki.

Słyszał krzyk ojca. Marynarze leżeli martwi lub umierający, ich ciała piętrzyły się jedne na drugich. Johna Fletchera, wciąż stojącego, lecz zalanego krwią, otaczało pięć cieni. Zakręcił nad głową bosakiem, walcząc zażarcie jak lew. Cienie, od stóp do głów odziane w czerń, tylko ze szparą na oczy, nie mogły podejść bliżej.

Jeden rzucił się na ojca.

John gwałtownie opuścił bosak, trafiając napastnika w bok głowy; rozległ się mdlący trzask... cień zwalił się na pokład.

– No, chodźcie! – ryknął ojciec. – Może jesteście zjawami, ale umieracie jak ludzie!

Zaatakowało go dwóch widmowych wojowników. Jeden był uzbrojony w groźnie wyglądające ostrze uwiązane na łańcuchu, drugi szybko zawirował dwiema małymi kosami, żaden jednak nie mógł się zbliżyć. Cała grupka otoczyła Johna, czekając, aż opadnie z sił.

Jack nie mógł się zmusić do ruchu; strach przykuł go do pokładu.

Jeden z cieni rzucił lśniącą gwiazdkę...

Wokół panowała oślepiająca jasność. Jack zmrużył oczy w dziennym świetle. Ciało płonęło, a głowa bolała nieznośnie. W lewym ramieniu pulsował ból. Chłopiec leżał, niezdolny do ruchu, wpatrując się w sufit z polerowanego cedru. Nie znajdował się na statku...

John Fletcher jej nie zauważył, ale Jack tak.

Shuriken trafił go w ramię. John stęknął z bólu, potem z odrazą wyrwał metalową gwiazdkę. Cienki strumyczek krwi sączył się z rany. Ojciec roześmiał się z żałosnej, nędznej broni.

Lecz shuriken nie miał za zadanie zabić; miał tylko odwrócić uwagę. Tuż za plecami ojca kolejny cień ześlizgnął się cicho z olinowania: pająk osaczający ofiarę.

Jack krzyknął ostrzegawczo, lecz jego głos zdławiła panika.

Cień zarzucił na szyję Johna pętlę i mocno szarpnął. Jack czuł się całkowicie bezradny. Wrogów pojawiło się zbyt wielu. Był tylko chłopcem. Jakim cudem miałby ocalić ojca?

Nie posiadając się z rozpaczy, krzyknął i odważnie zaatakował z kordelasem w dłoni...

Jack, zdezorientowany, obrócił głowę; mięśnie szyi miał sztywne i obolałe.

Obok swego posłania zobaczył drobną kobietę klęczącą w milczeniu. Wyglądała znajomo, ale nie miał pewności; wszystko zdawało się nieostre.

– Mama? – zapytał. Kobieta przysunęła się bliżej. To musi być matka. Zawsze się nim opiekowała, kiedy chorował, jak jednak znalazła się tutaj?

– *Yasunde, gaijinsan*[1]– zabrzmiała łagodna odpowiedź, cicha jak szmer strumienia.

Kobieta była ubrana na biało. Kiedy położyła mu chłodny okład na czole, jej długie czarne włosy musnęły policzek chłopca. Dotyk, lekki jak puch, przypomniał Jackowi jego małą siostrzyczkę... włosy Jess były tak samo miękkie... lecz Jess została w Anglii... a ta kobieta... nie, dziewczyna... wyglądała jak... anioł cały w bieli... czy trafił do nieba?... Zasłona ciemności okryła go znowu...

Widmowy wojownik patrzył na Jacka.

Jedno jedyne szmaragdowe oko wbijało się w niego z mściwą rozkoszą. Ściskał chłopca za gardło, tak by wolno uchodziło z niego życie.

Jack wypuścił nóż, który z brzękiem upadł na pokład.

– Rutter? – syknął zielonooki, zwracając się do ojca chłopca.

John Fletcher przestał się szamotać, nieoczekiwane żądanie całkowicie go zaskoczyło.

– Rutter? – powtórzył cień, wyciągnął z pochwy na plecach miecz i wymierzył jego ostrze w serce Jacka.

– Zostaw go... to jeszcze dziecko! – wykrztusił ojciec, sprężając się do ataku.

W oczach Johna Fletchera płonął gniew. Próbował wywinąć się spod garoty i sięgnąć ku synowi, lecz na próżno. Cień szarpnął ostro w tył. John zakrztusiwszy się, tracił siły do walki. Pokonany, zawisł bezwładnie jak szmaciana lalka.

– Kajuta... w moim biurku... – wyrzęził, wyjął z kieszeni mały kluczyk i rzucił na pokład.

Zielonooki cień najwyraźniej nie zrozumiał.

– W mojej kajucie. W biurku – powtórzył John Fletcher, wskazując najpierw na klucz, a potem kajutę.

Cień skinął jednemu ze swoich ludzi, który podniósł klucz i zniknął pod pokładem.

– A teraz wypuść mojego syna – rzucił błagalnie ojciec Jacka.

Zielonooki cień zaśmiał się gardłowo i zamachnął mieczem do ostatecznego ciosu...

Jack z krzykiem otworzył oczy, serce mu waliło.

Gorączkowo rozejrzał się po pomieszczeniu. W rogu migotała pojedyncza świeczka. Drzwi się odsunęły, weszła dziewczyna

i uklękła obok niego.

– *Aku rei. Yasunde, gaijinsan*[2] – powiedziała tym samym łagodnym głosem, który słyszał wcześniej.

Położywszy chłopcu na czole zimny okład, poprawiła go na posłaniu.

– Co? Nie... nie... nie rozumiem – wyjąkał chłopiec. – Kim jesteś? Gdzie mój ojciec...?

Śmiech poniósł się echem.

John Fletcher wybuchnął gniewem, gdy zrozumiał, że cień zamierza zabić jego syna.

Raptownie odchylił głowę w tył, uderzając napastnika w twarz i łamiąc mu nos. Pętla rozluźniła się i opadła. Ojciec Jacka rzucił się po leżący na pokładzie kordelas i w ostatniej desperackiej próbie ocalenia syna chwycił ostrze i wbił je w nogę zielonookiego cienia.

Cień stęknął z bólu, zanim zdołał zadać zabójczy cios. Jack osunął się na pokład, bliski omdlenia. Zielonooki napastnik rzucił się na atakującego ojca, wymachując mieczem.

Wydał bitewny okrzyk „kiai!” i z góry uderzył w pierś Johna...

---

[1] Yasunde... (jap.) – Odpocznij, przybyszu.

[2] Aku rei... (jap.) – To zły duch. Odpoczywaj, przybyszu.

7

Samuraj

Nieskazitelnie czystą podłogę niewielkiego, pozbawionego ozdób pokoju pokrywał geometryczny wzór ze słomianych mat. Ściany stanowiły półprzejrzyste kwadraty papieru rozpraszające dzienne światło i przesycające powietrze nieziemskim blaskiem.

Jack, przykryty jedwabną kołdrą, leżał na grubym futonie. Nigdy wcześniej nie spał pod jedwabiem; jego dotyk na skórze przypominał tysiące motylich skrzydeł.

Po długim czasie spędzonym na morzu stabilność podłogi przyprawiała o mdłości; zakręciło mu się w głowie, kiedy spróbował się podnieść. Chcąc się podeprzeć, zmienił pozycję, lecz ramię przeszył ostry ból.

Po dokładniejszym badaniu odkrył, że lewą rękę ma opuchniętą i posiniaczoną, zapewne złamaną, ktoś jednak ją nastawił i unieruchomił drewnianymi łubkami. Wytężył pamięć, próbując sobie przypomnieć, co się stało. Przez jego umysł przesuwały się obrazy.

Christiaan umierający na progu. Cienie w mroku. Rzeź załogi Alexandrii. Ojciec walczący z garotą zaciśniętą na szyi. Widmowy wojownik wbijający miecz w jego pierś...

Chłopiec pamiętał, jak – zdawało się całe wieki – leżał na zakrwawionym pokładzie. Cienie, przekonane, że nie żyje, opuściły pokład dziobówki, by plądrować statek. Potem, jakby wynurzył się na powierzchnię po długim nurkowaniu, usłyszał głos ojca.

– Jack... Jack... mój syn... – jęczał cicho.

Otrząsnął się z odrętwienia i podczołgał do umierającego Johna.

– Jack... żyjesz... – szepnął i słaby uśmiech pojawił się na jego zakrwawionych wargach. – Rutter... weź go... do domu... on cię doprowadzi do domu...

Potem blask w jego oczach zgasł i mężczyzna wydał ostatnie tchnienie.

Jack wtulił twarz w pierś ojca, próbując stłumić szloch. Ściskał go, jak marynarz ściska linę ratunkową.

Kiedy chłopiec się uspokoił, uświadomił sobie, że jest zupełnie sam, u brzegów nieznanego kraju. Jego jedyną nadzieją na powrót do domu był teraz rutter.

Zbiegł pod pokład. *Wakō*, zajęci ładowaniem dział, złota i czerwonego drewna na własny statek, nie zwrócili na niego uwagi. Pod pokładem Jack przestępował przez kolejne ciała, aż dotarł do ojcowskiej kajuty, gdzie znalazł martwego Christiaana.

Kajuta została przetrząśnięta, biurko ojca wywrócono, wszędzie walały się mapy morskie. Jack podbiegł do koi, odsunął pościel.

Nacisnął ukrytą dźwignię i z ulgą zobaczył rutter, bezpieczny w nieprzemakalnym płótnie.

Wepchnął go sobie za pazuchę i wybiegł na zewnątrz. Właśnie miał się wspiąć po zejściówce, kiedy jakaś dłoń wynurzyła się z cieni i chwyciła go za koszulę.

Zamajaczyła przed nim osmolona twarz.

Wyszczerzyła się obłąkańczo, ukazując garnitur zębów niczym u rekina.

– Bodaj ich zaraza! Jeszcze nas nie pokonali – szepnął Ginsel z dzikim spojrzeniem. – Podłożyłem ogień w zbrojowni. Bum!

Wyrzucił ramiona na boki, imitując wybuch. Zaśmiał się krótko, potem stęknął; na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Runął na pokład z tkwiącym w plecach wielkim nożem uwiązanym na łańcuchu.

Jack podniósł wzrok i zobaczył złowrogą postać wynurzającą się z mroku. Jedyne zielone oko spojrzało gniewnie najpierw na niego, a potem na rutter ukryty pod koszulą. Cień szarpnął za łańcuch i złapał nóż wyrwany z pleców marynarza. Chłopiec obrócił się na pięcie i rzucił w górę zejściówką, modląc, by na czas dotrzeć do relingu...

Potężna eksplozja cisnęła go na wysokość rei, potem wraz z resztkami wraku wpadł w morze...

A później... później... nic...

Palący ból.

Ciemność.

Oślepiające światło.

Pokryta szramami twarz mężczyzny.

Obce, niezrozumiałe głosy...

Jack uświadomił sobie nagle, że słyszy teraz te same głosy rozmawiające za ścianą. Wstrzymał na chwilę oddech.

Czy to są *wakō*? Dlaczego zatem żyje?

Zobaczył swoją koszulę i bryczesy porządnie złożone w rogu pokoju, nigdzie jednak nie było śladu ruttera. Chwiejnie wstał i ubrał się w pośpiechu. Przechodząc przez pokój, rozglądał się za drzwiami, widział jednak tylko jednolitą ścianę z papierowych kwadratów.

Nie wiedział, co począć. Nie było nawet klamki.

Potem przypomniał sobie jeden ze swych gorączkowych snów – dziewczyna weszła do pokoju przez odsuwane drzwi. Chwycił drewniane listewki, chcąc je przesunąć, lecz ponieważ ciągle jeszcze niepewnie stał na nogach, zatoczył się i jego dłoń przebiła cienką jak opłatek ścianę. Rozmowa za papierowymi drzwiami *shoji* raptownie się urwała.

Drzwi nagle się odsunęły i Jack cofnął się niezgrabnie, zawstydzony własną niezręcznością.

Kobieta w średnim wieku o okrągłej twarzy i krępy młody mężczyzna o oczach w kształcie migdałów patrzyli na niego surowo. Twarz mężczyzny przybrała gniewny wyraz. Za krwistoczerwony pas miał wsunięte dwa miecze – jeden podobny do sztyletu, drugi długi i lekko wygięty. Zrobił krok naprzód, mocno chwytając rękojeść dłuższego miecza.

– *Naniwo shiteru, gaijin?*[3] – rzucił wyzywająco.

– Przepraszam. Ja... nie rozumiem – odparł Jack, cofając się z lękiem.

Kobieta zwróciła się stanowczo do młodego mężczyzny, lecz nie wypuścił miecza z dłoni.

Jack obawiał się, że nieznajomy zamierza wypróbować miecz na nim. I wtedy przypomniał sobie słowa Fajczarza: „Jeśli kiedyś spotkacie samuraja, chłopcy, pokłońcie się nisko. Bardzo, bardzo nisko!”.

Chociaż nigdy nie widział samuraja, nie mówiąc już o spotkaniu go, przerażający mężczyzna na kogoś takiego wyglądał. Był ubrany w szatę o kształcie litery T ze sztywnego białego jedwabiu i szerokie czarne nogawice upstrzone złotymi plamkami. Ciemię miał wygolone, a pozostałe włosy z boków i z tyłu ściągnięte w ciasny węzeł na czubku głowy. Twarz była surowa i nieprzenikniona – oblicze wojownika. Wyglądał na kogoś, kto mógł zabić chłopca z równą łatwością, jak rozdeptać mrówkę.

Jack był poobijany i posiniaczony, czuł każdy mięsień, lecz mimo bólu zmusił się do ukłonu. Mężczyzna cofnął się zaskoczony.

Potem parsknął śmiechem; pełen rozbawienia chichot wkrótce zmienił się w donośny rechot.

---

[3] Naniwo... (jap.) – Co ty wyrabiasz, barbarzyńco?

8

Ofuro

Kiedy na powrót ułożono go na posłaniu, Jack płakał, aż zasnął, a kiedy jakiś czas później przekręcił się na drugi bok, kobieta o krągłej twarzy znowu klęczała przy nim.

Podobnie jak samuraj poprzedniego dnia, nosiła jedwabną szatę, lecz jej była ciemnobłękitna, w białe i różowe kwiaty. Uśmiechnęła się słodko i dała mu wody. Jack przyjął niewielką miseczkę i chciwie wypił. Woda była chłodna i świeża.

– Dziękuję. Mógłbym prosić jeszcze trochę?

Kobieta ściągnęła brwi.

– Mogę dostać trochę więcej wody? – powtórzył, wskazując miseczkę w swojej dłoni, i wydał siorbiący dźwięk.

Zrozumiała, uśmiechnęła się i skłoniła. Zniknęła za przesuwanymi drzwiami, które – jak zauważył – zostały już naprawione, po chwili wróciła ze szkarłatną tacą z laki, na której stały trzy małe miseczki. Jedna zawierała wodę, druga rzadką, parującą zupę rybną, a trzecia niewielką porcję białego ryżu i warzyw w occie.

Jack wypił wodę i zupę, która rozgrzała go mimo nieprzyjemnego pieprznego smaku. Potem żarłocznie pochłonął ryż, nakładając go do ust palcami. Widział ryż już dawniej, gdy ojciec przywiózł go z podróży handlowej i dał matce do ugotowania. Jackowi wydawał się trochę bez smaku, lecz po wielodniowym poście nie przejmował się tym. Oblizał palce do czysta i szeroko uśmiechnął się do kobiety, by jej pokazać, że mu smakowało.

Wyglądała na mocno zaskoczoną.

– Eee... dziękuję. Dziękuję bardzo. – Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć.

Kobieta, wyraźnie zmartwiona, pozbierała puste naczynia i pośpiesznie wyszła z pokoju.

Co zrobił nie tak? Może powinien się z nią podzielić?

Parę chwil później fragment ściany odsunął się znowu, kobieta weszła z białą szatą i położyła ją obok jego posłania.

– *Kimono wo kite choudai*[4] – powiedziała, gestem każąc mu ją założyć.

Jack, wiedząc, że pod kołdrą jest nagi, odmówił.

Wydawała się zbita z tropu. Raz jeszcze wskazała ubranie.

Zirytowany, że nie mogą się porozumieć, pokazał, żeby wyszła za przesuwane drzwi. Prośba najwyraźniej ją zaskoczyła, kobieta skłoniła się jednak i opuściła pokój.

Chłopiec wstał najszybciej, jak na to pozwalało obolałe ciało, i uważając na usztywnioną rękę, włożył szatę.

Odsunął drzwi, uważając, by ich tym razem nie uszkodzić. Kobieta siedziała na drewnianej werandzie otaczającej dom. Kilka niskich schodków prowadziło do rozległego ogrodu otoczonego

wysokim murem. Ogród nie przypominał tych, które Jack wcześniej widział.

Mały mostek spinał brzegi stawu pełnego różowych nenufarów. Wysypane otoczakami ścieżki wiły się wśród barwnych kwiatów, zielonych krzewów i wielkich ozdobnych głazów. Maleńki wodospad wpadał do strumienia, który wił się wokół wspaniałej wiśni, zanim wpłynął z powrotem do stawu.

„Cały ogród jest tak doskonały, tak pełen spokoju" – pomyślał. Jakże spodobałyby się matce te wszystkie kwiaty. Angielskie błotniste grządki ziół i warzyw otoczone żywopłotami wydawały się jak z innego świata.

– Wygląda jak rajski ogród – mruknął.

Kobieta pokazała, by włożył drewniane sandały, a potem drobnymi kroczkami podreptała ścieżką, gestem wzywając go za sobą.

Po przeciwnej stronie stawu kościsty staruszek, najwyraźniej ogrodnik, grabił schludny fragment trawnika. Skłonił się nisko, kiedy go mijali. Kobieta nieznacznie skinęła w odpowiedzi i Jack zrobił tak samo. Jak się zdawało, kłanianie się było właściwe w każdej sytuacji.

Weszli do niewielkiego drewnianego budyneczku w przeciwległym krańcu ogrodu. We wnętrzu panowało przyjemne ciepło i znajdowała się tam długa kamienna ława oraz duża kwadratowa drewniana wanna pełna parującej wody. Ku przerażeniu chłopca kobieta poleciła mu się zanurzyć w kąpieli.

– Co? Chyba nie sądzisz, że tam wejdę?! – wykrzyknął, cofając się o krok.

Z uśmiechem ścisnęła nos i wskazała Jacka, a potem kąpiel.

– *Ofuro*.

– Wcale nie śmierdzę! – zaprotestował. – Kąpałem się niecały miesiąc temu. – Czy oni tutaj nie wiedzą, że kąpiele są niebezpieczne? Matka ostrzegała go, że w ten sposób można się nabawić biegunki albo czegoś gorszego. To siedlisko chorób!

– *Ofuro haitte!*[5] – powtórzyła i plusnęła dłonią o powierzchnię wody. – *Anata ni nomiga tsuite iru wa yo!*[6]

Jack nie rozumiał i nic go to nie obchodziło. Nie ma mowy, żeby wszedł do wody.

– *Uekiya! Chiro! Kocchi ni kite!*[7] – krzyknęła kobieta, próbując go złapać.

Okrążył wannę i rzucił się do drzwi, lecz pojawił się w nich ogrodnik, tarasując drogę. Zaraz potem do środka wpadła młoda służąca i przytrzymała chłopca. Kobieta ściągnęła z niego szatę i zaczęła go polewać zimną wodą.

– Przestań! Zamarznę! – krzyczał Jack. – Zostawcie mnie w spokoju!

– *Dame, ofuro no jikan yo, okina akachan ne*[8] – powiedziała kobieta i służąca wybuchnęła śmiechem.

Chłopiec szamotał się i wierzgał tak gwałtownie, że także ogrodnik pomagał go przytrzymać, jednak bardzo się starał nie urazić jego złamanej ręki.

Jack czuł się jak małe dziecko, kiedy go szorowali, a potem – wciąż protestującego – zanurzyli w parującej kąpieli. Gorąco było prawie nie do zniesienia, lecz za każdym razem, kiedy próbował wyjść, kobieta łagodnie popychała go z powrotem.

W końcu go wypuścili, ale tylko po to, by umyć go znowu, tym razem ciepłą wodą z mydłem. Do tej pory jednak był już zbyt

zmęczony, by się opierać, i pogodził się z upokarzającą sytuacją. Co najgorsze, do wody dodano jakiejś wonności. Pachniał jak dziewczyna!

Znowu go wsadzili do wanny; skóra poróżowiała mu z gorąca. Po chwili go wypuszczono i zaraz potem ostatni raz poddano prysznicowi z zimnej wody, po czym wreszcie został wytarty i ubrany w czystą szatę.

Wyczerpanego odprowadzili z powrotem do pokoju, gdzie na posłaniu natychmiast zapadł w głęboki sen.

---

[4] Kimono... (jap.) – Załóż to kimono.

[5] Ofuro... (jap.) – Wykąp się.

[6] Ananta ni... (jap.) – Masz pchły.

[7] Uekiya... (jap.) – Uekiya! Chiro! Chodźcie tutaj!

[8] Dame, ofuro... (jap.) – Nie ma mowy. Musisz się wykąpać. Jesteś jak duże dziecko!

9

Kimona i pałeczki

– *Ofuro* – oznajmiła kobieta.

– Kąpałem się wczoraj... – poskarżył się Jack.

– *Ofuro!* – skarciła go.

Zrozumiał, że opiera się na próżno, włożył świeżą szatę i krętą ścieżką ruszył do łaźni. Tym razem wizyta wydała mu się niemal przyjemna.

Pomijając pulsowanie w ramieniu i tępy ból głowy, musiał przyznać, że kąpiel dobrze mu zrobiła. Czuł się wypoczęty, a głowa nie swędziała już od wszy i morskiej soli.

Po powrocie do pokoju znalazł czekające na niego na posłaniu ubranie podobne to tego, jakie nosił samuraj. Zjawiła się kobieta o okrągłej twarzy.

– Chiro! – zawołała i służąca przybiegła w pośpiechu.

Była niezwykle drobna i mogła sobie liczyć około osiemnastu lat – Jackowi trudno było to ocenić z powodu niezwykle gładkiej i czystej cery. Miała małe ciemne oczy oraz krótko obcięte czarne

włosy i choć ładna, nie mogła się równać z dziewczyną, która pielęgnowała go w chorobie.

Co się z nią stało? I skoro o tym mowa, gdzie był mężczyzna o pokrytej bliznami twarzy? Jak dotąd chłopiec widział w domu tylko dwóch mężczyzn – starego ogrodnika, którego kobieta nazywała Uekiya, i groźnie wyglądającego samuraja – lecz żaden z nich nie miał blizn. Być może zarówno dziewczyna, jak i mężczyzna stanowili jedynie wytwór jego wyobraźni, podobnie jak młoda dama, którą wcześniej widział na cyplu.

– *Goshujin no kimono*[9] – powiedziała kobieta, wskazując ubrania.

Jack uświadomił sobie, że ma się przebrać, gdy jednak spojrzał na dziwaczne elementy stroju, zaczął się zastanawiać, od czego, na miłość boską, powinien zacząć. Wybrał parę zabawnych skarpetek z jednym palcem. Przynajmniej było oczywiste, co z nimi zrobić, jego stopy okazały się jednak zbyt duże, by się w nich zmieścić. Służąca zauważyła problem i zachichotała cicho, zakrywając usta dłonią.

– Skąd mam wiedzieć, jak się zakłada te wasze niedorzeczne ubrania! – burknął, bo nie lubił uchodzić za pośmiewisko.

Służąca spoważniała, uklękła i skłoniła się przepraszająco. A naprzód wysunęła się kobieta.

Jack odłożył skarpetki i pozwolił, by obie pomogły mu się ubrać. Najpierw włożyły mu skarpetki *tabi*, które na szczęście okazały się dość rozciągliwe. Potem dały mu bieliznę, białą bawełnianą koszulę i spódnicę, którą nazywały *juban*. Następnie starannie owinęły go jedwabną szatą, upewniając się, że lewa i prawa poła

zachodzą na siebie. Wszystko to zostało obwiązane, poczynając od tyłu, szerokim czerwonym pasem zwanym *obi*.

Jack wyszedł na werandę, czując się niezgrabnie w nowym stroju. Przywykł do spodni i koszul, nie „sukienek” i „spódnic”. Kiedy się poruszał, kimono okazywało się niepokojąco przewiewne, musiał jednak przyznać, że gładki jedwab jest znacznie przyjemniejszy w dotyku niż sztywne bryczesy i szorstkie płótno marynarskiej koszuli.

Służąca zniknęła w sąsiednim pomieszczeniu, kobieta tymczasem poprowadziła go przez werandę do kolejnego *shoji*. Weszli do niewielkiego pokoju przypominającego jego własny, tu jednak znajdował się niski, podłużny stół i cztery płaskie poduszki ułożone po obu stronach. Na ścianie, w lśniących czarnych pochwach wykładanych masą perłową, wisiały dwa wspaniałe miecze o ciemnoczerwonych plecionych rękojeściach. Poniżej, w ściennej niszy, znajdował się niewielki ołtarzyk, w którym płonęły dwie świece i pałeczka kadzidła wypełniającego powietrze delikatnym aromatem jaśminu.

Na jednej z poduszek siedział mały Japończyk i szeroko otwartymi ze zdumienia oczami gapił się na cudzoziemca o jasnych włosach i niebieskich oczach.

Kobieta gestem poleciła Jackowi usiąść obok niego, sama zaś umościła się wygodnie naprzeciw.

Zapadło niezręczne milczenie.

Jack zauważył, że czwarta poduszka pozostała pusta i domyślił się, że na kogoś czekają. Malec nadal się w niego wpatrywał.

– Jestem Jack Fletcher – przedstawił się, próbując przerwać ciszę. – Jak ci na imię?

Słysząc głos obcego, chłopiec zaniósł się śmiechem.

Kobieta skarciła go ostro, więc umilkł. Jack spojrzał na nią.

– Przepraszam. Nie wiem, kim jesteście ani gdzie się znalazłem, ale jestem wam bardzo wdzięczny za opiekę. Czy mogę spytać, jak ci na imię?

Odpowiedziała pustym spojrzeniem. Potem uśmiechnęła się, lecz w jej oczach nie dostrzegł śladu zrozumienia.

– Jestem Jack Fletcher – powtórzył, pokazując na siebie, a potem wskazał kobietę. – A ty jesteś...?

Powtórzył gest kilka razy. Wyglądało jednak na to, że kobieta wciąż nie pojmuje, nadal uśmiechała się w irytujący, zagadkowy sposób. Już miał się poddać i zrezygnować z prób porozumienia, kiedy malec pisnął:

– Jaku Furecha – a potem, wskazując na swój nos: – Jiro.

– Jiro. Tak, tak, mam na imię Jack.

– Jaku! Jiro! Jaku! Jiro! – wołał chłopiec z zachwytem, na przemian pokazując Jacka i siebie.

Kobieta pojęła nagle i się skłoniła.

– *Watashi wa*[10] Date Hiroko. Hi-ro-ko.

– Hi-ro-ko – powtórzył Jack powoli, odwzajemniając ukłon. Przynajmniej znał teraz ich imiona.

Odsunięto boczne *shoji* i weszła służąca Chiro, niosąc na tacy sześć niewielkich miseczek z laki. Kiedy kolejno ustawiała je na stole, Jack uświadomił sobie, jaki jest głodny. Były tam: zupa rybna, ryż, surowe dziwne warzywa pocięte w paski, coś, co wyglądało jak gęsta pszenna owsianka oraz niewielkie kawałeczki surowej ryby. Służąca ukłoniła się i wyszła.

Jack zastanawiał się, gdzie jest reszta posiłku. Niewielki stolik był zastawiony miseczkami z jedzeniem, lecz z pewnością nie starczyłoby go dla wszystkich? Gdzie mięso? Sos? Choćby kromka chleba z masłem? Zauważył, że ryba nie została nawet ugotowana! Obawiając się znowu urazić gospodynię, czekał, aż zostanie obsłużony. Na długą chwilę zapadła pełna skrępowania cisza, potem Hiroko sięgnęła po dwa patyczki leżące obok jej miski.

Jiro zrobił tak samo.

Następnie, trzymając je w dłoni, zaczęli wybierać małe kęsy potraw i ostrożnie wkładać je sobie do ust. Cały czas bacznie obserwowali Jacka.

On nawet nie zauważył pałeczek leżących przy jego misce. Przyjrzał się cienkim jak ołówki kawałkom drewna. Jakim cudem zdoła nimi jeść?

Jiro uśmiechnął się do niego z pełnymi ustami.

– *Hashi* – powiedział i wskazał pałeczki.

Otworzył dłoń i pokazał Jackowi, jak należy je poprawnie uchwycić. Jack jednak, choć zdołał powtórzyć nożycowy ruch Jiro, nie potrafił utrzymać ryby ani warzyw na tyle długo, by je unieść z miseczek.

Im więcej jedzenia upuszczał, tym bardziej się denerwował. Nigdy jednak nie poddawał się łatwo, postanowił więc spróbować z ryżem. To powinno się okazać łatwiejsze, bo było go więcej. Lecz połowa ryżu natychmiast spadła z powrotem do miseczki, a reszta rozsypała się po całym stole. Zanim doniósł pałeczki do ust, zostało na nich jedno maleńkie ziarenko.

Z miłym poczuciem odniesionego sukcesu przeżuł ziarnko. Pogłaskał się po brzuchu z satysfakcją.

Jiro się roześmiał.

„Malca to bawi – pomyślał Jack. – Ale jeśli nie nauczę się szybko używać tych *hashi*, umrę z głodu – a to nie żarty!”.

---

[9] Goshujin no... (jap.) – To kimono pana.

[10] Watashi wa... (jap.) – Nazywam się Date Hiroko.

10

Abunai!

Jack przyzwyczaił się do rytmu kąpieli, jedzenia i spania.

Jego ciało wreszcie pokonało gorączkę, ręka zaczęła się zrastać i mógł odbywać regularne przechadzki po ogrodzie. Przez większość dni przesiadywał pod kwitnącą wiśnią i obserwował, jak ogrodnik Uekiya z nieskończoną troską plewi grządki albo przycina jakieś krzewy. Uekiya krótkim pochyleniem głowy kwitował obecność Jacka, lecz z tych spotkań niewiele wynikało, ponieważ chłopiec nie mógł się połapać w dziwacznym języku.

Wkrótce zaczął się niecierpliwić; jego świat skurczył się do monotonii identycznych pokoi, codziennych kąpieli i podziwiania idealnego ogrodu. Czego od niego chcą? Czuł się uwięziony jak kanarek w złotej klatce. Chciał wiedzieć, co leży za murami ogrodu. Z pewnością znajdzie tam kogoś, kto rozumie po angielsku i pomoże mu wrócić do domu, albo przynajmniej zdoła wyszukać jakiś statek udający się do cudzoziemskiego portu. Wtedy mógłby się zakraść na pokład w nadziei, że dopłynie do

Anglii. Wszystko byłoby lepsze od bezczynnego siedzenia pod drzewem.

Postanowił uciec.

Codziennie widywał młodego samuraja imieniem Taka-san – jak się okazało strażnika domu Hiroko – gdy wchodził i wychodził przez małą furtkę w ogrodowym murze. To była droga na wolność. Nie było sensu pytać, czy może wyjść – był więźniem zarówno języka, jak i okoliczności. Wszyscy kłaniali się jedynie i ciągle odpowiadali: *Gomennasai, wakarimasen*, co sądząc z ich tonu i wyrazu twarzy znaczyło: „Przepraszam, nie rozumiem".

Po zwykłym teraz śniadaniu, złożonym z ryżu, kilku warzyw w occie i pszennego kleiku, udał się na codzienny spacer wokół ogrodu. Kiedy Uekiya schylił się, by się zająć jakimś idealnie przyciętym krzewem, Jack pomknął w stronę wyjścia. Zanim pociągnął zasuwkę i wyślizgnął się po cichu, upewnił się, że Jiro i Hiroko znajdują się we wnętrzu domu. Furtka zamknęła się z cichutkim trzaskiem, lecz ogrodnik usłyszał i zawołał za nim.

– *Iye! Abunai! Abunai!*[11]

Jack biegł.

Nie zważając na pełne niepokoju okrzyki i nie dbając, dokąd zmierza, popędził niebrukowaną drogą i skręcił między budynkami, tak aby nie można go było dostrzec z domu Hiroko.

Szybko rozejrzał się dokoła i przekonał, że wieś leży w zagłębieniu rozległej naturalnej zatoki, zamkniętej w oddali górami. Otoczenie wioski stanowiły niezliczone tarasy, na których krzątali się chłopi pielęgnujący poletka ryżu. Mimo bólu w ramieniu chłopak przebiegł obok zdziwionych wieśniaków i skierował się w dół, w stronę morza.

Skręcił za rogiem i nagle znalazł się na wioskowym placu. Przed sobą miał spore brukowane molo, na którym mężczyźni i kobiety patroszyli ryby i naprawiali sieci. W zatoce za ich plecami unosiły się na wodzie setki łodzi rybackich. Kobiety ubrane w cienkie, białe halki nurkowały z łodzi, i wynurzały się z siatkami pełnymi wodorostów, małży oraz ostryg. Pośrodku zatoki leżała niewielka piaszczysta wysepka, na której brzegu wzniesiono czerwoną drewnianą bramę.

Na placu zapadła cisza i Jack uświadomił sobie, że przyglądają mu się uważnie setki oczu. Zdawało się, jakby w całej wiosce stanął czas. Kupujące kobiety w jaskrawych kimonach klęczały nieruchomo naprzeciw sprzedawców; na pół wypatroszone ryby w rękach rybaków lśniły w jasnym blasku słońca; samurajski wojownik, podobny do posągu, utkwił w chłopcu kamienne spojrzenie.

Po chwili wahania Jack skłonił się niepewnie. Samuraj ledwie odwzajemnił powitanie i ruszył dalej, ignorując chłopca. Parę kobiet skłoniło się także, z oczyma błyszczącymi rozbawieniem, po czym wieśniacy wrócili do codziennych zajęć. Aż nazbyt świadom, że wszyscy obserwują go podejrzliwie, Jack przeszedł przez plac na molo i zeskoczył na wąską plażę.

Przebiegł wzrokiem łodzie, szukając zagranicznego statku. Jednak na próżno; wszystkie były japońskie i miały japońskie załogi. Zrozpaczony, przysiadł w kucki obok niewielkiej łódki rybackiej i pustym wzrokiem zapatrzył się w morze.

Anglia znajdowała się o dwa lata i cztery tysiące mil morskich stąd. Jedyny dom, jaki posiadał, i Jess – jedyna krewna, która mu pozostała – znajdowali się na drugim krańcu świata. Jaka była

nadzieja, że do nich wróci? Po co uciekał? Nie miał dokąd iść. Nie miał pieniędzy. Nie miał ruttera. Nie miał nawet własnego ubrania! Ze swymi jasnymi włosami wyróżniał się na milę wśród ciemnowłosych Japończyków.

Patrzył na łódki kołyszące się na wodach zatoki, nie wiedząc, co dalej robić. Naraz zobaczył, jak z wody niczym syrena wynurza się dziewczyna. Ta sama, którą widział z białym wierzchowcem obok świątyni.

Obserwował, jak wślizguje się do jednej z łódek najbliżej brzegu. Rybak wciągnął ciężką od ostryg siatkę i podczas gdy dziewczyna się wycierała, otwierał je, szukając pereł. Przeciągnęła dłońmi przez czarne jak dżet włosy; morska woda spłynęła z nich kaskadą, lśniąc w porannym słońcu tysiącem maleńkich gwiazd.

Rybak wiosłował przez wody zatoki, dziewczyna zaś pozostawała spokojna mimo kołysania łodzi, a jej smukła postać wyginała się z gracją wierzby płaczącej. Niemal zdawało się, jakby płynęła nad wodą. Kiedy przybijali się do niewielkiego drewnianego pomostu, zobaczył wyraźniej jej rysy. Nie była wiele starsza od niego. Miała jasną, czystą cerę, skośne oczy o barwie hebanu, a pod niewielkim okrągłym noskiem usta o wargach jak płatki czerwonej róży. Gdyby Jack wyobrażał sobie kiedyś księżniczkę z baśni, tak właśnie mogłaby wyglądać.

– *Gaijin*![12]

Podniósł wzrok, wyrwany z marzeń na jawie. Mrużąc oczy w jaskrawym słońcu, zobaczył dwóch Japończyków ubranych w proste kimona i klapki. Jeden był przysadzisty, z okrągłą, bulwiastą głową i spłaszczonym nosem, drugi, chudy jak patyk, spoglądał na chłopca oczami wąskimi jak szparki.

– *Nani wo shiteru, gaijin?*[13] – rzucił wyzywająco Płaskonosy.

Chudy wyjrzał zza ramienia kolegi i boleśnie dźgnął chłopca w pierś drewnianą laską.

– *Eh, gaijin?*[14] – rzucił cienkim, piskliwym głosem.

Jack próbował się wycofać, lecz nie było dokąd.

– *Onushi ittai doko kara kitanoda, gaijin?*[15] – spytał ostro Płaskonosy, a potem z niedowierzaniem boleśnie szarpnął chłopca za jasne włosy.

– *Eh, gaijin?* – zadrwił chudy i celowo postawił laskę na palcach Jacka.

Chłopiec wyrwał rękę.

– Ja nie rozumiem... – wyjąkał i rozejrzał się rozpaczliwie, szukając drogi ucieczki.

Płaskonosy chwycił go za kark i przyciągnął do siebie.

– *Nani?*[16] – warknął mu w twarz.

– *Yame!*[17]

Jack usłyszał grzmiący rozkaz i niemal w tej samej chwili oczy Płaskonosego niemal wyskoczyły z orbit, gdy czyjaś dłoń uderzyła go w kark. Padł twarzą w piasek. Leżał nieruchomo, choć obmywały go fale.

Taka-san, młody samuraj z domu Hiroko, który pojawił się nie wiadomo skąd, zwrócił się ku drugiemu z napastników, jednym płynnym ruchem wyciągając miecz z pochwy. Chudzielec rzucił się na ziemię i zaczął gorączkowo przepraszać.

Miecz przeciął powietrze i spadł łukiem na leżącego mężczyznę.

– *Iye!* Taka-san. *Dozo*[18] – odezwał się inny głos i Taka-san zatrzymał miecz zaledwie cal od odsłoniętego karku mężczyzny.

Jack poznał natychmiast łagodny ton.

– Konnichiwa[19] – powiedziała, podchodząc do chłopcai kłaniając mu się lekko. – *Watashi wa* Date Akiko.

Dziewczyna z przylądka, ta sama, którą widywał w swoich gorączkowych snach, miała na imię Akiko.

---

[11] Iye... (jap.) – Nie! To niebezpieczne!

[12] Gaijin (jap.) – barbarzyńca.

[13] Nani wo... (jap.) – Co robisz barbarzyńco?

[14] Eh, gaijin? (jap.) – Ee, barbarzyńca.

[15] Onushi ittai... (jap.) – Skąd się wziąłeś, barbarzyńco?

[16] Nani? (jap.) – Co?

[17] Yame! (jap.) – Zostaw.

[18] Iye! Taka san... (jap.) – Nie, proszę Taka-san.

[19] Konnichiwa (jap.) – Dzień dobry.

11

Sencha

Gdy tego wieczoru poproszono go na kolację, Hiroko i Jiro siedzieli na swoich miejscach, lecz czwartą poduszkę zajmowała Akiko. Za jej plecami wisiały dwa lśniące samurajskie miecze.

Towarzystwo sprawiało, że Jack czuł się jednocześnie uradowany i skrępowany. Akiko miała subtelność urodzonej damy, lecz zarazem otaczała ją aura autorytetu, jakiego nigdy wcześniej nie widział u dziewczyny. Samuraj Taka-san słuchał każdego jej polecenia, a wszyscy domownicy w jej obecności kłaniali się szczególnie nisko.

Chłopiec był trochę zaskoczony, że nie ukarano go za ucieczkę. Prawdę mówiąc, wszyscy zdawali się raczej zmartwieni niż rozgniewani, szczególnie ogrodnik Uekiya, i Jack poczuł wstyd, że przysporzył staruszkowi trosk.

Po kolacji Akiko poprowadziła chłopca na werandę, gdzie w zapadającym zmierzchu usiedli na miękkich poduszkach. Cisza otuliła wioskę niczym miękki pled i Jack słyszał nieśmiałe

ćwierkanie cykad oraz plusk strumienia wijącego się przez nieskazitelny ogród Uekiyi.

Akiko rozkoszowała się spokojem i pierwszy raz od wielu dni Jack pozwolił sobie na odprężenie.

W tej samej chwili spostrzegł Taka-sana stojącego cicho w cieniu, z ręką wspartą na mieczu. Chłopiec natychmiast spiął się znowu. Nie zamierzali ryzykować; pilnowali go teraz.

Odsunięto *shoji* i Chiro wniosła lakową tacę z pięknie zdobionym imbrykiem do herbaty oraz dwiema czarkami. Postawiła tacę na ziemi i uważnie nalała napar o zielonkawej barwie. Obiema rękami podała czarkę Akiko, która z kolei wręczyła ją Jackowi.

Ten przyjął naczynko i czekał, by dziewczyna sięgnęła po swoje, lecz gestem poleciła mu się napić. Z wahaniem wziął łyk parującego naparu. Smakował jak gotowana trawa i był tak gorzki, że chłopiec z trudem opanował grymas. Akiko podniosła swoją czarkę. Na jej twarzy pojawił się wyraz rozkoszy.

Po kilku minutach milczenia Jack zdobył się na odwagę, by coś powiedzieć.

Wskazał herbatę, która tak widocznie jej smakowała, i zapytał:

– Jak się nazywa ten napój?

Nastąpiła krótka pauza, kiedy Akiko próbowała pojąć, o co mu chodzi, wreszcie odpowiedziała:

– *Sencha*.

– *Sen-cha* – powtórzył, obracając słowo w ustach i utrwalając je w pamięci. Uświadomił sobie, że będzie musiał polubić ów smak. – A to? – spytał znowu, wskazując czarkę.

– *Chawan* – objaśniła.

– *Chawan* – powtórzył.

Akiko pochwaliła go spojrzeniem i zaczęła wskazywać inne przedmioty, podając chłopcu ich japońskie nazwy. Wydawała się zadowolona, że go uczy swojego języka, a Jack poczuł ulgę, gdyż lekcja pozwalała uniknąć krępującej ciszy. Dopytywał o nowe wyrazy, aż zakręciło mu się od nich w głowie i nadszedł czas na spoczynek.

Taka-san odprowadził go do pokoju i zasunął za nim *shoji*.

Chłopiec ułożył się na futonie, ale nie mógł zasnąć. W głowie wirowały mu japońskie słowa i wzburzone emocje. Gdy tak leżał w ciemności, patrząc na miękki blask nocnych latarni przenikający przez ściany, pozwolił, by w jego sercu zabłysła iskierka nadziei. Jeśli zdoła się nauczyć języka, być może przetrwa w tym dziwnym kraju. Może znajdzie pracę na statku z japońską załogą, dotrze do jakiegoś portu, gdzie spotka rodaków, znajdzie pracę na pokładzie i popłynie do Anglii. A jeśli Akiko jest kluczem? I to ona pomoże mu wrócić do domu!

Po papierowej ścianie przesunął się cień i Jack uświadomił sobie, że Taka-san wciąż stoi na straży.

Następnego dnia chłopiec kończył właśnie poranną przechadzkę po ogrodzie, kiedy zza rogu werandy wybiegł Jiro.

– *Kinasai!*[20] – krzyknął i pociągnął go ku głównemu wejściu do domu.

Jack ledwie za nim nadążał.

Przed domem czekali Akiko i Taka-san. Dziewczyna miała na sobie błyszczące kimono o barwie kości słoniowej, ozdobione haftem przedstawiającym lecącego żurawia. Głowę dla ochrony przed słońcem osłaniała karmazynową parasolką.

– *Ohayo-gozaimasu*, Jack[21] – przywitała go z ukłonem.

– *Ohayo-gozaimasu*, Akiko – odpowiedział jak echo, życząc jej dobrego ranka.

Wyglądała na zadowoloną z odpowiedzi; ruszyli niebrukowanym traktem ku zatoce.

Przy molo wsiedli do łodzi znajomego poławiacza pereł, który przewiózł ich na wyspę pośrodku zatoki. Kiedy podpłynęli bliżej, Jack ze zdumieniem zobaczył, że na szerokiej plaży przed czerwoną bramą zebrał się ogromny tłum.

– *Ise Jingu Torii*[22] – powiedziała Akiko, wskazując budowlę.

Skinął na znak, że rozumie. *Torii* miała barwę wieczornego ognia i wysokość dwupiętrowego domu. Wzniesiono ją z dwóch pionowych słupów przeciętych dwiema potężnymi poziomymi belkami, z których wyższą pokryto dachówką zieloną jak jadeit.

Łódka przybiła do wysepki od południowego krańca i przybysze wmieszali się w tłoczną gromadę kobiet w jaskrawych kimonach oraz samurajów uzbrojonych w miecze. Wieśniacy tworzyli regularne półkole, lecz na widok Akiko kłaniali się i ustępowali z drogi, więc jej orszak przedostał się na sam przód, gdzie dołączył do dużej grupy samurajów.

Wojownicy natychmiast skwitowali przybycie Akiko niskim pokłonem. Dziewczyna się odkłoniła i zaczęła rozmowę z młodym samurajem, chyba w wieku Jacka, o brązowych jak kasztany oczach i czarnych, nastroszonych włosach. Japończyk rzucił cudzoziemcowi nieufne spojrzenie, a potem zupełnie przestał na niego zwracać uwagę.

Wieśniacy jednak byli zaskoczeni. Odsunąwszy się, szeptali do siebie, zasłaniając usta dłońmi, lecz Jackowi to nie przeszkadzało,

bo dzięki temu miał lepszy widok na prowizoryczną arenę.

Pod *torii* stał, niczym starożytny bóg, samotny samuraj.

Nosił czarno-złote kimono zdobione na piersi, rękawach i plecach okrągłym symbolem: cztery błyskawice tworzyły krzyż. Miał tradycyjną samurajską fryzurę z kokiem na czubku głowy i wygolonym ciemieniem. Czoło przewiązał szerokim pasem białego płótna. Krępy i potężny, o złowrogim spojrzeniu, przypominał Jackowi wielkiego buldoga hodowanego do walki.

W dłoniach trzymał najdłuższy miecz, jaki chłopiec widział. Sama klinga miała ponad metr długości, a wraz z rękojeścią dorównywała wzrostowi Jacka. Wojownik, z oczyma utkwionymi w odległy brzeg zatoki, poruszył się niecierpliwie, wtedy miecz zalśnił w jasnym blasku słońca. Przez mgnienie oka rozbłysnął niczym błyskawica. Widząc zdziwienie Jacka, Akiko szepnęła jego nazwę:

– Nodachi.

Wojownik stał samotnie na arenie i Jack zastanawiał się, gdzie jest jego przeciwnik. Nikt inny nie przygotowywał się do walki. Chłopiec powiódł wzrokiem po tłumie i zauważył, że grupka samurajów po przeciwnej stronie półksiężyca nosi takie same symbole błyskawicy jak wojownik z mieczem, podczas gdy samuraje w jego otoczeniu mają na strojach okrągły znak feniksa.

Gdzie więc był ich przedstawiciel?

Jack ocenił, że musiała upłynąć godzina, bo słońce na bezchmurnym niebie podniosło się o kolejnych piętnaście stopni. Zrobiło się gorąco i wieśniacy zaczynali się niecierpliwić. Samuraj pod *torii* irytował się coraz bardziej i krążył po plaży niczym tygrys w klatce.

Minęła następna godzina.

Szmer tłumu przybrał na sile, bowiem upał stał się nie do zniesienia. Jack wzdrygnął się na myśl, co by czuł ubrany w swoją starą koszulę i bryczesy, a nie jedwabne kimono, jakie miał teraz na sobie.

Niedługo potem, dokładnie w chwili, gdy słońce sięgnęło zenitu, od molo odbiła niewielka łódka.

Zobojętniały tłum natychmiast się ożywił. Jack zobaczył drobnego rybaka wiosłującego bez pośpiechu przez zatokę, podczas gdy na dziobie siedział w pozycji Buddy roślejszy mężczyzna.

Łódka się przybliżyła. Tłum zaczął wiwatować donośnie i skandować: „Ma-sa-mo-to! Ma-sa-mo-to! Ma-sa-mo-to!”.

Akiko, Taka-san i Jiro przyłączyli się do grzmiącego chóru powtarzającego imię samuraja.

Samuraje z herbem błyskawicy odpowiedzieli bojowym okrzykiem własnego przedstawiciela: „Go-dai! Go-dai! Go-dai!”, i wojownik wystąpił naprzód, unosząc nodachi wysoko w powietrze. Jego stronnicy ryknęli jeszcze głośniej.

Łódź wryła się w brzeg. Chudy rybak wciągnął wiosła i czekał cierpliwie, aż pasażer wysiądzie. Z tłumu podniósł się kolejny donośny okrzyk, kiedy przybyły wstał i boso wyszedł na plażę.

Jack mimo woli jęknął ze zdumienia. Ich przedstawiciel, Masamoto, był mężczyzną z twarzą pokrytą szramami.

---

[20] Kinsai! (jap.) – Chodź tu.

[21] Ohayo-gozaimasu (jap.) – Dzień dobry.

[22] Ise Jingu... (jap.) – To brama świątyni Ise.

12

Pojedynek

Lewą stronę twarzy Masamoto, skórę nad okiem i cały policzek aż po linię szczęki, pokrywała wyschnięta skóra oraz czerwonawe blizny, rozchodzące się wachlarzowato, podobne do płynnej lawy. Poza tym rysy miał regularne i wyraziste. Był krzepki, muskularny niczym wół z oczami o barwie miodowego bursztynu. Przyodział brązowo-kremowe kimono z okrągłym symbolem feniksa i – podobnie jak Godai – nosił opaskę, lecz jego była szkarłatna.

W przeciwieństwie do Godaia golił całą głowę, zachował jednak krótki, przystrzyżony zarost wokół ust. Jackowi bardziej przypominał mnicha niż wojownika.

Masamoto obrzucił wzrokiem scenę, a potem odwrócił się, by wyjąć z łódki miecze. Wsunął je za *obi* wraz z ochronnymi *saya*. Najpierw krótki miecz wakizashi, potem dłuższa katana. Powoli ruszył po plaży w stronę *torii*.

Rozwścieczony spóźnionym i obraźliwym przybyciem rywala, Godai zaczął na jego widok wykrzykiwać obelgi.

Niewzruszony Masamoto nawet nie przyśpieszył kroku, a wręcz przystanął, by powitać swoich samurajów. W końcu stanął twarzą w twarz z przeciwnikiem i skłonił się z przesadną uniżonością. To zirytowało Godaia jeszcze bardziej. Zaślepiony gniewem, natarł na Masamoto, próbując go zaskoczyć, zanim jeszcze walka oficjalnie się rozpoczęła.

Masamoto jednak był przygotowany na taką właśnie reakcję. Zrobił unik i ciężki nodachi Godaia minął go o włos. Jednym ruchem wyciągnął z *saya* oba miecze; prawą ręką uniósł katanę w niebo, lewą przeciągnął wakizashi w poprzek piersi, broniąc się przed kontratakiem.

Godai zamachnął się nodachi, nacierając po raz drugi, miecz pomknął z szybkością błyskawicy ku głowie Masamoto. Ten przeniósł ciężar ciała i nachylił katanę pod kątem, by zbić cios na lewo. Miecze zderzyły się i nodachi zazgrzytał o grzbiet klingi Masamoto.

Parł naprzód pod miażdżącym ciosem przeciwnika, próbując dosięgnąć ostrzem wakizashi brzucha Godaia. Miecz przeciął kimono, lecz nie ranił ciała. Godai zawirował, usuwając się z drogi, tak by Masamoto nie mógł przedłużyć cięcia i utoczyć mu krwi.

Masamoto ścigał cofającego się Godaia do morza, a jego dwa miecze migotały wściekle, wkrótce jednak powstrzymał go nacierający nodachi i ledwie miał czas uskoczyć poza jego zasięg.

Jack był zaskoczony zręcznością i wprawą obu wojowników. Walczyli z gracją tancerzy, odprawiając wyrafinowany, lecz morderczy rytuał. Każdy cios zadawano z niezwykłą precyzją i skupieniem. Masamoto władał dwoma mieczami, jakby były

naturalnym przedłużeniem ramion. Nic dziwnego, że marynarze z załogi Jacka tak łatwo zostali wyrżnięci przez japońskich *wakō*. Nie mieli szans wobec wroga biegłego w tego rodzaju sztuce walki.

Godai, zagrzewany przez swoich samurajów, odpierał Masamoto z powrotem w górę plaży.

Posługiwał się nodachi z morderczą wprawą, mimo ogromnych rozmiarów miecza władał nim z łatwością, jakby był to zaledwie pęd bambusa. Spychał przeciwnika w tył, w tłum widzów, wprost na miejsce, gdzie znajdował się Jack.

Zamarkował cios na prawo, potem zmienił kierunek ataku i ciął odsłonięte ramię Masamoto. Ten zdołał zrobić unik, jednak potężna siła, jaką Godai włożył w zamach, pchnęła jego ciężki miecz w tłum.

Wieśniacy rozpierzchli się w panice, tylko Jack stał jak wrośnięty w ziemię, sparaliżowany strachem wobec niewzruszonej determinacji samuraja, by zabić.

W ostatnim ułamku sekundy Taka-san odciągnął go, lecz stojący z tyłu wieśniak miał mniej szczęścia. Drobny mężczyzna spróbował się zasłonić, lecz miecz obciął mu palce.

Godai zignorował krzyk rannego, strząsnął krew z klingi i rozpoczął kolejne natarcie na cofającego się Masamoto.

„To nie jest ćwiczebne starcie – uświadomił sobie z zaskoczeniem Jack. – To walka na śmierć i życie".

Dwóch samurajów Masamoto odciągnęło rannego, tłum tymczasem runął naprzód, nie chcąc nic uronić z widowiska; ucięte palce zniknęły, zadeptane przez morze stóp.

Akiko, zaniepokojona widokiem poszarzałej twarzy Jacka, spytała gestem, czy dobrze się czuje.

– W porządku – odparł, uśmiechając się z wysiłkiem, choć prawdę mówiąc, zbierało mu się na wymioty.

Opanował rozgoryczenie i szok z powodu sytuacji, której świadkiem był przed momentem. Jak ludzie poświęcający tyle czasu na pielęgnowanie idyllicznych ogrodów i haftowanie motyli na kimonach, mogą być takimi barbarzyńcami? Nie mieściło mu się to w głowie.

By uniknąć niespokojnych spojrzeń Akiko, z powrotem skupił uwagę na walce. Dwaj samuraje rozdzielili się, dysząc ciężko z wysiłku. Krążyli wokół siebie, czekając na ruch przeciwnika. Godai zamarkował natarcie i tłum cofnął się gwałtownie, rozpaczliwie starając się uniknąć ataku.

Masamoto, zaznajomiony z jego taktyką, zrobił wypad w martwe pole, sparował cios nodachi krótszym mieczem i skontrował kataną. Miecz pomknął ku głowie Godaia. Tłum wstrzymał oddech. Kok zsunął się z głowy samuraja i miękko opadł na piasek. Masamoto uśmiechnął się ironicznie na widok publicznego poniżenia przeciwnika, a samuraje noszący herb feniksa zaczęli skandować: „Ma-sa-mo-to! Ma-sa-mo-to! Ma-sa-mo-to!”.

Rozwścieczony hańbą, jaką była utrata koka, Godai wydał okrzyk *kiai!* i zaatakował. Jego nodachi śmignął z góry w dół, a potem, niczym orzeł podrywający się po ataku na ofiarę, pomknął w górę pod kątem nie do odbicia dla katany Masamoto.

Ten zrobił unik, wyginając się do tyłu, i uniósł własny miecz, próbując osłonić szyję przed klingą przeciwnika, lecz katana wypadła mu z dłoni i koniec nodachi wniknął głęboko w jego prawe ramię. Masamoto stęknął z bólu, padł w tył i przetoczył się,

starając odsunąć od Godaia. Po kilku kontrolowanych przewrotach stanął z powrotem na nogi.

Samuraje Godaia zaczęli wiwatować.

Teraz, gdy Masamoto stracił katanę, Godai był pewien zwycięstwa. Krótki wakizashi nie stanowił żadnej obrony przed potężnym nodachi. Samuraje Masamoto uświadomili sobie, że ich przedstawiciel nie ma szans wobec takiej przewagi. Pierwszy raz w życiu legendarny kunszt Masamoto walki dwoma mieczami nie sprostał atakowi nodachi.

Masamoto cofał się plażą w stronę łodzi, w której przypłynął. Godai napawał się triumfem. Szybko wślizgnął się pomiędzy Masamoto i łódkę, odcinając przeciwnikowi drogę ucieczki.

Masamoto sprawiał wrażenie pokonanego. Krew sączyła się z rany na ramieniu. Osłabiony, opuścił wakizashi. Tłum jęknął ze smutkiem. Godai uśmiechnął się szeroko i wolno uniósł broń do ostatecznego ciosu.

Na tę właśnie chwilę nadmiernej pewności siebie czekał Masamoto. Gwałtownym ruchem nadgarstka posłał wirujący wakizashi w powietrze. Zaskoczony Godai cofnął się niezgrabnie, chcąc uniknąć nadlatującego ostrza, i upadł na piasek.

Masamoto przemknął obok niego jak strzała, pędząc ku łodzi. Godai, podnosząc się, krzyknął za uchodzącym przeciwnikiem.

Lecz Masamoto nie zamierzał uciekać. Chwycił długie drewniane wiosło i zawirował, zwracając się twarzą do Godaia. Teraz miał broń dorównującą długością nodachi.

Godai rzucił się na Masamoto, odpierającego ciosy wiosłem, aż drzazgi fruwały w powietrzu. Naraz ciął nisko, próbując odrąbać przeciwnikowi nogi.

Masamoto przeskoczył wysoko nad klingą i wziął zamach wiosłem wprost na odsłoniętą głowę Godaia. Wiosło trafiło w cel z taką siłą, że pod samurajem ugięły się nogi. Osunął się na plecy jak podcięte drzewo.

Samuraje Masamoto zaczęli wiwatować, tłum zaś podjął skandowanie, zachęcając triumfatora do zabicia przeciwnika. Masamoto jednak odszedł od leżącego. Zwyciężył w sposób oczywisty i rozstrzygający, nie miał powodu zabijać.

Kiedy zbliżył się do zebranych, umilkli i padli na kolana, dotykając czołami piasku. Nawet Akiko, Jiro i Taka-san poszli za ich przykładem.

Tylko Jack stał, nie wiedząc, jak się zachować. Nie był jednym z nich, lecz Masamoto promieniował tak absolutnym autorytetem i władzą, że chłopiec skłonił się mimo woli. Chociaż wzrok miał wbity w piasek, wyczuł, iż mężczyzna o twarzy pokrytej szramami podchodzi do niego.

Bose stopy Masamoto zatrzymały się tuż przed nim.

13

Ojciec Lucius

– *Você fala português?*[23] – zwrócił się ksiądz do Jacka.

Duchowny klęczał na podłodze przed Masamoto, który siedział teraz na podwyższeniu w głównym pomieszczeniu domu.

– *Parlez-vous français?*[24]

Ksiądz, o surowym, nieruchomym spojrzeniu i tłustych rzednących włosach, nosił charakterystyczną sutannę bez guzików i pelerynkę portugalskiego jezuity. Wezwano go, by tłumaczył na użytek Masamoto; przyglądał się chłopcu nieufnie.

– *Hablas español?*[25] Mówisz po angielsku? – dopytywał niecierpliwie.

– *Falo um pouco. Oui, un petit peu. Sí, un poco*[26] – odparł płynnie Jack. – Ale wolę mówić we własnym języku, po angielsku. Moja matka była nauczycielką, wciąż kazała mi się uczyć różnych języków. Nawet waszego...

– Przeklęty niedorostku! Miałbyś choć tyle rozumu, by nie robić sobie ze mnie wroga. Bez wątpienia jesteś heretyckim pomiotem, niemile widzianym na tych brzegach...

Zakonnik zaniósł się gwałtownym, rzężącym kaszlem i chustką starł z warg ciemnożółtą plwocinę.

„A ty bez wątpienia chorujesz” – pomyślał Jack.

– Żyjesz jeszcze tylko dlatego – ciągnął duchowny – że jesteś dzieckiem.

Kiedy Masamoto stanął przed nim na plaży, Jack uznał, że właściwie już nie żyje. Lecz samuraj rozkazał tylko, by chłopiec towarzyszył jemu i jego ludziom na stałym lądzie, gdzie czekała Hiroko, by udać się z nimi do domu.

– *Doushita? Kare wa doko kara kitanoda?*[27] – zapytał Masamoto.

Ranę na ramieniu już mu opatrzono i przebrał się w sztywne, błękitne jak niebo, kimono we wzór z białych liści klonu. Spokojnie popijał z czarki senchę. Jack nie mógł uwierzyć, że zaledwie parę godzin wcześniej ten człowiek walczył o życie.

Teraz po obu stronach miał dwóch uzbrojonych samurajów. Na lewo od niego klęczała Akiko, a obok niej chłopiec, z którym rozmawiała przed pojedynkiem. Od chwili, gdy Jack wszedł do pokoju, chłopiec wpatrywał się w niego z miną zarazem obojętną i mroczną jak gradowa chmura.

– *Sumimasen,* Masamoto-sama[28] – przeprosił ksiądz, chowając chustkę.

Klęczał obok Jacka i skłonił się Masamoto z ogromnym szacunkiem, aż krzyż z ciemnego drzewa na jego szyi musnął wyłożoną tatami podłogę.

– Jego wysokość Masamoto Takeshi chce wiedzieć, kim jesteś, skąd pochodzisz i jak się tu dostałeś – oznajmił, zwracając się do chłopca.

Jack czuł się jak na przesłuchaniu. Został tu wezwany tylko po to, by stanąć twarzą w twarz z podłym jezuitą. Ojciec ostrzegał go przed nimi. Portugalczycy, jak i Hiszpanie, walczyli z Anglią od dwudziestu lat, a choć konflikt oficjalnie się skończył, oba narody nadal żywiły do siebie wielką niechęć, katoliccy jezuici pozostali zaś najgorszymi wrogami Anglii. Jack, jako angielski protestant, znalazł się w poważnych tarapatach.

– Nazywam się Jack Fletcher. Pochodzę z Anglii. Przybyłem na pokładzie statku handlowego...

– Niedorzeczność. Na tych wodach nie ma Anglików. Jesteś piratem, więc nie marnuj mojego czasu ani czasu jego wysokości na swoje kłamstwa. Nie po to mnie tu sprowadzono, żebym przekładał łgarstwa.

– *Douka shimashita ka?*[29] – wtrącił się Masamoto.

– *Nani no nai*, Masamoto-sama[30] – odparł ksiądz, lecz Masamoto przerwał mu natychmiast słowami, które w uszach Jacka zabrzmiały jak rozkaz.

– *Moushiwake arimasen*, Masamoto-sama[31] – przeprosił duchowny z większym naciskiem i skłonił się, znowu gwałtownie kaszląc w chustkę. Spojrzał na Jacka i kontynuował.

– Chłopcze, pytam ponownie, jak się tu znalazłeś? I, na krew Chrystusa, lepiej mów prawdę!

– Już mówiłem. Przypłynąłem na pokładzie Alexandrii należącej do floty handlowej holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Mój ojciec był pilotem. Żeglowaliśmy prawie dwa lata, by dotrzeć do Japonii...

Ksiądz tłumaczył, w miarę jak Jack mówił, po czym przerwał chłopcu:

– Którędy płynęliście?

– Na południe, przez Cieśninę Magellana...

– Niemożliwe. To sekretna trasa.

– Mój ojciec ją znał.

– Tylko my, Portugalczycy, prawowierni, znamy bezpieczne przejście – zaprotestował duchowny z oburzeniem. – Jest dobrze chroniona przed takimi protestanckimi heretykami jak twój ojciec.

– Wasze statki wojenne nie były dla mojego ojca żadnym przeciwnikiem. Wyprzedziliśmy je w jeden dzień – odparował chłopiec i poczuł gwałtowny przypływ dumy, gdy jezuita niechętnie informował Masamoto o porażce Portugalczyków.

Jack spojrzał nieufnie na duchownego.

– A kim wy właściwie jesteście?

– Jestem ojciec Lucius, zakonnik z Towarzystwa Jezusowego pod protektoratem Kościoła katolickiego i jego jedyny misjonarz tutaj, w porcie Toba. Odpowiadam przed Bogiem i moim przełożonym, ojcem Diego Bobadillą w Osace. Jestem jego oczyma i uszami tutaj.

– A więc jaką pozycję zajmuje ten samuraj? – spytał chłopiec, ruchem głowy wskazując Masamoto. – I skoro jesteście tak ważną personą, dlaczego mu się kłaniacie?

– Chłopcze, na twoim miejscu w przyszłości ostrożniej dobierałbym słowa... jeśli chcesz przeżyć. Samuraje żądają dla siebie szacunku.

Skłonił się znowu nisko i mówił dalej.

– To jest Masamoto Takeshi, władca Shimy i prawa ręka Takatomiego Hideakiego, *daimyo* prowincji Kioto...

– Kto to jest *daimyo*? – przerwał Jack.

– Pan feudalny. Rządzi całą prowincją w imieniu cesarza. Samuraje, włączając obecnego tu Masamoto, są jego wasalami.

– Wasalami?... To znaczy niewolnikami?

– Nie, to chłopi, wieśniacy, których widziałeś, są podobniejsi niewolnikom. Samuraje to członkowie kasty wojowników, podobnie jak wasi dawni rycerze, lecz znacznie lepiej wyćwiczeni. Obecny tu Masamoto jest mistrzem miecza, niepokonanym. Jest także człowiekiem, który wyłowił cię na wpół utopionego z oceanu i nastawił twoją złamaną rękę, więc okazuj mu należny szacunek!

Jack był zdumiony. Wiedział, że podobna wiedza medyczna uchodziła w Anglii za rzecz niesłychaną. Złamana kończyna na morzu oznaczała powolną śmierć w męczarniach od gangreny lub też bolesną i ryzykowną amputację. Istotnie miał wielkie szczęście, że spotkał Masamoto.

– Proszę, czy mógłby mu ksiądz podziękować za uratowanie mi życia?

– Możesz to zrobić sam. *Arigatō* znaczy po japońsku „dziękuję”.

– *Arigatō* – powtórzył chłopiec, wskazując swoje ramię, potem skłonił się najniżej, jak potrafił. To najwyraźniej spodobało się Masamoto, bo odpowiedział na ten dowód szacunku krótkim skinieniem głowy.

– Czyli to jest dom Masamoto?

– Nie, jego siostry Hiroko. Mieszka tu z córką Akiko. – Jezuita znowu zaniósł się gwałtownym kaszlem i chwilę potrwało, nim doszedł do siebie. – Dość tych pytań, chłopcze! Gdzie reszta waszej załogi?

– Nie żyje.

– Wszyscy nie żyją? Nie wierzę!

– Sztorm zniósł nas z kursu. Byliśmy zmuszeni szukać schronienia w zatoce, lecz Alexandria uszkodziła kadłub na rafie. Musieliśmy ją naprawić. I wtedy zostaliśmy napadnięci przez... nie jestem pewien... cienie.

Kiedy ksiądz przetłumaczył opowieść Jacka, zainteresowanie Masamoto gwałtownie wzrosło.

– To byli chyba ludzie... odziani w czerń. Widziałem tylko ich oczy. Mieli miecze, łańcuchy, noże do miotania... ojciec sądził, że to byli *wakō*.

– Ninja – szepnął Masamoto.

– Kimkolwiek byli, jeden z nich zamordował mojego ojca – wyrzucił z siebie Jack głosem drżącym z emocji; wspomnienie tamtej nocy paliło go w piersi niczym ogień. – Ninja z jednym jedynym zielonym okiem!

Masamoto nachylił się, napięty i wyraźnie zaniepokojony, gdy ojciec Lucius tłumaczył słowa chłopca.

– Powtórz dokładnie to, co właśnie powiedziałeś – zażądał jezuita w imieniu Japończyka.

Obraz zakrytej kapturem twarzy wojownika i śmierć ojca ożyły w pamięci Jacka. Przełknął z wysiłkiem ślinę, po czym wyjaśnił:

– Ninja, który zabił mojego ojca, miał jedno oko. Zielone jak skóra węża. Nigdy tego nie zapomnę.

– Dokugan Ryu. – Masamoto splunął, jakby spróbował trucizny.

Samurajscy strażnicy wyraźnie zesztywnieli na te słowa. Na twarzy ciemnowłosego chłopca odbił się strach, Akiko zaś spojrzała na Jacka ze współczuciem.

– Doku-co? – spytał, bo nie zrozumiał słów Masamoto.

– Dokugan Ryu. To znaczy „Smocze Oko” – wyjaśnił ojciec Lucius. – Dokugan Ryu to ninja, który przed dwoma laty zamordował Tennę, najstarszego syna Masamoto. Masamoto-sama udaremnił próbę zamachu na swego *daimyo* i ścigał ludzi za to odpowiedzialnych. Dokugana Ryu wysłano, by zabił jego syna. To miało stanowić ostrzeżenie, by Masamoto zaprzestał poszukiwań. Od tamtej pory nikt nie widział tego ninja.

Masamoto powiedział coś poważnym tonem do ojca Luciusa.

– Masamoto chce znać miejsce pobytu pozostałych członków twojej rodziny. Co z matką? Znajdowała się na pokładzie?

– Nie, zmarła, kiedy miałem dziesięć lat. Zapalenie płuc. – Jack spojrzał znacząco na jezuitę, domyślając się przyczyny dolegliwości zakonnika. – Ojciec zostawił moją małą siostrzyczkę Jess pod opieką sąsiadki, lecz pani Winters była zbyt stara i biedna, by się zajmować nami obojgiem. Dlatego znalazłem się na statku. Byłem wystarczająco duży, by pracować, więc ojciec znalazł mi na Alexandrii posadę majtka.

– Wiele wycierpiałeś. Szczerze ci współczuję z powodu śmierci matki. I ojca – odezwał się ojciec Lucius z widocznym poruszeniem.

Następnie powtórzył opowieść Masamoto, który słuchał z powagą. Samuraj nalał sobie jeszcze trochę senchy. Długo wpatrywał się w czarkę, po czym bez pośpiechu wypił jej zawartość.

Nikt nie przerywał ciszy.

Masamoto odstawił naczynko i zwrócił się do obecnych w pomieszczeniu. Kiedy mówił, rumieńce odpłynęły z twarzy duchownego, a oczy Akiko wyraźnie rozszerzyły się ze zdumienia.

Jack spostrzegł, że ciemnowłosy chłopiec stężał jak kamień; jego ponura twarz stała się jeszcze posępniejsza i wyrażała nieskrywaną niechęć.

Ojciec Lucius tłumaczył lekko drżącym głosem.

– Masamoto-sama postanowił, że ty, Jack Fletcher, zostaniesz pod jego opieką do osiągnięcia pełnoletności. Ponieważ dziś wypada druga rocznica śmierci jego syna, wierzy, iż jesteś „darem bogów". Ucierpiałeś z ręki tego samego Dokugana Ryu. Masz zatem zająć miejsce Tenno u jego boku i od tej pory będziesz traktowany jak krewny.

Jack czuł się jak ogłuszony. Nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać na wieść, że został adoptowany przez samurajskiego władcę. Nim jednak zdążył odpowiedzieć, Masamoto wezwał do pokoju Taka-sana. Młody strażnik przyniósł owiniętą jutową tkaniną paczkę, którą położył u stóp Jacka.

Samuraj zwrócił się do chłopca; ojciec Lucius tłumaczył słowa Japończyka.

– Ściskałeś to zawiniątko, kiedy Masamoto-sama wyłowił cię z morza. Teraz, skoro odzyskałeś zdrowie, zwraca ci twoją prawowitą własność.

Masamoto gestem polecił Jackowi odwinąć prostokątny przedmiot. Chłopiec szarpnął za sznurek i tkanina rozwinęła się, ukazując ciemną paczkę z nieprzemakalnego płótna. Wszyscy w pokoju patrzyli z rosnącym zainteresowaniem. Ojciec Lucius przysunął się bliżej.

Jack wiedział doskonale, co ma przed sobą; nie musiał nawet rozwijać płótna. To był rutter ojca.

Cały pokój zawirował; chłopiec naraz ujrzał przed sobą twarz taty. John leżał konający na pokładzie, pęcherzyki krwi pękały mu na wargach. Głowa opadła na bok i oczy spotkały się z oczyma syna.

„Jack... rutter... weź go... do domu... on cię doprowadzi do domu...".

A potem wydał ostatnie tchnienie.

– Jack? Dobrze się czujesz? – spytał ojciec Lucius, przywołując chłopca do rzeczywistości.

– Tak – odparł, szybko odzyskując panowanie nad sobą. – Po prostu zrobiło mi się smutno. To należało do mojego ojca.

– Rozumiem. Zapewne jego mapy morskie? – rzucił swobodnie duchowny, lecz błyszczące oczy cały czas spoglądały pożądliwie na zawiniątko.

– Nie... nie... to pamiętnik – skłamał chłopiec, chowając rutter.

Ojciec Lucius nie wydawał się przekonany, lecz nie drążył dalej.

Gdy zawiniątko zostało schowane, samuraj wyraźnie uznał spotkanie za zakończone i wstał. Wszyscy skłonili się, kiedy przemówił.

– Masamoto-sama zarządził, że masz wypoczywać – przetłumaczył ksiądz. – Spotka się z tobą znowu jutro.

Wszyscy pokłonili się ponownie i Masamoto wyszedł z sali, a za nim szybko podążyli dwaj strażnicy oraz naburmuszony czarnowłosy chłopiec.

Ojciec Lucius także się podniósł, by odejść, lecz zaniósł się kaszlem, od którego niemal pękały płuca. Kiedy atak minął, duchowny otarł pot z czoła.

Zwrócił się do Jacka.

– Zaraza na ciebie i wasz heretycki statek! Słabuję, odkąd przybiliście do tych brzegów – zachrypiał, przytrzymując się *shoji*. Odwrócił się i spojrzał chłopcu w oczy. – Słówko ostrzeżenia, Jacku Fletcherze. Nigdy nie zapominaj, że twój wybawca jest samurajem. Samuraje to zdolni, lecz bezlitośni ludzie. Jeden błąd, a posieka cię na drobne kawałeczki.

---

[23] Você fala... (portug.) – Czy mówisz po portugalsku? (przyp. tłum.)

[24] Parlez-vous... (fr.) – Czy mówisz po francusku? (przyp. tłum.)

[25] Hablas español? (hiszp.) – Czy mówisz po hiszpańsku? (przyp. tłum.)

[26] Falo um... (portug., fr., hiszp.) – Tak, trochę. (przyp. tłum.)

[27] Doushita? Kare wa doko... (jap.) – Co jest? A on skąd się wziął?

[28] Sumimasen... (jap.) – Proszę mi wybaczyć, panie Masamoto.

[29] Douka... (jap.) – Coś się stało?

[30] Nani no... (jap.) – Nic, panie Masamoto.

[31] Moushiwake... (jap.) – Proszę o wybaczenie, panie Masamoto.

14

Wezwanie

Jack popołudnie spędził w ogrodzie.

Wciąż nie mieściło mu się w głowie, że został zaadoptowany przez samuraja! Pomyślał, że powinien czuć się wdzięczny. Miał jedzenie i dach nad głową, a domownicy nie traktowali go już jak przybłąkanego psa. Czuł się raczej jak szanowany gość. Taka-san nawet mu się ukłonił!

Lecz mimo to nie należał do tego miejsca. Był obcym w kraju wojowników, kimon i senchy. Pytanie brzmiało jednak: gdzie jest jego miejsce?

Odkąd matka i ojciec zmarli, nie miał właściwie domu. Siostra mieszkała u pani Winters, lecz co się stanie, kiedy zabraknie pieniędzy, jakie ojciec dał na utrzymanie Jess? Albo jeśli staruszka umrze? Jack musiał odnaleźć drogę do domu i wrócić ze względu na siostrę. Lecz Anglia znajdowała się na drugim końcu świata i było rzeczą niewyobrażalną, by dwunastoletni chłopiec zdołał przepłynąć dwa oceany, nawet mając rutter ojca.

Chłopiec wzdrygnął się mimo upału, czując beznadziejność położenia. Miał być uwięziony w Japonii, aż znajdzie statek zmierzający do Anglii albo dorośnie na tyle, by wyruszyć w drogę na własną rękę.

Musiał zostać, jeśli chciał przeżyć; nie miał innego wyboru.

Usiadł pod wiśnią, ocieniony od słońca, rozmyślając o kruchej nadziei, jaką dawał rutter.

Pamiętał ogromne podniecenie, kiedy ojciec pierwszy raz pokazał mu oprawną w skórę książkę. Rutter wydawał się ciężki od zgromadzonej wiedzy i tajemnic. Jack przysiągłby, że kiedy go otwierał, poczuł dolatujący z kartek zapach oceanu.

Wewnątrz znajdowały się skomplikowane, ręcznie kreślone mapy; współrzędne geograficzne portów i przylądków; obserwacje dotyczące głębokości i rodzaju dna morskiego; szczegółowe raporty z podróży morskich ojca; informacje o miejscach, gdzie miał przyjaciół, i portach pełnych wrogów; naniesiono tam rafy, wykreślono prądy, oznaczono kółkami przystanie; sekretny szyfr chronił zawartą na każdej stronie wiedzę, jak płynąć bezpiecznie z dala od wrogich oczu.

– Rutter – powiedział mu kiedyś ojciec – jest dla pilota tym samym, czym Biblia dla księdza.

Jack słuchał w skupieniu, gdy ojciec tłumaczył, że o ile szerokość geograficzną w miarę łatwo jest wyznaczyć z pozycji gwiazd, określenie w przybliżeniu pewnej długości wciąż pozostaje rzeczą niemożliwą. To oznaczało, że gdy statek raz oddalił się od lądu, praktycznie rzecz biorąc – błądził. Każdy rejs był zatem najeżony niebezpieczeństwami. Chyba że...

– Chyba że – ciągnął ojciec – posiadasz rutter. Ta książka, mój synu, zawiera wszelką wiedzę, jakiej potrzeba, by bezpiecznie przeprowadzić statek przez ocean. Dla zdobycia tych notek wielu ludzi ryzykowało głową. Zawsze po skończonym rejsie dodaję własne obserwacje. Rutter jest bezcenny! Istnieje tylko kilka naprawdę wiarygodnych. A nasi wrogowie, Portugalczycy, bardzo by chcieli dostać jeden z nich w swoje ręce... za wszelką cenę...

Teraz należał do Jacka.

Stanowił jedyne ogniwo łączące go z dawnym życiem. Z ojcem. W istocie był jego jedyną nadzieją na powrót do domu, zawierał cienką nić wskazówek, opasującą świat.

Kiedy Jack kartkował książkę, na ziemię wypadł luźny skrawek pergaminu. Chłopiec sięgnął po niego. Rozłożył szorstką od morskiej wody kartę o rogach pozawijanych i zniszczonych wielokrotnym oglądaniem i jego oczom ukazał się nieporadny rysunek przedstawiający cztery postaci w ogródku przed kwadratowym domkiem. Natychmiast je rozpoznał.

Był tam ojciec, wysoki, z nagryzmoloną czarną szopą rozwianych wiatrem włosów, sam Jack z nieprawdopodobnie dużą głową i żółtą czupryną, jego mała siostrzyczka w sukience, machająca jedną ręką, drugą trzymająca za rękę brata, a pośrodku, ponad nimi wszystkimi, matka z anielskimi skrzydłami.

Jess narysowała obrazek i dała go ojcu w dniu, kiedy odpływali z Anglii do Japonii. Jack przełknął łzy, starając się nie rozpłakać. Jak Jess zniesie wiadomość, że ojciec nie żyje?

Poczuł nagle, że ktoś go obserwuje, i podniósł wzrok znad rysunku. Od strony domu gapił się na niego czarnowłosy chłopiec.

Od jak dawna tam stoi?

Jack otarł oczy, potem skłonił się krótko. Tak nakazywała uprzejmość. Tamten nie zareagował.

„O co mu chodzi?" – pomyślał Jack. Chłopak niewątpliwie miał wysoką pozycję, skoro przybył z Masamoto, lecz choć jeszcze nie zostali sobie przedstawieni, od początku odnosił się do Jacka z wrogością.

Chwilę potem zza domu nadeszli Akiko oraz Jiro, który z przejęciem machał kawałkiem papieru, i czarnowłosy chłopiec zasunął *shoji*. Jack złożył obrazek i starannie schował go do ruttera.

Akiko skłoniła się, po czym wzięła papier od Jiro i z szacunkiem podała Jackowi, trzymając go w obu dłoniach.

– *Arigatō* – podziękował chłopiec.

– *Dōmo*[32] – odparła.

Jacka ogarnęła irytacja, że nie umie jej przekazać nic więcej. Tak wiele chciał teraz powiedzieć, znać odpowiedzi na tyle pytań. Otaczali go pełni wdzięku cudzoziemcy, lecz był od nich całkowicie odizolowany z powodu nieznajomości języka. Improwizowana lekcja z Akiko poprzedniego wieczoru była rzeczą najbliższą normalnej rozmowy od dwóch tygodni, odkąd spadła mu gorączka.

Rozłożył liścik i przeczytał wiadomość.

Wymagana jest Twoja obecność. Masz jutro rano przyjść zaraz po śniadaniu do mojej kwatery. Mieszkam w czwartym domu na lewo od molo.

Ojciec Lucius

Jack oparł się o drzewo. Czego jezuita może od niego chcieć?

[32] Dōmo (jap.) – Dzięki.

15

Yamato

Domek ojca Luciusa okazał się niewielki i odsunięty od głównej drogi. Taka-san, samuraj z domu Hiroko, szarpnął dzwonek przy furtce i czekał na reakcję.

Jack usłyszał powłóczące kroki i brama się otworzyła. Pojawił się ojciec Lucius, dyszący i z załzawionymi oczyma.

– Witaj w moich skromnych progach, heretyku. Wejdź, proszę.

Chłopiec minął bramę i znalazł się w niewielkim ogródku, w niczym nieprzypominającym raju Uekiyi. Pokrywały go jedynie błotniste grządki warzyw i ziół. Nie było żadnych ozdób ani uroczych strumyczków, tylko samotna jabłoń z zawiązkami kilku owoców. Ten ogród służył do uprawy, nie kontemplacji.

Taka-san, skoro odeskortował Jacka, skłonił się i odszedł.

Ojciec Lucius poprowadził chłopca do niewielkiej, skromnie umeblowanej izdebki ze stołem, dwoma krzesłami i prowizorycznym ołtarzem. Ścianę w głębi zdobił duży drewniany krucyfiks.

– Usiądź – polecił chłopcu, a sam umościł się na krześle po przeciwnej stronie stołu. Od czasu do czasu pokasływał w chustkę.

– A więc jak się dzisiaj miewa młody samuraj? – zakpił.

– Po co mnie ojciec wezwał? – odezwał się Jack, ignorując drwinę.

– Mam cię uczyć japońskiego.

– Dlaczego? – spytał chłopiec z niedowierzaniem. – Wczoraj nie wydawał się ojciec chętny do pomocy.

– Rozsądnie jest czynić to, o co prosi Masamoto. – Spojrzał Jackowi w oczy. – Będziemy zaczynać każdego ranka o tej porze. Zrobisz, co każę, i kiedy każę. Może nawet zasłużysz na zbawienie.

– Nie potrzebuję „zbawienia". Niech mnie ojciec nauczy japońskiego i zachowa dla siebie swoje kazania...

– Dość tego zuchwalstwa! – Jezuita uderzył dłonią w blat. – Niech cię Bóg strzeże przed twoją ignorancją. Zaczynamy. Im szybciej poznasz ich mowę, tym szybciej własny język zaprowadzi cię na szubienicę!

Otarł z warg ślinę, po czym mówił dalej.

– Język jest kluczem do świata Japończyków. Posiada specyficzne słownictwo i budowę zdań. Jest niepowtarzalny. Odzwierciedla cały ich sposób myślenia. Pojmij język Japończyków, a zrozumiesz ich samych. Nadążasz jak dotąd?

– Tak. Muszę myśleć jak Japończyk, żeby mówić ich językiem.

– Doskonale. Widzę, że matka nauczyła cię przynajmniej słuchać.

Ojciec Lucius sięgnął za siebie i odsunął niewielką płytę na ścianie, odsłaniając szafkę, z której wyjął gruby tom, trochę papieru, gęsie pióro i inkaust. Położył je na stole i lekcja się rozpoczęła.

– W porównaniu z innymi językami japoński jest stosunkowo prosty. Z pozoru wydaje się znacznie mniej złożony niż angielski. Przed rzeczownikami nie ma rodzajników, żadnych „ten" czy „jakiś". Słowo „hon" może oznaczać książkę, tę książkę, jakąś książkę, jakieś książki albo te książki.

Jack powoli zaczął dochodzić do przekonania, że mniej bolesne niż uczenie się japońskiego byłoby słuchanie jezuickiego kazania!

– Czasowniki nie odmieniają się i nie mają bezokoliczników... – Ojciec Lucius przerwał raptownie. – Czemu niczego nie zapisujesz? Sądziłem, że jesteś wykształcony.

Chłopiec z ociąganiem sięgnął po pióro, zanurzył je w kałamarzu i zaczął notować.

Kiedy Taka-san wrócił, by zabrać Jacka, chłopcu kręciło się w głowie od słówek i japońskich osobliwości. Nie zamierzał jednak pokazać, że nauki ojca Luciusa zbiły go z tropu, i ostentacyjnie – choć zacinając się – przywitał samuraja po japońsku.

Taka-san spojrzał zaskoczony, zamrugał, a potem się uśmiechnął, kiedy zrozumiał wypowiedziane z silnym obcym akcentem japońskie powitanie.

Wrócili do domu Hiroko. Natychmiast po obiedzie Jack został wezwany przed oblicze Masamoto.

Mężczyzna siedział na podwyższeniu, dominując nad pokojem niczym jakieś bóstwo w poświęconej świątyni, a uzbrojeni

samuraje pełnili straż honorową. U boku Masamoto był też czarnowłosy chłopiec, milczący i nadąsany.

Ku przerażeniu Jacka przez drugie *shoji* wszedł jezuita i ukląkł obok, lecz wezwano go jedynie po to, by tłumaczył.

– Jak ci się podobała lekcja z ojcem Luciusem? – zapytał Masamoto za pośrednictwem duchownego.

– *Ii desu yo, arigatō gozaimasu* – odparł chłopiec, licząc, że poprawnie wymówił słowa: „Ogromnie, dziękuję bardzo".

Samuraj skinął z zadowoleniem.

– Szybko się uczysz. To dobrze – ciągnął, a niezadowolony ojciec Lucius tłumaczył. – Muszę wracać do Kioto. Zająć się sprawami swojej szkoły. Pozostaniesz w Tobe, póki nie wygoi ci się ręka. Moja siostra Hiroko dobrze się tobą zajmie. Ojciec Lucius ma kontynuować nauki i liczę, że po moim powrocie będziesz płynnie mówił po japońsku.

– *Hai,* Masamoto-sama – odparł Jack, kiedy tylko duchowny skończył tłumaczyć.

– Zamierzam wrócić do Toby, nim zima rozpocznie się na dobre. Teraz przedstawię ci mojego drugiego syna Yamato. Zostanie tutaj z tobą. Każdy chłopiec potrzebuje przyjaciela; on zostanie twoim. Bowiem w istocie jesteście teraz braćmi.

Yamato skłonił się krótko z oczyma utkwionymi w Jacka. Surowe i wyzywające, przekazywały jasną wiadomość: Jack nigdy nie będzie godny, by zająć miejsce jego brata Tenny, a Yamato nie ma zamiaru zostać jego przyjacielem... Nigdy.

16

Bokken

Wiśnia pośrodku ogrodu odmierzała Jackowi czas spędzony w Japonii. Kiedy przybył, była bujna i zielona: chłodna przystań dająca osłonę przed letnim skwarem. Teraz, po trzech miesiącach, gdy jego ręka wygoiła się zupełnie, liście zmieniły barwę na złotobrązową i zaczynały opadać.

Drzewo stało się dla Jacka czymś na kształt azylu. Przesiadywał tu godzinami, studiując rutter, próbując rozwikłać jego tajemnice i przywołać wspomnienie ojca za życia.

Lecz wiśnia była także symbolicznym mostem, ogniwem, za którego pośrednictwem zaczynał powoli rozumieć kulturę japońską. Tu bowiem spotykał się z Akiko niemal każdego popołudnia, by ćwiczyć posługiwanie się jej językiem.

Trzy dni po wyjeździe Masamoto usłyszała Jacka biedzącego się z wymową japońskiego zwrotu, którego kazał mu się nauczyć ojciec Lucius, i zaofiarowała pomoc.

– *Arigatō*, Akiko – odparł i powtórzył zwrot poprawnie kilka razy, by go sobie utrwalić w pamięci.

Tak się zaczęły ich popołudniowe spotkania; w połączeniu z lekcjami u ojca Luciusa przyczyniły się do tego, że japońszczyzna Jacka szybko się poprawiała. Akiko była dla niego wybawieniem. Z każdym mijającym tygodniem chłopiec mówił coraz płynniej.

Yamato zaś przeciwnie: mimo rozkazu ojca, że ma się zaprzyjaźnić z Jackiem, zachowywał lodowaty dystans. Jeśli o niego chodziło, Jack mógłby nie istnieć.

– Czemu Yamato ze mną nie rozmawia? – zapytał Jack Akiko pewnego dnia. – Czymś mu się naraziłem?

– Ależ nie – powiedziała z wielką uprzejmością. – Jest twoim przyjacielem.

– Wszyscy są moimi przyjaciółmi tylko dlatego, że tak im kazał Masamoto! – odpalił.

– Mnie nie kazał – odparła i w jej oczach dostrzegł przelotny wyraz smutku.

Uświadomił sobie, iż zachował się niegrzecznie, i rozpaczliwie próbował sobie przypomnieć stosowną japońską formułę przeprosin. Przepraszanie, jak mu wyjaśnił ojciec Lucius, uchodzi w Japonii za cnotę. Inaczej niż dla Europejczyków widzących w nim dowód winy lub porażkę, dla Japończyków oznacza, że ktoś przyjmuje odpowiedzialność za swoje czyny i unika obwiniania innych. Kiedy ktoś przeprasza i demonstruje wyrzuty sumienia, Japończycy chętnie mu przebaczają i nie żywią urazy.

– Najmocniej przepraszam, Akiko – powiedział w końcu. – Byłaś dla mnie bardzo życzliwa.

Ukłoniła się, przyjmując przeprosiny, i kontynuowali rozmowę. Kąśliwa uwaga Jacka poszła w zapomnienie.

* * *

Kiedy tego dnia zbliżał się do ulubionego miejsca, chcąc się zabrać do nauki, zauważył, że wiśnia zrzuciła niemal wszystkie liście i pod jej gałęziami leży złocisty dywan. Ogrodnik Uekiya zamiatał zeschłe liście i chował je do worka.

Jack podniósł grabie i zaczął pomagać staruszkowi.

– To nie jest praca dla samuraja – łagodnie zauważył ogrodnik, wyjmując mu z rąk narzędzie.

W tej samej chwili nadeszła po mostku Akiko. Jack zauważył, iż dziewczyna ma na sobie liliowe kimono w kwiaty o barwie kości słoniowej przepasane złotożółtym *obi*. Wciąż nie mógł przywyknąć do tego, jak nieskazitelnie wyglądają zawsze Japonki.

Usadowili się pod drzewem, zaś Uekiya skłonił się i odszedł, by się zająć jednym z krzewów. Rozpoczęli popołudniową lekcję. Nie zdążyli zrobić dużych postępów, gdy Jack zapytał dziewczynę o dziwną uwagę ogrodnika.

– Jak mogę być samurajem? Nie mam nawet miecza.

– Bycie samurajem nie polega jedynie na wymachiwaniu mieczem. To prawda, samuraje są wojownikami, bo należymy do *bushi*, klasy wojowników. Jako przybrany syn Masamoto jesteś teraz także samurajem. – Przerwała, by jej słowa zapadły chłopcu w serce. – Słowo samuraj znaczy „służyć”. Samuraj jest lojalny przede wszystkim wobec cesarza, a następnie wobec swojego *daimyo*. Wszystko jest kwestią obowiązku. Ty masz obowiązki wobec Masamoto. Nie wobec ogrodu.

– Nadal nie rozumiem.

– Zrozumiesz. Bycie samurajem to stan umysłu. Masamoto cię tego nauczy.

Kiedy Jack starał się pojąć znaczenie jej słów, z domu wyszedł Yamato, niosąc kij z ciemnego drewna. Miał on długość równą mniej więcej długości ramienia chłopca; jedną trzecią wytoczono na okrągło, tworząc solidną rękojeść, pozostałe dwie trzecie uformowano w kształt długiego ostrza, lekko wygiętego na końcu.

– Co on niesie? – spytał Jack.

– To bokken. Drewniany miecz.

Yamato zobaczył ich, ukłonił się sztywno i pomaszerował w stronę niezarośniętego skrawka ogrodu.

– Co takiego? Miecz zabawka! – roześmiał się Jack, widząc, jak chłopiec macha bokkenem nad głową i wymierza morderczy cios wyimaginowanemu przeciwnikowi.

– Zabawka? Nie, bokken to nie zabawka – odparła Akiko, poważniejąc nagle. – Można nim zabić człowieka. Masamoto-sama pokonał ponad trzydziestu samurajów, używając bokkena przeciw ich mieczom.

– Co więc Yamato teraz robi? Mnie to wygląda na zabawę.

Japończyk powtórzył cios, potem wykonał serię cięć i bloków.

– *Kata*. To ustalone sekwencje ruchów, pomagające samurajowi doskonalić umiejętności wojownika. Yamato uczy się sztuki walki mieczem.

– Cóż, skoro jestem samurajem, też się nauczę walczyć – odparł Jack, poprawił kimono i wstał.

Nie zważając na protesty dziewczyny, zbliżył się do miejsca, gdzie ćwiczył Yamato. Przyglądał się z zaciekawieniem, analizując jego ruchy i technikę. Japończyk ignorował go, nadal atakując i odbijając ciosy wyimaginowanego wroga.

– Mogę też spróbować? – zapytał, kiedy Yamato najwyraźniej uciął wrogowi głowę potężnym poprzecznym cięciem.

Yamato wsunął bokken za *obi* i zmierzył go wzrokiem niczym nowicjusza.

– Czemu nie, gaijinie – odparł z wyniosłym rozbawieniem. – Nieźle będzie mieć cel do ćwiczeń. Jiro, przynieś bokken dla gaijina!

Po chwili malec w podskokach wybiegł z domu z drugim drewnianym mieczem. Z wysiłkiem dźwigając większy od siebie przedmiot, podał go Yamato, który skłonił się z wyciągniętymi obiema rękami i przekazał bokken Jackowi.

Chłopiec zrobił krok naprzód.

– Nie! Musisz się ukłonić, kiedy spotyka cię zaszczyt używania cudzego miecza.

Rozkaz zirytował Jacka, lecz mimo to usłuchał. Ogromnie chciał dotknąć broni, nauczyć się jej używać w podobny sposób, jak Masamoto posługiwał się swymi dwoma mieczami na plaży.

– Chwyć go dwiema rękami – zwrócił się Yamato jak do dziecka.

Jack ujął drewniany miecz i przekonał się, że jest niezwykle ciężki. Teraz zrozumiał, czemu taka broń może spowodować śmiertelne obrażenia.

– Nie! Ostrzem w dół – poprawił Yamato, kiedy chłopiec wyciągnął przed siebie bokken, tak jak wcześniej to widział u Japończyka. Przekręcił miecz w dłoniach Jacka.

– Nie opuszczaj *kissaki*!

– *Kissaki*? – powtórzył Jack.

– To koniec bokkena. Ma się znajdować na wysokości gardła przeciwnika. Jedna stopa do przodu. Druga do tyłu. Szerzej.

Musisz stać pewnie.

Zapalając się do roli nauczyciela, krążył wokół Jacka i drobiazgowo poprawiał jego pozycję, aż go zadowoliła.

– To musi wystarczyć. Najpierw przećwiczymy *kihon*, podstawy. Prosta zastawa i cios.

Stanął naprzeciw i uniósł *kissaki* na taką samą wysokość jak Jack. Chwilę później uderzył w jego bokken. Broń zadrżała w rękach chłopca i ból przeniknął jego rękę, zmuszając do wypuszczenia miecza. Klinga Yamato spadła i zatrzymała się o włos od gardła Jacka. Japończyk patrzył mu pogardliwie w twarz, rzucając milczące wyzwanie, by chłopiec choćby spróbował drgnąć.

– Nie uczyli cię walczyć tam, skąd pochodzisz? Trzymasz go jak dziewczyna – skarcił Jacka. – Podnieś miecz. Następnym razem nie trzymaj go między kciukiem i palcem wskazującym. To słaby chwyt, łatwo wytrącić bokken. Spójrz na mnie. Małym palcem lewej dłoni obejmij podstawę rękojeści. Potem pozostałymi palcami chwyć rękojeść. Dwa dolne palce powinny być mocno zaciśnięte. Prawa ręka ma się znajdować tuż pod gardą, palce tak samo jak lewej. To jest prawidłowe *tenouchi*.

Yamato cieszył się z widowiska, jakie urządza kosztem Jacka przed Akiko i Jirą. Rozkoszował się poczuciem wyższości tak bardzo, że nie dostrzegł zażenowania, jakie jego zachowanie budziło w dziewczynie.

„Nie szkodzi – pomyślał Jack. – Wkrótce opanuję używanie bokkena i dam mu nauczkę”.

Kiedy Jack przyswoił sobie właściwy chwyt, Japończyk powtórzył atak. Tym razem chłopiec nie wypuścił bokkena.

– Dobrze. Teraz twoja kolej.

Początkowo sposób zadawania ciosów był dla Jacka niewygodny. Trudno wykonać blok z odpowiednio dużą siłą, lecz Yamato kazał mu powtarzać ruch tyle razy, aż technika zaczęła wydawać się chłopcu naturalna.

Ćwiczyli całe popołudnie; Yamato nauczył go jeszcze trzech ruchów *kihon*: podstawowego cięcia, uniku oraz prostego obronnego bloku. Trening *kata* okazał się zdumiewająco ciężką pracą i Jack wkrótce poczuł zmęczenie. Odkąd opuścił statek, ćwiczył niewiele, więc bokken zaciążył mu w rękach jak ołów. Yamato z wyraźną satysfakcją patrzył, jak przeciwnik traci siły.

– Chcesz teraz spróbować *randori*? – rzucił wyzywająco.

– A co to takiego? – spytał zdyszany Jack.

– Pozorowana walka. Do trzech zwycięstw?

– Przepraszam, Yamato – przerwała Akiko licząc, że zdoła zapobiec nadciągającym kłopotom. – Może zechcielibyście napić się ze mną senchy? Długo ćwiczyliście i powinniście odpocząć.

– Nie, dziękuję, Akiko. Nie jestem spragniony. Ale Jack wygląda, jakby przydał mu się odpoczynek.

Jack wiedział, że Yamato próbuje go sobie podporządkować. Pamiętał podobne sytuacje z Alexandrii. Mężczyźni, którzy nie potrafili się sprzeciwić w pierwszym tygodniu, byli potem ostatni w kolejce po jedzenie, dostawali hamaki najbliżej zęzy i otrzymywali najgorsze obowiązki, jak szorowanie otworów spustowych, używanych przez pozostałych marynarzy jako latryny. Jack musiał dowieść, że nie podda się łatwo. Jeśli ustąpi teraz, już zawsze będzie musiał walczyć o pozycję.

– Nie, dziękuję, Akiko. Nie jestem zmęczony.

– Ale twoja ręka! – nalegała. – To nieroztropnie...

– Nic mi nie będzie – przerwał jej uprzejmie i zwrócił się znowu do Yamato. – *Randori*, tak? Do trzech zwycięstw. Czemu nie?

Stanęli naprzeciw siebie, stykając *kissaki*.

Dłonie Jacka zwilgotniały od potu. Próbował sobie przypomnieć ruchy: pracę nóg, zasłonę, blok, cios. Przygotował się, lecz Yamato uderzył pierwszy. Zbił bokken chłopca w bok i uderzył go po odsłoniętych palcach. Jack krzyknął zaskoczony z bólu i wypuścił broń.

– Za wolno – rzucił Yamato i sadystyczny uśmiech rozlał się po jego twarzy. – Widziałem, jak myślałeś o ruchu, zanim go wykonałeś.

Jack schylił się po miecz. Palce mu pulsowały i z trudem zamknął dłoń na rękojeści. Zacisnął zęby i znowu uniósł *kissaki*.

Tym razem spostrzegł ruch bokkena przeciwnika i odruchowo cofnął się o krok, by uniknąć pierwszego ciosu. Yamato zamachnął się drugi raz i Jack, bardziej za sprawą szczęścia niż świadomego zamiaru, zablokował cios. To rozwścieczyło Japończyka, który wykonał złośliwe pchnięcie – tego Jack zdołał uniknąć jedynie uchylając się w bok. Yamato uderzył go mocno w plecy. Cios powalił chłopca na kolana, nerki paliły ogniem i miał wrażenia, że z płuc uszło mu całe powietrze.

– Dwa do zera – rzucił chełpliwie Yamato nad wijącym się z bólu Jackiem. – Dam ci radę. Nigdy nie odwracaj się plecami do przeciwnika.

– Dość, Yamato – wmieszała się Akiko. – On jeszcze nie umie walczyć. Nie potrafi się bronić!

Jack, bez tchu i zesztywniały z bólu, podniósł się na nogi, używając bokkena jako podparcia. Nie zamierzał się poddać. Oto nadeszła chwila, kiedy musiał dowieść swojej wartości. Wiedział od początku, że nie wygra, ale to on musiał zdecydować, kiedy skończą, a nie Yamato. Z wysiłkiem uniósł miecz.

Japończyk wyglądał na kompletnie zaskoczonego.

– Nie bądź głupi. Do trzech zwycięstw. Wygrałem.

– Co takiego? Boisz się, że cię pokonam?

Otwarte wyzwanie pobudziło Yamato do działania i natychmiast przyjął pozycję.

Wiedząc, iż przeciwnik czujnie wypatruje jego pierwszego ruchu, Jack zamarkował cios na lewo, jaki podpatrzył u Godaia podczas pojedynku na plaży. Yamato wykonał blok, a wtedy Jack zmienił kierunek ataku i silnie skręcił bokken na prawo.

Yamato dał się zaskoczyć i sparował tak niezręcznie, że miecz Jacka trafił go w prawą dłoń. Rozwścieczony nieoczekiwaną porażką, odpowiedział gradem ciosów. Posypały się na Jacka, który zdołał uniknąć dwóch pierwszych i cudem zablokować trzeci, lecz czwarty trafił go w twarz.

Miał wrażenie, jakby ktoś przeciął nić łączącą jego mózg z resztą ciała. Nogi załamały się pod nim i osunął się na ziemię. W głowie dzwoniło mu z bólu, przed oczyma zaś wirowały iskry.

Akiko natychmiast znalazła się u jego boku, głośno ponaglając Chiro, by przyniosła wodę i ręczniki do zatamowania krwi cieknącej Jackowi z nosa, Jiro ciągnął chłopca za rękaw, wystraszony gwałtowną sceną. Nawet Taka-san zjawił się nie wiadomo skąd i pochylił z troską.

Jack widział Yamato stojącego samotnie, z twarzą wykrzywioną gniewem, bo nikt nie docenił jego zwycięstwa. Jack został pokonany, lecz ostatecznie to on zwyciężył.

17

Gaijin

– Co ci się stało? – zachrypiał ojciec Lucius z łóżka.

– Biłem się – odparł chłopiec wymijająco, nie mogąc ukryć sińców wokół oczu.

– Wygląda na to, że przegrałeś. Ostrzegałem, że samuraje potrafią być bezwzględni.

Jezuita usiadł w pościeli i rozkaszlał się w chustkę. Od niedawna do kaszlu i żółtej plwociny dołączyły gorączka i dreszcze. Pamiętając o rozkazach Masamoto, mimo wyczerpania nalegał, by Jack wciąż przychodził na lekcje. Tym razem jednak musieli przerwać po kilku zdaniach.

– Jack, obawiam się, że choroba mnie pokonała mimo wszelkich naparów, ziół i maści, jakie mi przepisał miejscowy lekarz. Nawet ich medykamenty nie potrafią jej zwalczyć...

Zakonnik dostał napadu kaszlu, jego twarz wykrzywił ból, złapał się za pierś. Kaszel stopniowo ustał, zastąpiony ciężkim rzężeniem.

– Przykro mi, ojcze – mruknął chłopiec, nie wiedząc, co więcej powiedzieć.

Wrogość, jaka cechowała ich wcześniejsze spotkania, w trakcie wspólnej nauki zmieniła się w podszytą nieufnością przyjaźń i Jack szczerze się martwił o chorego.

– Nie trzeba mnie żałować. Spełniłem swój obowiązek na tej ziemi i wkrótce otrzymam sprawiedliwą nagrodę w niebie. – Zakonnik uczynił na piersi znak krzyża. – Jutro poczuję się lepiej, dziś jednak musisz się pouczyć sam. Podaj mi, proszę, książkę.

Jack sięgnął ku stołowi po gruby notatnik.

– Dzieło mojego życia – wyjaśnił ojciec Lucius, delikatnie gładząc miękką skórzaną okładkę. – Słownik japońsko-portugalski. Spisywałem go, odkąd przybyłem do Japonii przed ponad dziesięcioma laty. To klucz do ich języka i sposobu myślenia. Dzięki niemu zakon będzie mógł nieść Słowo Boże każdej japońskiej wyspie.

Jego załzawione oczy błysnęły religijnym zapałem.

– To jedyny taki słownik na świecie, Jack – powiedział i utkwił w chłopcu poważne spojrzenie. Przyglądał mu się przez długą chwilę, po czym drżącą ręką podał książkę.

– Czy zaopiekowałbyś się nim w moim imieniu, a jeśli odejdę z tego świata, postarasz się, by trafił w ręce jego eminencji ojca Diego Bobadilli w Osace?

– Tak, ojcze – obiecał chłopiec, nie umiejąc odmówić prośbie umierającego. – To dla mnie zaszczyt.

– Nie, zaszczyt przypadł w udziale mnie. Mimo swoich religijnych przekonań okazałeś się pilnym uczniem. Twoja matka

musiała być doskonałą nauczycielką. Z dalszą pomocą Akiko przed upływem roku będziesz mówił jak rodowity Japończyk.

Uśmiechnął się przymilnie, po czym ciągnął dalej niezwykle słodkim tonem.

– Może byłbyś tak dobry i pozwolił mi w zamian spojrzeć na pamiętnik twego ojca? Obawiam się, że moje dni na tej ziemi są policzone i z wielką przyjemnością poczytałbym o ziemskich przypadkach kogoś innego.

Jack zesztywniał natychmiast. Czyżby podarowanie mu słownika stanowiło jedynie fortel dla zdobycia ruttera?

Przypomniał sobie, jak oczy jezuity błysnęły pożądaniem, kiedy Masamoto pokazał mu książkę po raz pierwszy. Od tamtego dnia ojciec Lucius często wspominał o pamiętniku podczas lekcji. Czy jest bezpieczny? Gdzie Jack go trzyma? Czy zechciałby opowiedzieć którąś z historii ojca? Czy zgodziłby się pokazać kartę z dziennika? Było oczywiste, że duchowny pragnie ruttera, jeśli nie dla siebie, to z pewnością dla swojego zakonu.

– Przykro mi, ojcze, ale, jak wiesz, dziennik zawiera prywatne informacje i jest jedyną pamiątką po mym ukochanym ojcu.

– Wiem, wiem. Nieważne. – Zakonnik wydawał się zbyt zmęczony, by nalegać dłużej. – Zobaczę cię znowu jutro?

– Tak, ojcze. Oczywiście.

Tego popołudnia pod drzewem wiśni Jack przekartkował słownik. Ojciec Lucius słusznie odczuwał dumę ze swojego dzieła. Zawierało dziesiątki japońskich słów wraz z ich portugalskimi odpowiednikami, szczegółowe notatki na temat gramatyki, wskazówki dotyczące właściwej wymowy oraz przewodnik po japońskiej etykiecie. Istotnie było to jego *magnum opus*[33].

– Przepraszam, Jack – przerwała mu Akiko, nadchodząc przez mostek. – Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam?

– Nie, wcale nie – odparł, odkładając książkę. – Chętnie z tobą porozmawiam, ale sądziłem, iż wybierasz się dzisiaj na połów pereł.

– Nie, nie dziś – odparła lekko rozczarowana.

– Czemu nie? Zwykle to robisz, prawda?

– Tak... – Zawahała się wyraźnie, czy powinna mu się zwierzać. Potem jednak podjęła decyzję i uklękła obok.

– Matka mówi, że jestem teraz zbyt dorosła, by się zadawać z takimi ludźmi. Mówi, że damie z klasy samurajów nie uchodzi być *ama*, i zakazuje mi tego.

– Nie uchodzi? Dlaczego?

– Poławianie pereł bywa bardzo niebezpieczne. Zdarza się, że *ama* zostają pochwycone przez przybój albo zaatakowane przez rekiny. Dlatego zatrudnia się do tej pracy tylko wieśniaczki z niższej klasy.

– Czemu więc ty ją wykonujesz? – zapytał nieco zdziwiony.

– Lubię to – wyjaśniła z żarem i w jej oczach błysnął ogień. – Pod powierzchnią można zobaczyć małże, ośmiornice, jeżowce, czasem nawet rekiny. Pod wodą mogę płynąć, gdzie chcę. Robić to, co chcę. Jestem wolna... a to wspaniałe uczucie.

– Rozumiem doskonale, o czym mówisz – przyznał. – Mnie ogarniała podobna gorączka, kiedy Alexandria szła pod pełnymi żaglami i pozwalano mi stanąć na dziobie. Czułem, jakbym dosiadał fal i miał u stóp cały świat!

Oboje umilkli i zatopieni w marzeniach patrzyli na brązowe jesienne liście na gałęziach wiśni, a promyki słońca tańczyły na

ich uniesionych twarzach.

– Czujesz się dziś lepiej? – zapytała po chwili dziewczyna.

– Tak, dziękuję. Yamato nie uderzył mnie zbyt mocno – odparł Jack z oczywistą brawurą.

Posłała mu powątpiewające spojrzenie.

– No, dobrze, nos boli mnie jak diabli – przyznał w końcu. – I wciąż pulsuje mi w głowie, ale miewam się już znacznie lepiej.

– To przeze mnie. Nie powinnam była ci na to pozwolić – powiedziała Akiko z ukłonem. – I przepraszam za postępowanie Yamato. Nie powinien tak się zachowywać.

– Czemu przepraszasz? To nie twoja wina.

– Bo wydarzyło się to w moim domu. Jestem pewna, że Yamato nie zamierzał wyrządzić ci krzywdy. Po prostu dał się ponieść emocjom.

– Cóż, wolałbym nie być pod ręką, gdyby chciał mnie skrzywdzić – rzucił chłopiec gwałtownie.

– Tak bardzo mi przykro. Musisz zrozumieć, Jack, że ojciec wywiera na niego wielką presję. Od śmierci Tenny Masamoto oczekuje, że Yamato stanie się równie uzdolnionym samurajem jak jego brat. Ale to nie usprawiedliwia postępowania Yamato ani tego, że nazywa cię gaijinem. Tak bardzo mi przykro.

– Przestańże wreszcie za niego przepraszać! – uciął Jack z lekką irytacją. – I czemu to takie ważne, że nazywa mnie gaijinem?

– Gaijin znaczy „barbarzyńca". Tak określamy niecywilizowanych cudzoziemców. Nie jest to zbyt uprzejme, a odkąd zostałeś członkiem rodziny, Yamato źle robi, używając tak pogardliwego określenia. To wobec ciebie obraźliwe.

W tej samej chwili Yamato wyszedł z domu z bokkenem zatkniętym za *obi*. Skłonił się zdecydowanie Akiko, lecz całkowicie zignorował Jacka.

Chłopiec patrzył, jak Japończyk przygotowuje się do treningu *kata*, i zdecydował się na własny sposób działania. Odłożył słownik ojca Luciusa i wstał.

– Dokąd idziesz? – spytała Akiko zaniepokojona.

– Poćwiczyć jeszcze trochę – odparł i ruszył do miejsca, gdzie Yamato zaczął właśnie drugie *kata*.

– Wróciłeś po więcej? – spytał z niedowierzaniem, nie przerywając treningu.

– Czemu nie? Gorzej niż wczoraj nie będzie.

– Jak na gaijina bez dwóch zdań nie brak ci charakteru – zauważył chłopak z lekkim rozbawieniem.

Zawołał Jiro, by znowu przyniósł z domu bokken.

– Powtarzaj za mną ruchy. Dokładnie – zwrócił się do Jacka, kiedy obaj trzymali broń w rękach.

Stanął, stykając stopy piętami. Bokken wsunął za *obi* z lewej strony. Lewą ręką trzymał go tuż pod rękojeścią, mocno przyciskając do biodra.

– Odwrotną stroną do góry – objaśnił, ruchem głowy wskazując miecz Jacka. – Ostrze powinno zawsze wskazywać niebo, tak abyś zaraz po wyjęciu bokkena mógł wykonać cios.

Jack przekręcił klingę, tak aby wygięty brzeg drewnianego miecza był skierowany w górę.

– Dobrze. Teraz patrz.

Uniósł prawą dłoń do pasa i chwycił rękojeść. Wysunął prawą nogę do przodu, przyjmując szeroką postawę. Równocześnie

szybkim ruchem wyciągnął bokken, chwycił go obiema rękami i wykonał cios z góry na dół. Zrobił następny krok naprzód, uniósł *kissaki* na wysokość gardła wyimaginowanej ofiary. Po zakończeniu ataku ostrym ruchem nadgarstka przekręcił bokken na prawo, przyjął pozycję wyjściową i starannie schował miecz do pochwy.

– Teraz twoja kolej.

Jack zaczął naśladować ruchy Japończyka, lecz nie zdążył dobrze uchwycić rękojeści, kiedy mu przerwano.

– Nie! Musisz trzymać rękę tuż przy boku. Jeśli ją odsuniesz, przeciwnik po prostu ci ją odrąbie.

Jack zaczął znowu. Na każdym etapie Yamato przerywał mu i poprawiał jego ruchy. Chłopak szybko stracił cierpliwość. Należało pamiętać o tak wielu rzeczach, a Yamato nie ustawał w krytyce.

– Po co jest ten ostatni ruch? – spytał Jack zirytowany.

– Nazywa się *chiburi*. – Yamato uśmiechnął się sadystycznie. – Służy do otrząśnięcia klingi z krwi wroga.

Całe popołudnie zeszło im na powtarzaniu tego jednego *kata* wciąż i wciąż od nowa. Krok po kroku Jack uczył się każdego elementu sekwencji, aż potrafił ją wykonać całą. Z pewnością nie osiągnął płynności, nauczył się jednak podstawowych technik. Kiedy Yamato zakończył sesję, słońce chyliło się ku zachodowi.

– *Arigatō,* Yamato – podziękował mu Jack i ukłonił się uprzejmie.

– *Dōmo, gaijin.*

– Na imię mam Jack. – Wytrzymał władcze spojrzenie Yamato, chcąc zmusić Japończyka, by mu okazał należny szacunek.

– Na imię masz gaijin, póki nie dowiedziesz, że jest inaczej – odparł Yamato, chowając bokken do pochwy.

Potem obrócił się na pięcie i nie odpowiadając na ukłon Jacka, zniknął we wnętrzu domu.

---

[33] Magnum opus (łac.) – główne, najważniejsze dzieło jakiegoś twórcy.

18

Do trzech zwycięstw

Następnego dnia Jack wyszedł do ogrodu wcześniej, by przed zjawieniem się Yamato rozpocząć trening *kata*. Japończyk nie skomentował tego ani słowem, lecz Jack osiągnął cel. Nie pozwoli się zniechęcić do ćwiczeń z bokkenem bez względu na to, jak pogardliwie Yamato będzie go traktował.

Syn Masamoto przyłączył się i zaczął ćwiczyć te same formy.

Bez wątpienia był zdolnym adeptem sztuk walki. Trenował regularnie dopiero od roku, z całą pewnością jednak odziedziczył po ojcu zdolności w posługiwaniu się bronią i wiedział wystarczająco dużo, by uczyć Jacka podstaw kenjutsu – sztuki miecza.

W miarę jak jesień ustępowała miejsca zimie, Jack czynił ciągłe postępy. Początkowo zróżnicowane ruchy *kata* wydawały się niezręczne i sztywne, stopniowo jednak zyskiwały płynność i bokken stał się naturalnym przedłużeniem rąk chłopca. Nawet Yamato nie mógł zaprzeczyć, że Jack wiele się nauczył. Podczas *randori* ich siły coraz bardziej się wyrównywały i za każdym

razem Yamato musiał się bardziej starać, by pokonać przeciwnika.

Akiko nadal nie aprobowała decyzji Jacka, by trenować z Yamato. Uważała, że chłopiec powinien zaczekać do powrotu Masamoto. Pan domu nauczy go należycie sztuki bokkena, nie narażając chłopca na ciągłe kontuzje. Wkrótce jednak zrozumiała, że Jack nie da się przekonać, i ograniczyła się do opatrywania za pomocą ziołowych maści licznych rozcięć i siniaków, jakie wciąż przybywały mu po *randori*.

W zamian za to ustępstwo przekonywała, iż skoro Jack trenuje samurajskie sztuki walki, powinien także zaznajomić się z subtelniejszymi i bardziej wyrafinowanymi aspektami bycia samurajem, a szczególnie oficjalną japońską etykietą. Przypomniała Jackowi, że Masamoto będzie oczekiwał od przybranego syna gruntownej znajomości japońskich obyczajów i chłopiec nie może go zawieść.

Pokazała mu przyjęte sposoby kłaniania się, siedzenia czy wstawania w obecności samuraja i pana domu. Zademonstrowała, jak we właściwy sposób wręczać i przyjmować podarunki, używając obu rąk. Pomagała Jackowi doskonalić znajomość języka, szczegółowo ucząc go poprawnych form zwracania się do ludzi o różnym statusie i stopniu pokrewieństwa.

W trakcie każdej lekcji chłopcu wydawało się, że głowa lada chwila mu pęknie. Istniało tak wiele zwyczajów i sposobów zachowania, że był sparaliżowany strachem, iż kogoś obrazi.

Może dlatego wielką przyjemność sprawiały mu *randori* z Yamato. Pozwalały mu czuć się wolnymi, choćby w niewielkim stopniu panować nad własnymi działaniami i losem.

– Do trzech zwycięstw? – rzucił wyzwanie pewnego dnia, kiedy ogród pokryła cienka warstewka pierwszego śniegu.

– Czemu nie, gaijinie? – odparł Yamato, przyjmując pozycję do walki.

Akiko, która uczyła Jiro rysowania na śniegu znaków japońskiego pisma *kanji*, jak zwykle spojrzała z dezaprobatą, po czym na powrót zajęła się malcem.

Jack sprawdził pozycję, poprawił chwyt i uniósł *kissaki*. Yamato zaatakował natychmiast, z łatwością sparował cios bokkena Jacka i wykonał pchnięcie. Młody Anglik zrobił kilka uników, uchylając się przed klingą, po czym natarł.

Yamato bez wysiłku zablokował cios i skontrował cięciem od dołu. Jack odskoczył w tył; *kissaki* o włos minęła jego podbródek. Usłyszał, jak Akiko westchnęła z niepokojem.

Yamato natarł znowu i trafił go w ramię ciosem z góry. Jack skrzywił się z bólu.

– Jeden dla mnie – oznajmił Yamato, rozkoszując się zwycięstwem.

Starli się ponownie.

Tym razem Jack nie popełnił tego samego błędu i nie dał się łatwo podejść. Zbił w bok bokken Yamato i skierował *kissaki* w twarz Japończyka. Ten zatoczył się w tył, rozpaczliwie próbując uniknąć zranienia. W odwecie machnął dziko swoim bokkenem i Jack musiał się wycofać, by nie trafić pod grad ciosów.

Zwiódł przeciwnika, opuszczając *kissaki*. Yamato dostrzegł szansę, uniósł wysoko bokken i zamierzył się na odsłoniętą głowę Jacka. Jack odskoczył i ciął przeciwnika po brzuchu. Japończyk zgiął się wpół, pokonany nieoczekiwanym manewrem.

Jiro, który stracił zainteresowanie lekcją *kanji*, gdy tylko rozpoczęło się *randori*, zapiał z zachwytu, krzycząc: „Jack wygrał! Pierwszy raz! Jack wygrał!”.

– Po jednym dla każdego, jak mi się zdaje – powiedział Jack, pomagając podnieść się na nogi pozbawionemu tchu Yamato.

– Szczęśliwy traf, gaijinie – wychrypiał Japończyk, odtrącając jego wyciągniętą rękę.

Rozwścieczony, że nie docenił przeciwnika, złamał etykietę walki i zaatakował Jacka, nie czekając, aż obaj staną w gotowości.

Szybko zbił bokken Anglika i ciął z góry w kark. Jack ledwie zdołał wywinąć się spod ciosu i wycofał się szybko, by zwiększyć dystans między sobą a Yamato. Japończyk uderzył poprzecznie tuż nad ziemią, zmuszając Jacka do podskoku. Chłopiec zachwiał się, lecz jakimś sposobem zablokował powracający cios Yamato wymierzony w brzuch.

– Yamato...! – skarciła go Akiko, lecz zupełnie ją zignorował.

Uderzył z dołu w bokken Jacka, wytrącając go chłopcu z rąk. Potem mocno kopnął przeciwnika w pierś, aż ten zatoczył się na pień wiśni.

Kontynuując atak, zamachnął się mieczem prosto na głowę Jacka. W ostatniej chwili, wiedziony instynktem, chłopiec zanurkował i poczuł, jak drzewo zadrżało, gdy bokken uderzył w pień, aż śnieg posypał się z gałęzi.

Jack uświadomił sobie, że sytuacja zrobiła się poważna; zebrał wszystkie siły i rzucił się naprzód, celując ramieniem w brzuch Yamato. Japończyk przewrócił się na plecy, wylądowali jeden na drugim.

– Dość! Dość! – błagała Akiko, tymczasem Jiro podskakiwał w miejscu z podniecenia, oczekując rundy zapasów.

Jack się przetoczył, rozpaczliwie szukając swego bokkena. Zobaczył go u podnóża mostu i przeczołgał się w tamtą stronę. Yamato natychmiast rzucił się w ślad za chłopcem, krzycząc, ile sił w płucach, z mieczem gotowym do ciosu, uniesionym wysoko w powietrze.

Jack chwycił broń i nie zważając na nawoływania Akiko, by się uspokoili, minął dziewczynę i wbiegł na mostek. Słysząc, że Yamato depcze mu po piętach, obrócił się w miejscu i ze świstem przecinając powietrze, zamachnął się bokkenem w głowę Yamato. Miecz Japończyka, wycelowany w głowę Jacka, ze zgrzytem ześlizgnął się po drugim bokkenie; obie klingi zatrzymały się w odległości paru cali od gardeł przeciwników.

– Remis! – krzyknął zachwycony Jiro.

W tej samej chwili nadszedł Taka-san i walczący chłopcy opuścili miecze.

– Jack-kun! – zawołał, podchodząc do trójki. – Ojciec Lucius życzy sobie twego przybycia. Pilnie.

Chłopiec wiedział, że może to oznaczać tylko jedno.

Skłoniwszy się Yamato i Akiko, pośpieszył za samurajem.

Kiedy wszedł do izdebki zakonnika, uderzył go przytłaczający odór wymiocin, zastarzałego potu i uryny. Smród śmiertelności. Dopalająca się świeca ledwie rozjaśniała półmrok. Z kąta w głębi dobiegało ciężkie dyszenie zakonnika.

– Ojcze Luciusie?

Zbliżył się nieśmiało do ciemnej postaci leżącej na brzuchu na futonie. W ciemności potrącił coś stopą; spojrzał w dół i zobaczył

niewielkie wiaderko napełnione po brzegi wymiocinami. Ogarnęły go mdłości, zmusił się jednak, by podejść bliżej i pochylić nad łóżkiem. Świeca zamigotała, potem rozbłysła i Jack ujrzał przed sobą zapadłą, pomarszczoną twarz zakonnika. Sinoblada skóra ojca Luciusa była pokryta tłustym potem. Jego włosy, rzadkie i przetykane siwizną, wiotkimi pasmami przylgnęły do zapadniętych policzków. Na spękanych wargach widniały zaschnięte ślady krwi, pod oczami zaś na dobre zagościły ciemne kręgi.

– Ojcze Luciusie? – powtórzył chłopiec niemal z nadzieją, że zakonnik już nie żyje i nie cierpi dłużej męczarni.

– Jack? – wychrypiał chory i przesunął bladym językiem po spieczonych ustach.

– Tak, ojcze?

– Muszę cię prosić o wybaczenie...

– Za co?

– Przepraszam, Jack... choć jesteś synem heretyka... masz charakter...

Mówił krótkimi zrywami, kolejne zdania przedzielały spazmatyczne, rzężące oddechy. Jack słuchał, przygnębiony ciężkim stanem duchownego. Ojciec Lucius był ostatnim ogniwem łączącym go z drugim krańcem świata i mimo nieustających kazań zakonnika chłopiec nauczył się go szanować. Jezuita także najwyraźniej go polubił, mimo że Jack uparcie nie godził się na zmianę wyznania.

– Błędnie cię osądzałem... Polubiłem nasze lekcje... żałuję, że nie zdołałem cię ocalić od piekła...

– Niech się ojciec o mnie nie martwi – pocieszył go chłopiec. – Mój własny Bóg zatroszczy się o mnie. Tak jak Bóg ojca o niego.

Zakonnik wydał cichy, jękliwy szloch.

– Przepraszam... musiałem im powiedzieć... to był mój obowiązek. – Załkał słabo.

– Co powiedzieć i komu? – zdziwił się Jack.

– Zrozum, proszę... nie wiedziałem, że byli gotowi zabić z tego powodu... Niech Bóg ma litość nad...

– Co ojciec powiedział? – ponaglił Jack.

Duchowny nadal poruszał wargami, próbując powiedzieć coś jeszcze, lecz słowa były niesłyszalne.

Zakasłał słabo i wydał ostatnie tchnienie.

19

Powrót Masamoto

Wiśnia zrzuciła już wszystkie liście i wyglądała jak szkielet na tle nieba, z nagimi gałęziami uginającymi się od śniegu. Jack, idąc przez ogród, przeciął jej cień. Śmierć zdawała się wszechobecna. Co ojciec Lucius miał na myśli, mówiąc: „Nie wiedziałem, że byli gotowi zabić z tego powodu”? Czy chodziło mu o rutter? Jeśli tak, to bez wątpienia chłopiec był w niebezpieczeństwie.

Jego rozmyślania przerwał dobiegający z tyłu cichy głos.

– Tak mi przykro z powodu śmierci ojca Luciusa. Z pewnością odczuwasz ogromny smutek.

Ubrana w proste kimono Akiko wyglądała niczym płatek śniegu w białym świecie.

– Dziękuję – odparł z ukłonem. – Ale nie wydaje mi się, by był moim przyjacielem.

– Czemu tak sądzisz? – Aż westchnęła, wstrząśnięta jego nieczułością.

Jack wciągnął i wypuścił powietrze, zanim odpowiedział. Czy może jej ufać? Czy może tu ufać komukolwiek? Lecz Akiko była najbliższa zostania jego przyjaciółką. Nie miał nikogo innego, komu mógłby się zwierzyć.

– Ojciec Lucius umierając, powiedział coś bardzo dziwnego – wyjaśnił. – Dał do zrozumienia, że ktoś chciał mnie zamordować, i umarł, płacząc i błagając Boga o zmiłowanie.

– Czemu ktoś chciałby cię zabić, Jack? – spytała Akiko, marszcząc nos ze zmieszaniem.

Spojrzał na nią uważnie. Czy ufa jej na tyle, by jej zdradzić tajemnicę ruttera? Nie, zdecydował, nie może ujawnić całej prawdy. W każdym razie jeszcze nie teraz. Notatnik ojca był jedyną wartościową rzeczą, jaką posiadał. Mógł tylko zgadywać, że „im" chodziło właśnie o rutter, ponieważ jednak nie wiedział, kim są „oni", im mniej ludzi będzie znało przeznaczenie notatnika, tym lepiej.

– Nie wiem. Może nie lubią gaijinów? – skłamał.

– Kim są ci oni?

– Też nie wiem. Ojciec Lucius skonał, nim zdążył zdradzić więcej.

– Powinniśmy komuś powiedzieć.

– Nie! Kto mi uwierzy? Uznają to za majaczenia konającego człowieka.

– Ale ty najwyraźniej w nie wierzysz – zauważyła Akiko, przyglądając mu się uważnie. Domyślała się, iż nie wyznał wszystkiego. Nie była naiwna, Jack zachował jednak spokój, gdyż wiedział, że japońskie maniery nie pozwalają nalegać na odpowiedź.

Wzruszył ramionami.

– Może się przesłyszałem. Nie jestem pewien, co powiedział.

– Bardzo możliwe – przyznała, porzucając temat. – Ale na wypadek, gdybyś usłyszał dobrze, powinieneś zachowywać ostrożność. Śpij z bokkenem przy łóżku. Ja poproszę matkę, by zostawiała zapaloną lampę. Powiem, że dręczą mnie koszmary. Dzięki temu każdy intruz pomyśli, iż ktoś cały czas czuwa.

– Dziękuję, Akiko. Ale jestem przekonany, że nie stanie się nic złego – zapewnił chłopiec, nie wierząc we własne słowa nawet w chwili, gdy je wypowiadał.

Miał jednak rację. Nic się nie wydarzyło.

Ojciec Lucius został pochowany wedle swego obrządku, a Jack powrócił do rutyny lekcji japońskiego z Akiko i kenjutsu z Yamato.

Parę dni później przybył konno samuraj z listem zapowiadającym powrót Masamoto do Toby. Miał się zjawić w ciągu tygodnia.

W całym gospodarstwie zapanowało ożywienie. Hiroko osobiście udała się na targ, by zaopatrzyć dom w składniki ulubionych potraw Masamoto, i najęła dla kucharza pomocnika do przyrządzenia uroczystego posiłku. Chiro wyszorowała podłogi, wyprała pościel oraz kimona i przygotowała pokój samuraja. Uekiya zamiótł ścieżki; jakimś sposobem sprawił też, iż ogród wydawał się piękny nawet w surowej zimowej szacie.

Wieczorem w wigilię oczekiwanego przyjazdu Masamoto wszyscy w domu wcześnie udali na spoczynek, by następnego dnia byli rześcy i wypoczęci. Jiro z przejęcia dosłownie odbijał się od papierowych ścian i Hiroko musiała kilkakrotnie go uspokajać.

Nastrój Yamato przeciwnie, pogarszał się tym bardziej, im bliższa była chwila przybycia ojca; chłopak trenował *kata* do późnej nocy, wiedząc, że musiałby wywrzeć na ojcu wielkie wrażenie, by zasłużyć na pochwałę.

Jack leżał na futonie, patrząc na przyćmiony poblask nocnej lampy przeświecającej przez *shoji*, a jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Nie miał pojęcia, czego Masamoto może od niego oczekiwać podczas audiencji. Czy chłopiec będzie musiał dowieść swojej wartości jak Yamato? Czy będzie musiał walczyć? A może chodzi o sprawdzian jego znajomości japońskiego? Albo o wszystko naraz? I najgorsze: co się stanie, jeśli przez pomyłkę w etykiecie dopuści się poważnej obrazy?

Masamoto niewątpliwie nie był kimś, kogo można by zadręczać pytaniami, miał głęboko wpojone mordercze instynkty. Był surowy i szorstki, a jego przerażające blizny onieśmielały Jacka. Chłopiec zastanawiał się, jakie wydarzenie w życiu samuraja pozostawiło na twarzy takie ślady.

Lecz wszyscy w jego otoczeniu darzyli go szacunkiem, a Akiko uważała za „jednego z największych samurajów w dziejach". Nastawił złamaną rękę Jacka – to umiejętność przekraczająca zdolności najbardziej doświadczonych chirurgów angielskich. Chłopiec uświadomił sobie, że Masamoto kryje znacznie więcej tajemnic niż poorana szramami twarz czy szybki miecz.

Jakiś cień prześlizgnął się przed lampą, na chwilę pogrążając pokój w ciemności. Chłopiec sprężył się bezwiednie, lecz jak się zdawało, na zewnątrz nie było nikogo. Nie rozlegały się nawet żadne kroki.

Może to Yamato wracał do swojego pokoju albo wiatr przygasił płomień. Jack przewrócił się na drugi bok, próbując zasnąć.

Zamknął oczy i, jak często robił wieczorem, wyobraził sobie siebie stojącego na dziobie Alexandrii, powracającego do domu, triumfującego, z ojcem pilotującym statek, ładownią pełną złota, jedwabiu i egzotycznych wschodnich korzeni, a Jess machała do nich z przystani...

Kolejny cień przesunął się przez pokój.

Jack otworzył oczy, wyczuwszy, że zrobiło się ciemniej. Usłyszał, jak *shoji* zasunęło się cicho za jego plecami.

Nikt nigdy nie wchodził nocą do jego sypialni. Bez szmeru sięgnął po bokken, leżący przy futonie. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał w skupieniu.

Z pewnością dobiegło go skrzypnięcie drewnianej werandy i ledwie słyszalny szelest stopy na *tatami*, gdy ktoś wślizgnął się do pokoju.

Stoczył się z futonu, klęknął na jednym kolanie i równocześnie uniósł bokken do obrony. Srebrny błysk przeleciał mu obok twarzy i w belkę za plecami chłopca wbił się głęboko shuriken.

Jack zamarł.

Miał przed sobą skulonego widmowego wojownika, jego jedyne zielone oko było utkwione w chłopca.

– Dokugan Ryu! – wyjąkał z niedowierzaniem.

20

Akiko

Smocze Oko zawahał się, słysząc swoje imię.

Chłopiec przejął inicjatywę. W żaden sposób nie mógł pokonać ninja, wciąż jednak jeszcze miał szansę mu się wymknąć.

Całym ciężarem rzucił się na zewnętrzną ścianę sypialni. Cienkie drewniane listewki pękły i kruchy papier się rozdarł, gdy jego ciało przeleciało przez ścianę.

Oszołomiony po zderzeniu, chwiejnie podniósł się na nogi, chwycił bokken i nie oglądając się, popędził werandą.

Mignęły mu dwa inne cienie przemykające przez ogród i jeszcze jeden, znikający w pokoju przed nim.

Akiko! Musi ją ostrzec.

Trzask pękającego *shoji* obudził domowników, a kucharz wyszedł na werandę zobaczyć, co się stało. Stał zaspany i zdziwiony widokiem młodego gaijina biegnącego wprost na niego, tak że zderzyliby się, gdyby Jack w ostatniej chwili nie odskoczył.

Kiedy to zrobił, drugi shuriken śmignął nad jego ramieniem i wbił się w szyję kucharza. Na twarzy mężczyzny odmalował się wyraz lekkiego zaskoczenia, szok zaś złagodził ból wywołany przez broń tkwiącą mu w gardle. Wybełkotał coś do Jacka niezrozumiale i osunął się na ziemię.

Chłopiec biegł dalej, uciekając przed morderczym pościgiem Smoczego Oka.

Skręcił raptownie i wpadł przez odsunięte *shoji* do wnętrza w tym samym momencie, gdy wynurzył się przez nie Taka-san, wymachując dwoma mieczami.

Nagłe pojawienie się strażnika zaskoczyło Smocze Oko. Taka-san, zaprawiony w bojach i odważny, jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Z chłodną precyzją ciął wojownika ninja w głowę. Smocze Oko uniknął ciosu, wyginając się bez wysiłku niczym źdźbło trawy pod podmuchem wiatru; swoją kataną Taka-san przeciął powietrze tuż nad zwróconą ku górze twarzą ninja.

Smocze Oko obrócił się i błyskawicznie kopnął Taka-sana w brzuch, aż samuraj zatoczył się na pobliską drewnianą kolumnę.

Wyciągnął z przypiętej na plecach *saya* własny miecz i natarł na Taka-sana.

Ninjatō z charakterystyczną kwadratową tsubą, czyli gardą, miał prostszą, krótszą klingę niż samurajska katana, lecz był równie groźny. Smocze Oko zaatakował bez wahania.

Taka-san odpowiedział gradem zabójczych ciosów i zmusił ninja do cofania.

Tymczasem Jack przemknął do następnego pokoju tylko po to, by się natknąć na kolejnego wojownika ninja. Na szczęście dla

chłopca ten był zwrócony plecami i skupiony na walce z kimś broniącym się desperacko. Ofiara ninja nagle się poślizgnęła i upadła na ziemię. Jack spostrzegł zwróconą ku napastnikowi, pobladłą ze strachu twarz Yamato. Zabójca uniósł ninjatō, by zadać morderczy cios.

– Nieeeee! – krzyknął Jack.

Dezorientacja, strach, ból i gniew, jakie wrzały w nim, odkąd ojciec umarł, wezbrały niczym wulkan.

Wojownicy ninja byli odpowiedzialni za śmierć jego ojca, przyjaciół, załogi, a teraz zaatakowali nową rodzinę, jaką znalazł. W mięśniach chłopca eksplodowała jak płomień agresja; bez wahania zaatakował.

Zaskoczony wojownik obrócił się z ninjatō w gotowości, lecz Jack zamachnął się z góry bokkenem i wkładając w to całą siłę, uderzył przeciwnika w rękę trzymającą miecz. Usłyszał mdlący trzask pękającego nadgarstka mężczyzny, i jęk bólu.

Zamachnął się bronią, atakując po raz drugi i próbując sobie przypomnieć wszystko, czego się nauczył od Yamato. Celował w głowę przeciwnika.

Ninja uchylił się cudownym sposobem, a potem odtoczył z drogi, jednocześnie zdrową ręką chwytając upuszczony miecz. Warknął na Jacka; złamane ramię zwisało mu bezużytecznie.

Chłopiec się cofnął. Próbował walczyć z wojownikiem ninja!

Przeciwnik poprawił chwyt na rękojeści i Jack spostrzegł, że niezbyt wprawnie posługuje się lewą ręką. Świadomy, że ma tylko jedną szansę, Jack pomodlił się, by ta niewielka przewaga dała mu sposobność, której potrzebował. „Ale gdzie powinien

uderzyć?”. Za każdym razem, gdy zmieniał pozycję, ninja natychmiast był gotów skontrować.

Wtedy stanął mu przed oczami pojedynek Masamoto – blef, który sprawił, iż Godai nabrał przesadnej pewności siebie, dając Masamoto zwycięstwo.

Opuścił *kissaki,* udając, że się poddaje, tak samo jak to uczynił Masamoto.

Pewien łatwego zabójstwa, ninja syknął i zrobił krok do przodu. Cofnął miecz, by ruchem na zewnątrz ciąć Jacka w głowę. W ostatniej chwili chłopiec zrobił unik i uderzył bokkenem prosto w brzuch przeciwnika. Ninja runął na ziemię, miotając się niczym powalony knur. Jack zawirował na piętach i uderzył mężczyznę w potylicę. Ninja leżał nieprzytomny na *tatami*.

Jack stał nad ciałem leżącym twarzą w dół, zaskoczony własną siłą, z bokkenem w drżących rękach i adrenaliną pulsującą w żyłach.

– Gdzie się nauczyłeś tego ciosu? – spytał Yamato, pośpiesznie podnosząc się na nogi.

– Od twojego ojca – wyjaśnił chłopiec; w ustach zaschło mu z szoku.

– *Arigatō, gaij*... Jack – Japończyk poprawił się i skłonił krótko, lecz z szacunkiem. Oczy chłopców spotkały się i na chwilę połączyła ich nić milczącego braterstwa.

– Musimy ratować Akiko – rzucił Jack, przywołując obu do rzeczywistości.

– *Hai!* – przytaknął Yamato, wybiegł na werandę i z Jackiem tuż za plecami rzucił się w stronę pokoju dziewczyny.

Słyszeli Taka-sana wciąż walczącego ze Smoczym Okiem; Jack obejrzał się przez ramię i zobaczył, jak młody samuraj spycha przeciwnika z powrotem w stronę mostu.

– Posłuchaj – szepnął Yamato, lecz z zewnątrz zdawało się, że w pokoju Akiko panuje złowróżbna cisza.

Yamato odsunął *shoji* – ukazała się nieruchoma postać dziewczyny; jej krew utworzyła na *tatami* wielką, czerwoną plamę.

– Nie! Akiko! – krzyknął Jack.

Leżała twarzą w dół, z wyciągniętymi ramionami, jakby wciąż na próżno próbowała uciec przed śmiercią. Ukląkł obok ciała, w oczach zapiekły go gorące łzy gniewu. Wyciągnął rękę, odsuwając jej włosy z twarzy – zobaczył delikatne rysy pokojówki Chiro.

Spojrzał z niepokojem na Yamato. Gdzie jest Akiko?

W tej samej chwili usłyszeli poruszenie w sąsiednim pokoju. Odsunęli wewnętrzne *shoji* i zobaczyli Akiko stojącą wobec nie jednego, lecz dwóch uzbrojonych wojowników ninja. W jednej ręce trzymała coś w rodzaju krótkiej pałeczki, w drugiej rozwinięty *obi*.

Jeden z przeciwników wymachiwał krótkim tantō, drugi miał ninjatō. Zaatakowali równocześnie.

Akiko się nie wahała. Śmignęła długą wstęgą *obi* po oczach mężczyzny z mieczem. Jedwab smagnął go po twarzy jak bicz, oślepiając w ułamku sekundy. Ninja z tantō zanurkował w przód i zamachnął się, by ciąć ją w twarz. Jednym płynnym ruchem Akiko zablokowała go krótką pałką, wślizgnęła się między dwóch przeciwników i ręką trzymającą *obi* silnie uderzyła w kark

napastnika. Oszołomiony ciosem ninja wypuścił tantō i zatoczył się na ścianę w głębi.

Drugi ninja zasyczał jadowicie i rzucił się na nią z mieczem. Dziewczyna, wirując, natarła na atakującego i nagłym ruchem zawinęła *obi* na jego uzbrojonej ręce. Szarpnęła mocno, lecz czyniąc to, przyciągnęła broń prosto ku sobie.

Jack krzyknął ostrzegawczo. Ona jednak zręcznie wyminęła ostrze i skierowała je ku drugiemu z mężczyzn. Pierwszy ninja stracił równowagę i nie mogąc wyhamować ruchu, wbił miecz głęboko w pierś towarzysza.

Akiko poruszała się tak szybko, że ledwie Jack i Yamato weszli do pokoju, było po wszystkim. Ninja gwałtownie wyszarpnął miecz, lecz było za późno. Jego towarzysz, dławiąc się krwią, martwy osunął się na *tatami*.

Mężczyzna odwrócił się i zobaczył przed sobą troje dzieci – dziewczynkę, chłopca i gaijina! Nie ustąpiły pola i jednocześnie uniosły broń. Wytrącony z równowagi ich śmiałością, rzucił spojrzenie na poległego towarzysza i uciekł.

– Jak... to zrobiłaś? – wyjąkał Jack, zaskoczony błyskawicznym refleksem dziewczyny.

– Japońskie kobiety nie zajmują się jedynie noszeniem kimon – odparła oburzona jego zdziwieniem.

Z zewnątrz rozległ się krzyk Taka-sana.

– Szybko! Taka-san potrzebuje naszej pomocy – rzuciła ostro.

Wybiegli do ogrodu w samą porę, by zobaczyć, jak Smocze Oko przebija samuraja mieczem. Wszyscy troje krzyknęli, ile sił w płucach, i rzucili się na wojownika ninja.

Smocze Oko odsunął się od ciała Taka-sana, wyciągając miecz, i zwrócił się ku nim. Samuraj leżał na ziemi, ściskając krwawiący brzuch i kaszląc krwią. Jack, Akiko i Yamato utworzyli wokół rannego przyjaciela ochronny krąg.

– Młodzi samuraje! Co za nowinka! – zaśmiał się Smocze Oko, rozbawiony absurdalnym widokiem trojga dzieci wywijających bronią.

– Lecz nie nazbyt młodzi, by umrzeć – dodał ze złowieszczą ironią.

Dwaj pozostali wrogowie wynurzyli się z mroku z bronią gotową do ataku. Jack zauważył, że jeden z nich tuli do piersi złamaną rękę. „Najwyraźniej nie dość silnie go uderzyłem” – pomyślał z goryczą.

– Rutter – syknął Smocze Oko i błysnął na chłopca jedynym okiem. – Gdzie on jest?

21

Niten Ichi Ryū

– Nie mam go – odparł Jack, myśląc szybko. – Zabrał go ojciec Lucius.

Akiko i Yamato wymienili spojrzenia. To Jack był celem ataku.

– Kłamca! – warknął Smocze Oko. – Gdyby go miał, nie przyszlibyśmy tutaj.

Nagle w powietrzu rozległ się wysoki gwizd i głuchy odgłos uderzenia w coś miękkiego. Ninja ze złamaną ręką padł na zaśnieżoną ziemię, z drżącą strzałą sterczącą z pleców.

– Masamoto! – Smocze Oko splunął.

Masamoto z mieczami w gotowości wpadł do ogrodu w otoczeniu czterech samurajów. Trzech następnych przebiegło z tupotem po werandzie, nakładając na cięciwy nowe strzały.

– Innym razem, gaijinie – obiecał Smocze Oko, po czym uciekł z ocalałym ninja przez most.

Yamato pociągnął Akiko i Jacka na ziemię, kiedy nad ich głowami zaczęły śmigać strzały. Pierwsza trafiła ociągającego się przeciwnika w nogę. Druga przeszyła mu gardło. Trzecia była

przeznaczona dla Smoczego Oka, który jak kot skoczył na wiśnię; przeleciała pod nim i wbiła się w pień. Ninja zawisł na niższej gałęzi, strącając gęstą chmurę śniegu, i zręcznym skokiem pokonał mur, po czym rozpłynął się w mroku.

– Na Akumę! Kto to był? – spytał surowo Masamoto, kiedy zrównał się z nimi.

– Smocze Oko – wyjaśnił Jack.

– Dokugan Ryu? – powtórzył tamten z niedowierzaniem, potem krzyknął do najbliższego samuraja: – Kapitanie! Rozproszyć się i przeszukać ogród. Zabezpieczyć dom. Wezwać wszystkich naszych ludzi z wioski. Przez pamięć mojego syna Tenny odszukać i zabić tego tak zwanego Smoka!

Kapitan warknął rozkazy orszakowi samurajów i zniknął w ciemności. Masamoto spojrzał znowu na Jacka, Akiko i Yamato, po czym gestem przywołał tęgiego wojownika stojącego przed domem.

– Kuma-san się wami zaopiekuje. To jeden z moich najwierniejszych ludzi. Nie martw się o Taka-sana, Akiko – dodał, zauważywszy błagalny wyraz jej oczu. – Każę go opatrzyć. A teraz idźcie!

Następnego dnia Jacka, Akiko i Yamato wezwano na spotkanie z Masamoto w jego pokoju.

– Spocznijcie – rzucił krótko.

Samuraj siedzący w zwykłym miejscu na podwyższeniu, wydał się Jackowi mniej opanowany niż poprzednim razem. Jego blizny były bardziej zaczerwienione, głos napięty i ochrypły.

Hiroko nalała mu senchy.

– Dokugana Ryu nie znaleziono – oznajmił bez ogródek, wyraźnie rozczarowany porażką swoich wojowników. – Zwiadowcy dowiedzieli się, że widziano ninja w wiosce Matsuzaka położonej o dziesięć *ri* stąd. Przybyliśmy jak najszybciej. Lecz nasze konie nie były dość rączе, by ocalić Chiro.

Hiroko stłumiła szloch, a Masamoto dał jej znak, by dyskretnie wyszła. Wszyscy wiedzieli, że bardzo rozpacza po śmierci wiernej pokojówki.

– Masamoto-sama, mogę wiedzieć, jak się czuje Taka-san? – zapytała Akiko.

– Nie cierpi, Akiko-chan. Rana jest głęboka, lecz powiedziano mi, że z czasem dojdzie do siebie. Dokugan Ryu to przerażający nieprzyjaciel i Taka-san mężnie z nim walczył.

Przyjrzał się uważnie całej trójce.

– Miał jednak sporo szczęścia, że wy troje stanęliście u jego boku. Postąpiliście w zgodzie z prawdziwym *bushido*. Wiesz, co to takiego, Jack-kun?

– Nie, Masamoto-sama – przyznał chłopiec i skłonił się, jak go nauczyła Akiko.

– *Bushido* oznacza drogę wojownika. To nasz samurajski kodeks postępowania. Jest niezapisany i niewypowiedziany. To nasz sposób życia. *Bushido* poznaje się jedynie przez czyny.

Upił spory łyk senchy, po czym tłumaczył dalej.

– Siedem cnót *bushido* to prawość, odwaga, uczynność, szacunek, uczciwość, honor i wierność. Ubiegłej nocy wszyscy daliście dowody tych przymiotów dzięki swojemu postępowaniu.

Pozwolił pełnym znaczenia słowom wybrzmieć. Wszyscy troje ukłonili się nisko z wdzięcznością.

– Mam jednak jedno pytanie. Nie rozumiem, dlaczego Dokugan Ryu znowu podniósł głowę. Nie wierzę, że wciąż jest na usługach wrogów mojego *daimyo*. Poprzednie zagrożenie minęło. Wszyscy ludzie odpowiedzialni za tamtą próbę zabójstwa zginęli z mojej ręki. Mogę się tylko domyślać, że ma nową misję, lecz nie wiem, czemu znowu jest ona związana z moją rodziną. A zatem – czy Dokugan Ryu dał wam jakąś wskazówkę, dlaczego ośmielił się naruszyć świętość tego domu?

Jack milczał, lecz naraz zrobiło mu się gorąco i niewygodnie. Czuł na sobie wzrok Masamoto. Czy powinien wyznać prawdę na temat ruttera? Ojciec surowo mu nakazał zachować sekret. I póki chłopiec nie wiedział, kto pragnie zdobyć rutter, nie mógł wyjaśnić przeznaczenia książki nikomu, nawet samurajowi.

– Jack... – zaczął Yamato.

Akiko jednak spojrzała na niego surowo, a jej wzrok mówił jasno, że to Jack ma obowiązek złożyć wyjaśnienia. Nie Yamato.

– Tak, synu?

– Jack... – głos chłopca drgnął – uratował mi życie. Pokonał ninja swoim bokkenem.

– Jack-kun, umiesz posługiwać się bronią? Doprawdy, przewyższyłeś moje oczekiwania – powiedział Masamoto z wyrazem zdumienia na twarzy, natychmiast zapominając o swoim pytaniu o Dokugana Ryu. – Gdy pierwszy raz na ciebie spojrzałem, wyczułem, że posiadasz siłę charakteru. To w rzeczy samej istota *bushido*.

– Mogłem tego dokonać dzięki naukom Yamato, Masamoto-sama – odparł Jack, gorąco chcąc oddać sprawiedliwość Yamato

i wywrzeć wrażenie na jego ojcu. Miał też nadzieję, że odwróci to rozmowę od ruttera.

– Doskonale. Ale żaden z niego nauczyciel – stwierdził Masamoto bez złośliwości czy złych zamiarów, jednak ta dosadna uwaga głęboko zraniła dumę Yamato.

Jackowi zrobiło się go żal. Nic, co czynił, nie wydawało się dostatecznie dobre, by zyskać szacunek Masamoto. Ojciec Jacka przeciwnie, zawsze doceniał jego osiągnięcia. Chłopiec poczuł gorzki żal na myśl, jak dumny byłby z niego John Fletcher. Pokonał przecież wojowników ninja!

– Jack-kun. Dowiodłeś, że jesteś godzien podążać drogą wojownika. Zarządzam zatem, że masz trenować wraz z Yamato w Niten Ichi Ryū, mojej Jednej Szkole Dwojga Niebios. Jakiekolwiek są zamiary Dokugana Ryu, będziesz bezpieczniejszy pod moim bezpośrednim nadzorem. Jutro wyruszamy do Kioto.

22

Droga Tokaido

Świt ledwie wstał, kiedy Jacka poderwał z łóżka tętent końskich kopyt i ostre okrzyki dowodzących samurajów, zatrzymujących oddział przed domem.

Zebrał nieliczne należące do siebie drobiazgi: kimono na zmianę i *obi*, *tabi*, zapasową parę sandałów, bokken i najważniejszy ze wszystkiego rutter ojca. Sięgnął po słownik zakonnika, pamiętając o obietnicy, by go dostarczyć ojcu Bobadilli w Osace, kiedy się trafi sposobność, i wraz z pozostałymi rzeczami schował do torby na ramię. Sprawdził raz jeszcze, czy rutter leży bezpiecznie na samym dnie, ukryty przed ciekawskimi oczyma, i wyszedł na werandę.

Zimowe niebo rozjaśniała delikatna pomarańczowa poświata, Jack widział ażurową koronkę gałęzi wiśni odcinających się na tle zamarzłego białego otoczenia. Samurajska strzała nadal tkwiła w pniu – groźne przypomnienie, że Dokugan Ryu krąży gdzieś, zdecydowany wykraść rutter. Chłopiec zadrżał i objął się ramionami w chłodzie poranka.

– Dzień dobry, Jack-kun.

Ogrodnik Uekiya zbliżył się, powłócząc nogami, i skłonił się nisko.

– Dzień dobry, Uekiya-san, co tu robisz tak wcześnie?

– Jack-kun, przyjmij proszę ten skromny podarunek.

Staruszek podał mu niewielką drewnianą skrzynkę i otworzył wieko, ukazując malutką roślinę w doniczce.

– Co to jest? – zapytał chłopiec.

– Bonsai – wyjaśnił ogrodnik. – Miniaturowe drzewko sakury, jak to, pod którym siadywałeś w ogrodzie.

Jack przyjrzał się uważnie niewysokiej roślinie. Była to prawdziwa wiśnia, choć nie większa od jego dłoni.

– Sakura kwitnie w kwietniu – wyjaśnił z czułością Uekiya. – Jej kwiaty szybko przemijają, lecz są piękne. Jak życie.

– *Arigatō*, Uekiya-san. Ale nie mam dla ciebie żadnego podarunku w zamian.

– To niekonieczne. Sprawiałeś mi wielką przyjemność każdego dnia, ciesząc się moim ogrodem. Stary ogrodnik nie mógłby sobie życzyć niczego więcej.

– Jack-kun! Jack-kun! – przywołała go Hiroko, wybiegając z domu. – Musisz się pośpieszyć. Pora jechać.

– W Kioto spojrzysz na to bonsai i wspomnisz starego Uekiyę i jego ogród?

– Obiecuję – przyrzekł chłopiec, kłaniając się z wdzięcznością. Uświadomił sobie, że będzie tęsknił za całym ogrodem, drewnianym mostkiem spinającym brzegi strumienia, szmerem wodospadu, a najbardziej za cieniem i azylem, jakie mu zapewniała wiśnia.

Hiroko zaprowadziła go do frontowej części domu. Jack ostatni raz się obejrzał; zobaczył, że staruszek skłonił się nisko i trwa w tej pozycji na dowód szacunku. Wydawał się tak nieruchomy, jakby sam wyrósł z ziemi.

– Jak mam się zajmować bonsai? – zawołał.

Uekiya podniósł wzrok.

– Przycinaj je i codziennie podlewaj odrobinę, ale nie za dużo... – zaczął, lecz reszty jego słów Jack nie słyszał, bo skręcił za róg.

Hiroko wyprowadziła go przez frontową bramę, gdzie zebrał się konny oddział samurajów. Kończono ostatnie przygotowania do podróży i Jack zobaczył Yamato wskakującego na wierzchowca z przodu kolumny, obok Masamoto.

– Jeszcze chwileczkę, Jack-kun – rzuciła Hiroko i zniknęła we wnętrzu domu.

Wróciła prawie natychmiast z porządnie zapakowanym kimonem z jedwabiu w kolorze ciemnego burgundu.

– Przyda ci się na uroczystości i święta. Jest na nim kamon feniksa, rodzinny herb Masamoto – wyjaśniła, a jej oczy napełniły się drobnymi łzami z powodu odjazdu chłopca. – Pod czujnym okiem Masamoto-samy w Kioto będziesz bezpieczniejszy niż tutaj.

– *Arigatō*, Hiroko-san – odparł Jack, ujmując prezent w obie ręce i przyglądając mu się z podziwem. – Jest naprawdę piękne.

Tęgi samuraj o ciemnych, krzaczastych brwiach i wielkich wąsach, które, jak się zdawało, wyrastały mu wprost z nozdrzy, podjechał na koniu. Miał na sobie ciemnobrązowe kimono i płaszcz do jazdy wierzchem. Kiedy się zbliżył, Jack go rozpoznał. Był to zaufany człowiek Masamoto, Kuma-san.

– Jack-kun! Masz jechać ze mną – rozkazał i poklepał siodło za sobą.

Jack schował nowe kimono do torby wraz z drzewkiem bonsai i umieścił w jukach. Kuma-san podał mu rękę, a chłopiec wskoczył na konia. Samuraj podał mu gruby płaszcz dla ochrony przed zimnem.

– I pamiętaj o kąpieli! – napomniała Hiroko, posyłając odjeżdżającemu smutny uśmiech.

Kiedy kłusowali na czoło kolumny, Jacka nagle zapiekły oczy i musiał zamrugać, by odpędzić łzy. Przykro mu było opuszczać Tobę. Od przybycia latem tu miał dom. Nie wiedział, kiedy i czy w ogóle wróci. Pomachał na pożegnanie Hiroko, która ukłoniła się w odpowiedzi. W tym momencie uświadomił sobie, że nigdzie nie widział Akiko. Gdzie ona jest? Musi się z nią pożegnać. Nie mogąc zeskoczyć z konia, zaczął się niespokojnie rozglądać dokoła.

W końcu zauważył ją za grupą konnych samurajów. Jechała na białym rumaku, tym samym, który jej towarzyszył, gdy Jack widział ją pierwszego poranka w Japonii.

– Akiko! – zawołał. – Martwiłem się, że cię nie pożegnam.

– Pożegnanie? – Spojrzała zdziwiona i podjechała bliżej. – Ależ Jack, ja też jadę do Kioto.

– Co takiego? Przecież mamy się szkolić na samurajskich wojowników.

– Kobiety też są samurajami – odparła, po czym spojrzała z urazą i nim zdążył odpowiedzieć, spięła konia ostrogami i odjechała naprzód.

Rozległ się okrzyk *Ikinasai!* i kolumna koni ruszyła z miejsca.

Jack spostrzegł, że koło jego wierzchowca ktoś biegnie.

– Pa, pa, Jack Furecha! – zawołał Jiro radośnie.

– Do zobaczenia, Jiro – odparł, machając w odpowiedzi.

Potem samuraje zaczęli się wspinać na wzgórze i malec został w tyle, rozpłynął się w śnieżnej zamieci.

Opuszczając zatokę, oddział samurajów wspinał się krętą drogą wśród tarasowatych pól ku wąskiemu, bitemu traktowi. Na szczycie wzgórza Jack obejrzał się na port Toba. Wydawał się teraz niewielki, łodzie przypominały płatki kwiatów na powierzchni stawu. *Torii* w zatoce płonęła ognistą czerwienią w blasku poranka. Potem zniknęła, przesłonięta krzywizną wzgórza.

Kioto znajdowało się czterdzieści *ri*, czyli około dziewięćdziesięciu mil od Toby, jak wyjaśnił Jackowi Kuma-san. Mieli jechać do południa, odpocząć, potem skierować się do wsi Hisai. Stamtąd powinni podążyć do Kameyamy i wjechać na główną Drogę Tokaido, skręcającą w głąb lądu, by dotrzeć do Kioto od południowego skraju jeziora Biwa. Cała podróż zajmowała trzy dni.

Na szlaku nie było ruchu, lecz po drodze co chwila widzieli oznaki życia. Przybrzeżne wioski z łodziami przycumowanymi do pali wbitych na brzegu i rybaków naprawiających sieci. Pola ryżowe z wieśniakami pracującymi na zamarzniętych tarasach. Miejscowy targ warzywny. Przydrożną gospodę otwierającą podwoje dla gości. Półdzikie psy, które szczekając, biegły za końmi. Samotnego kupca zmierzającego ku Drodze Tokaido z towarem na plecach.

Jack zauważył, że gdy Masamoto i jego świta przejeżdżali obok, każdy wieśniak kłaniał się z wielkim szacunkiem i nie podnosił

głowy, póki orszak go nie minął.

Kiedy zatrzymali się na obiad w przydrożnej gospodzie, Jack poszukał Akiko i zastał ją doglądającą konia.

– Piękny wierzchowiec – rzucił, nie wiedząc, co powiedzieć.

– To prawda. Należał do mojego ojca – odparła, nie patrząc na niego.

– Twojego ojca? Co się z nim stało?

– Moim ojcem był Dāte Kenshin. Uchodził za wielkiego wojownika, lecz zginął z rąk swoich wrogów. Nie pozwolono mu popełnić seppuku i dlatego zmarł okryty hańbą.

– Współczuję. Nie wiedziałem...

– Nie współczuj. To się zdarzyło wiele lat temu. Ten koń i miecze w domu mojej matki są wszystkim, co po nim zostało.

Chłopiec przypomniał sobie czerwono-czarne miecze wiszące na ścianie w jadalni Hiroko. Przywiodło mu na myśl jedyną pamiątkę po ojcu – rutter. Dostrzegł w oczach Akiko tę samą gorzką stratę, jaką odczuwał każdego dnia.

– Cóż, i tak ci współczuję – powiedział z żalem, że nie może jej bardziej pocieszyć. – I przepraszam za dzisiejszy ranek. Zdenerwowałem cię. Nie miałem pojęcia, że kobieta może być samurajem. W Anglii walczą tylko mężczyźni.

– Przyjmuję przeprosiny – odparła z ukłonem i jej twarz się rozpogodziła. – Czasem zapominam, że nie jesteś Japończykiem.

– Jak to możliwe? Kto jeszcze tutaj ma blond włosy i wielki nos! – zawołał, wskazując gromadę samurajów, wszystkich ciemnowłosych i o drobnych rysach. Oboje wybuchnęli głośnym śmiechem.

Jakiś samuraj podszedł do nich z wyrazem zakłopotania na twarzy i podał każdemu miskę ryżu oraz suszoną rybę.

Kiedy usiedli, żeby zjeść, Akiko wyjaśniła:

– Zawsze istniały kobiety samuraje, Jack. Sześćset lat temu, w czasach wielkiej wojny Gempei, żyła Tomoe Gozen, której odważne czyny uczczono poematem w *Heike Monogatari.*

– *Heike* co? – spytał chłopiec z ustami pełnymi ryżu.

– *Heike Mo-no-ga-ta-ri* to epopeja o walce między klanami Taira i Minamoto o władzę nad Japonią. Tomoe Gozen była kobietą generałem potężnego *daimyo* Minamoto Yoshinaki. Brała udział w bitwach i walczyła tak wprawnie i dzielnie jak mężczyźni samuraje.

– Mów dalej – zachęcił Jack, nabierając pałeczkami kolejną porcję suszonej ryby. – Jak wyglądała?

– *Heike* opisuje ją jako piękną, z jasną skórą i długimi ciemnymi włosami. Była doskonałą łuczniczką, a we władaniu mieczem uchodziła za wojownika wartego tysiąca mężczyzn, gotowa stawić czoło bogom i demonom konno lub pieszo.

– Wierzyć się nie chce. – Jack uniósł brwi z udawanym zdumieniem.

– Nie żartuj. Niektórzy uważali ją za tak potężną, że wierzyli, iż jest wcieleniem bogini rzeki.

Akiko odstawiła miskę i spojrzała na chłopca.

– Potrafiła z niezrównaną wprawą ujeżdżać konie oraz zdrowo i cało zjeżdżać z niebezpiecznie stromych zboczy. Zawsze, gdy zbliżała się bitwa, właśnie ją Yoshinaka posyłał jako straż przednią. Władała kataną i potężnym łukiem, dokonała

liczniejszych mężnych czynów niż wszyscy jego pozostali wojownicy.

Jack umilkł oszołomiony. W zapale Akiko było coś więcej niż tylko szacunek dla wyczynów Tomoe Gozen. Akiko, sama będąc kobietą samurajem, wyraźnie chciała czegoś dowieść.

– Czemu nie powiedziałeś Masamoto o... o rutterze? – zapytała nagle.

– Eee... nie sądziłem, że jest taki ważny – wyjąkał zaskoczony jej bezpośredniością.

– Musi być ważny. Smocze Oko o niego pytał. Co to właściwie jest?

– Nic takiego... – Zrobił ruch, jakby zamierzał odejść. Nie przywykł do tak otwartego wypytywania przez dziewczynę.

– Jack, to wielkie nic takiego, skoro Smocze Oko ryzykował dla niego życie... a Chira swoje straciła!

Chłopiec przyglądał jej się przez chwilę. Czy naprawdę mógł jej zaufać?

Musiał. Była jego jedyną przyjaciółką.

– To dziennik mojego ojca – wyznał w końcu.

– Dziennik?

– No cóż, niezupełnie. Rutter to przewodnik po oceanach świata. Ten, kto go posiada, włada na morzach – wyjaśnił. – Zawarta w nim wiedza jest bezcenna; stanowi moją jedyną nadzieję na powrót do domu.

– A więc czemu nic nie powiedziałeś Masamoto?

– Bo ojciec kazał mi przysiąc, że to zachowam w tajemnicy – wyjaśnił. – Im więcej ludzi wie o jego istnieniu, tym większe niebezpieczeństwo dla nas wszystkich. Nie wiem, komu zaufać.

– No cóż, możesz ufać mnie. Milczałam w twojej sprawie, tak samo Yamato, miej pewność, że będę nadal milczeć.

– Ale co z Yamato? Czy mogę mu naprawdę wierzyć? – zapytał.

Przerwało im wołanie od czoła kolumny.

Samuraje przegrupowali się szybko, przygotowując do odjazdu.

– Musimy jechać – powiedziała Akiko, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi.

Dosiadła swego rumaka, a choć Jack chciał naciskać, już podjechał do niego Kuma-san. Potem długim, zdyscyplinowanym szeregiem, po dwa konie w rzędzie, ruszyli w drogę.

O zmierzchu dotarli do Hisai.

Następnego dnia wstali wcześnie, szybko minęli Kame-yamę i wkrótce znaleźli się na Drodze Tokaido.

Główna Droga Tokaido była niewiele więcej niż szerokim traktem, lecz panował na niej duży ruch. Większość stanowili piesi. Niektórzy mieli na głowach okrągłe, kopulaste słomiane kapelusze i nieśli spore prostokątne plecaki. Inni dźwigali na ramionach płócienne worki i mieli głowy owinięte chustkami w duże wzory. Nieliczni jeźdźcy byli samurajami. Widok wydał się Jackowi trochę dziwny, bo, inaczej niż na drogach jego rodzinnej Anglii, nie dostrzegł żadnych wozów ani ciągniętych przez konie pojazdów.

W trakcie podróży gościńcem chłopiec zauważył, że często mijają niewielkie pagórki z dwoma drzewami posadzonymi po obu stronach.

– Co to jest, Kuma-san? – zapytał, wskazując jeden z nich.

– Wskaźniki odległości. Znajdujemy się teraz siedemnaście *ri* od Kioto – wyjaśnił samuraj.

Obok drogowskazów widywali niekiedy kupców zachwalających towar albo niewielkie gospody oferujące posiłek i nocleg. Mijali właśnie zgrzybiałego handlarza, który zawiesił na gałęzi imbryk i sprzedawał świeżo zaparzoną senchę, gdy piesi w pewnej odległości od nich zaczęli się rozstępować na boki. Jack usłyszał odległe wołanie „Na ziemię! Na ziemię!" i drogę przed nim usłali padający na twarz Japończycy.

– Jack-kun, z konia i ukłoń się. Już! – rozkazał pośpiesznie Kuma-san.

Chłopiec zrobił, jak mu polecono, a samuraj przyłączył się do niego.

Stary sprzedawca herbaty, najwyraźniej przygłuchy, nie słyszał ostrzeżenia i tak był zajęty przygotowywaniem świeżego naparu, że nie zauważył zbliżającej się kawalkady. Wszyscy prócz niego trwali w pokłonie. On jednak pozostał całkowicie nieświadomy obrazy, jakiej się dopuścił.

Jack podniósł się i próbował zwrócić uwagę staruszka, lecz Kuma-san przygiął mu głowę. W tej samej chwili jadący na czele samuraj przemknął obok, a jego miecz świsnął o włos nad głową chłopca.

Jeździec spojrzał na Jacka z gniewem; potem, nie zwalniając, uniósł miecz ponownie i odrąbał staremu handlarzowi głowę.

Oddział konnych przecwałował obok, poprzedzając procesję samurajów w uroczystych szatach, jednolicie odzianych piechurów i członków świty niosących barwne proporce, błękitne, żółte i złote. Pośrodku kawalkady ujrzeli palankin z barwnej laki niesiony przez czterech spoconych tragarzy w przepaskach na biodrach.

Kiedy ich mijał, Jackowi mignął usadowiony we wnętrzu mężczyzna o wyniosłej twarzy, obojętny na leżące w błocie ciało starego sprzedawcy herbaty.

– Kto to był? – spytał szeptem, nie mogąc złapać tchu po wstrząsie.

– *Daimyo* pan Kamakura Katsuro wracający do Edo – wyjaśnił Kuma-san z jadem w głosie. – Nalega, by okazywano mu największy szacunek.

Procesja sunęła dalej Drogą Tokaido, rozpraszając przechodniów niczym jesienne liście.

23

Butoku-den

– Jack-kun! Kioto! – zawołał Kuma-san następnego popołudnia, szturchnięciem budząc chłopca z drzemki. – Serce Japonii, gdzie rezyduje wielki cesarz we własnej osobie!

Jack otworzył oczy. Droga Tokaido kończyła się wspaniałym drewnianym mostem spinającym szeroką, leniwie płynącą rzekę. Na moście tłoczyli się ludzie zmierzający w obu kierunkach – egzotyczna powódź kolorów i dźwięków. Na widok nadjeżdżającego Masamoto i jego samurajów rozstąpili się jednak natychmiast niczym fala rozbijająca się o skałę; jedni po drugich kłaniali się przejeżdżającemu oddziałowi.

Za mostem Jack zobaczył rozległą panoramę Kioto.

Ogromne miasto pełne willi, świątyń, domów, ogrodów, sklepów i gospód wypełniało dno doliny. Z trzech stron otaczały je góry o stromych zboczach porośniętych cedrami i usianych świątyniami. Od północnego wschodu górował nad nim najwyższy ze szczytów, do którego tuliły się zbezczeszczone ruiny ogromnego skupiska świątyń.

– Góra Hiei – wyjaśniła Akiko, podjeżdżając wraz z Yamato do Jacka na moście. – Znajdował się tam Enryakuji, najpotężniejszy klasztor buddyjski w Japonii.

– Co się z nim stało? – spytał Jack, zaskoczony widokiem setek wypalonych domów, świątyń i innych budowli pokrywających zbocza.

– Wielki generał Nobunaga najechał klasztor czterdzieści lat temu – wyjaśnił Kuma-san. – Spalił do gołej ziemi wszystkie świątynie. Wymordował mnichów.

– Ale dlaczego?

– Kiedy wznoszono Kioto – odparła Akiko – cesarz Kammu założył na górze Hiei klasztor, by chronił miasto przed złymi duchami. Obowiązkiem mnichów było strzec Kioto.

– Mieli nawet własną armię soheiów – dodał Yamato.

– Soheiów?

– Bezwzględnych mnichów-wojowników szkolonych w sztukach walki – wytłumaczył Kuma-san. – Nobunaga sprzeciwił się ich władzy nad Kioto. Jego wojska wdarły się na górę i pokonały soheiów.

– Czemu ich zniszczył, skoro byli strażnikami Kioto? – zdziwił się Jack.

– To nie Nobuna zniszczył klasztor – odparł ze wzburzeniem Kuma-san. – Mnisi stali się zbyt bogaci, zbyt potężni i chciwi. Klasztor zniszczył sam siebie!

– Kto więc teraz chroni Kioto przed złymi duchami?

– Jest wiele innych klasztorów, Jack – wyjaśniła Akiko. – Kioto to miasto świątyń. Widzisz tam, na stromym zboczu, nad

wierzchołkami drzew? To Kiyomizudera, Świątynia Czystej Wody. Ochrania Otowa-no-taki u źródeł rzeki Kizu.

– Co to jest Otowa-no-taki?

– Wodospad Szelest Piór. Powiadają, że łyk jego wody uleczy każdą chorobę.

Jack patrzył na górującą nad miastem pagodę, aż zniknęła mu z oczu.

Kiedy wędrowali wąskimi uliczkami i zaułkami miasta, Akiko wskazywała rozmaite kaplice i świątynie. Wydawało się, że każda ulica ma własną kapliczkę. Na koniec dotarli do szerokiej brukowanej drogi, przy której wznosiła się wspaniała drewniana brama ozdobiona złoceniami; miała wysoki podwinięty dach. Jasne gliniane ściany, zwieńczone dachówkami zielonymi jak jadeit, ciągnęły się z obu stron na długość pół mili, otaczając ukryte wewnątrz budynki.

– Kioto Gosho – szepnęła Akiko z wielkim szacunkiem.

– Pałac cesarski – wyjaśnił Yamato, widząc zdziwienie Jacka. – Przejeżdżamy obok domu cesarza Japonii, Żyjącego Boga.

Masamoto skłonił się krótko w tamtym kierunku, potem skierował na lewo wzdłuż pałacowego muru. Ruszyli za nim szerokim bulwarem, a potem zwężającymi się ulicami miasta. Wkrótce stanęli przed kolejnym obwarowanym podwórcem.

Grube białe mury na wysokich kamiennych fundamentach otaczały trzypiętrowy zamek nakryty wygiętym dachem. Umocnienia opadały ku szerokiej fosie, a na każdym rogu potężne obronne baszty strzegły głównej bramy i przejść. Zamek sprawiał wrażenie niezdobytego.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Kuma-san.

– Zatrzymamy się w zamku? – spytał Jack zdumiony.

– Nie! To zamek Nijo, siedziba *daimyo* Takatomiego – wyjaśnił samuraj, a potem dodał z wielką dumą w głosie: – My udajemy się do Butoku-den.

Zsiedli z koni. Jack, wyjmując swoje rzeczy z juków, zwrócił się do Akiko.

– Co to jest Butoku-den? – szepnął, nie chcąc obrazić Kumasana.

– Sala Cnót Wojennych. Butoku-den to *dojo*, sala treningowa Masamoto – wyjaśniła cicho i wskazała budynek ruchem głowy. – Siedziba Niten Ichi Ryū, największej szkoły miecza w Kioto i jedynej utrzymywanej osobiście przez *daimyo* Takatomiego. To miejsce, gdzie będziemy poznawać *bushido*, drogę wojownika.

Po przeciwnej stronie ulicy mieściła się duża, prostokątna budowla o białych glinianych ścianach łączonych z ciemnym cyprysowym drewnem i zwieńczona dwoma rzędami jasnordzawych dachówek. Prowadził do niej pięknie rzeźbiony ganek ozdobiony kamonem wielkiego feniksa. Masamoto stanął pod jego płonącymi skrzydłami, czekając, aż Akiko, Yamato i Jack przyłączą się do niego.

– Witajcie w mojej szkole Niten Ichi Ryū – przemówił z dumą.

Dzieci ukłoniły się i samuraj wprowadził je do Jednej Szkoły Dwojga Niebios.

Zanim jeszcze Jack znalazł się w Butoku-den, usłyszał dochodzące z *dojo* okrzyki *Kiai!*

Kiedy Masamoto wszedł do wielkiej sali, zabrzmiał ostry rozkaz *Rei!* i grupa przyszłych wojowników natychmiast przerwała ćwiczenia. W sali zapadła taka cisza, że Jack słyszał jedynie

szmer oddechów. Wszyscy uczniowie równocześnie skłonili się i pozostali schyleni na znak najwyższego szacunku.

– Trenujcie dalej – rozkazał Masamoto.

– *Arigatō gozaimashita,* Masamoto-sama! – zagrzmieli; ich powitanie odbiło się echem po całym *dojo*.

Około czterdziestu uczniów powróciło do rozmaitych ćwiczeń, *kihon*, *kata* i *randori*. Słońce późnego popołudnia sączące się przez papierowe okna nadawało ruchom niemal mistyczną oprawę. Kiedy trenowali starcia, ich cienie walczyły także na podłodze z klepek o barwie miodu, wyznaczającej obszar ćwiczeń.

Jack nie posiadał się z podziwu. Od krągłych kolumn z cyprysowego drewna po wysoki sufit z drewnianych płyt i ceremonialny tron w głębi sklepionej alkowy, Butoku-den emanowała aurą niezwykłej mocy. Nawet uczniowie klęczący w równych rzędach wzdłuż skraju *dojo* przejawiali całkowite skupienie i determinację. To była rzeczywiście sala przyszłych wojowników.

Hałas w *dojo* ucichł znowu, tym razem stopniowo, niczym grzmot oddalającej się burzy. Jack zastanawiał się, kto wszedł tym razem, lecz z rosnącym niepokojem uświadomił sobie, że uczniowie przerwali ćwiczenia i wpatrują się teraz w niego. Patrzyli z mieszaniną zdumienia, niedowierzania i jawnej pogardy na jasnowłosego gaijina, który wtargnął do ich *dojo*.

Masamoto, odwrócony plecami, rozmawiał z samurajem o surowym wyglądzie, noszącym ostro zakończoną bródkę.

Jack czuł wrogie spojrzenia przeszywające go niczym strzały.

– Czemu przestaliście? – spytał ostro Masamoto, jakby nieświadom obecności chłopca. – Ćwiczcie dalej.

Uczniowie wrócili do zajęć, lecz wciąż ukradkiem zerkali w stronę cudzoziemca.

Masamoto zwrócił się do Jacka, Akiko i Yamato.

– Chodźcie. Sensei Hosokawa pokaże wam wasze kwatery. Ja mam sprawę do załatwienia, więc zobaczymy się znowu dopiero na powitalnej kolacji w Chō-no-ma.

Skłonili się i opuścili *dojo* przez drzwi na tyłach Butoku-den. Sensei Hosokawa poprowadził ich odkrytym dziedzińcem do Shishi-no-ma, Sali Lwów, długiego budynku mieszczącego szereg niewielkich pokoi. Weszli przez boczne *shoji* i pozostawiwszy sandały obok drzwi, ruszyli wąskim korytarzem.

– Oto wasze sypialnie – powiedział Hosokawa-san, wskazując kilka niewielkich izdebek pozbawionych ozdób, dużych zaledwie na tyle, by pomieścić trzy *tatami*. – Łaźnie są na tyłach. Kiedy się umyjecie i przebierzecie, zabiorę was na kolację.

Jack wszedł do pokoju i zasunął za sobą wewnętrzne *shoji*.

Zdjął torbę, ustawił drzewko bonsai na wąskiej półce pod maleńkim okienkiem przesłoniętym kratą. Rozejrzał się dokoła, szukając bezpiecznego miejsca na ukrycie ruttera ojca, lecz z powodu braku mebli pozostało mu jedynie wsunąć go pod futon rozłożony na podłodze. Przyklepał materac i wyciągnął się na nim.

Kiedy tak leżał, wyczerpany trudami trzydniowej podróży, wzdrygnął się z lęku; nie potrafił powstrzymać drżenia dłoni. Co on tu robi?

Nie jest żadnym samurajem.

Jest Jackiem Fletcherem, angielskim chłopcem, który marzył, by zostać pilotem jak jego ojciec i odkrywać cuda Nowego Świata.

Nie początkującym wojownikiem samurajskim, porzuconym w obcym świecie, ofiarą jednookiego wojownika ninja.

Poczuł się niczym jagnię prowadzone na rzeź. Miał wrażenie, że każdy z tutejszych uczniów chciałby go rozszarpać na kawałki.

24

Sensei

– Młodzi samuraje! – zagrzmiał Masamoto w Chō-no-ma, Sali Motyli, długim pomieszczeniu z olśniewającymi obrazami kunsztownie malowanych motyli i drzew sakury.

Siedział ze skrzyżowanymi nogami przy głównym stole – cedrowej płycie pokrytej czarną laką, umieszczonej na podwyższeniu i dominującej nad jednym końcem sali – mając z obu stron czterech samurajów w odświętnych kimonach.

– *Bushido* to nie podróż, którą można podejmować lekkomyślnie!

Jack, Yamato i Akiko słuchali wraz z setką innych początkujących wojowników, pragnących trenować pod kierunkiem Masamoto Takeshiego.

– By zostać samurajskim wojownikiem, należy pokonać samego siebie, znosić ból wyczerpujących ćwiczeń i zachowywać chłodny umysł w obliczu niebezpieczeństwa – oświadczył Masamoto. – Droga wojownika trwa całe życie. Mistrzostwo zaś nierzadko

polega jedynie na tym, by na niej pozostać[I]. Będziecie potrzebować poświęcenia, dyscypliny i nieustraszonego ducha.

Bez pośpiechu upił z czarki łyk senchy, pozwalając, by jego słowa zapadły w umysły uczniów klęczących w równych, zdyscyplinowanych szeregach wzdłuż sali.

– Będziecie też potrzebować przewodnictwa. Bowiem bez niego zginiecie! Oślepia was niewiedza! Ogłusza brak doświadczenia! Odbiera głos nieudolność!

Umilkł znowu i uważnie powiódł wzrokiem po sali, upewniając się, że przemowa odniosła zamierzony skutek. Jack czuł na sobie ciężar jego spojrzenia, choć siedział na samym końcu.

– Z każdego maleńkiego pączka wyrasta drzewo o wielu gałęziach – ciągnął Masamoto, a jego chłodny ton nieco odtajał. – Budowę każdego zamku rozpoczyna położenie pierwszego kamienia. Każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku[II]. Poznajcie senseiów, którzy pomogą wam zrobić ten pierwszy krok i wiele następnych. *Rei!*

Studenci skłonili się, głowami dotykając *tatami* na znak wielkiego szacunku dla nauczycieli.

– Po pierwsze, sensei Hosokawa, mistrz kenjutsu i bokkena.

Wskazał samuraja siedzącego na prawo od siebie, tego, który wcześniej wskazał Jackowi drogę do jego pokoju. Hosokawa, wojownik o groźnym wyglądzie, z czarnymi jak dżet włosami związanymi w zwyczajowy kok na czubku głowy, miał ciemne przenikliwe oczy i szarpał w zamyśleniu ostro zakończoną bródkę.

– Wraz ze mną będzie was ćwiczył w sztuce miecza, a jeśli wykażecie się wybitnymi zdolnościami, przekaże wam technikę Dwojga Niebios.

Sensei Hosokawa przyjrzał się im, jak gdyby oceniając kolejno każdego ucznia, czy jest godzien się znaleźć w tym miejscu. Potem, najwyraźniej usatysfakcjonowany, skłonił głowę. Jack zastanawiał się, co to jest technika Dwojga Niebios, i spojrzał na siedzącą naprzeciw Akiko, chcąc ją zapytać, lecz dziewczyna jak wszyscy patrzyła w skupieniu na nauczyciela.

– Na prawo od senseia Hosokawy siedzi sensei Yamada, wasz mistrz zen i medytacji.

Łysy starzec o długiej, wiotkiej, siwej brodzie i pomarszczonej twarzy drzemał u końca stołu. Był chudy i kruchy, jakby wyhodowany z pędu bambusa. Jack domyślał się, że musi mieć co najmniej siedemdziesiąt lat, bo posiwiały mu nawet brwi.

– Senseiu Yamado? – odezwał się Masamoto łagodnie.

– *Hai! Dōzo,* Masamoto-sama. Dobrze jest mieć cel w podróży – powiedział starzec z rozwagą – lecz to podróż jest ostatecznym celem[III].

– Mądre słowa, sensei – odparł samuraj.

Yamada opuścił głowę i jak się zdawało, zapadł z powrotem w drzemkę. Jack żałował, iż nie potrafi równie łatwo zasnąć w tej pozycji. Kolana zaczynały mu już cierpnąć i bolały go stopy.

– Przestań się kręcić – szepnęła Akiko, widząc, jak chłopiec zmienia pozycję. – To niegrzeczne.

„Żadnego współczucia z jej strony – pomyślał. – Japończycy pewnie rodzą się, klęcząc!”.

Masamoto zwrócił się ku młodej kobiecie na lewo od siebie.

– Teraz przedstawię sensei Yosę, mistrzynię kyujutsu i jazdy konnej.

Sensei miała na sobie błyszczące kimono w barwach szkarłatu i kości słoniowej, ozdobione kamonem przedstawiającym księżyc i dwie gwiazdy. Jej czarne włosy lśniły w świetle licznych latarń zawieszonych na ścianach Chō-no-ma niczym spadający kaskadami wodospad. Jack natychmiast zapomniał o mękach niewygodnej pozycji: kobieta wojownik podbiła jego serce od pierwszego wejrzenia, i podobnie serca pozostałych studentów.

– Jest niewątpliwie jednym z najwybitniejszych talentów w sztuce łuku – wyjaśnił Masamoto. – Posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że jest najlepszą łuczniczką w całym kraju. Szczerze zazdroszczę tym, którzy będą korzystać z jej nauk.

Kiedy się kłaniała, ani na chwilę nie oderwała od studentów swych kasztanowych oczu. Przemykały od jednego do drugiego, jakby oceniając odległość i tor lotu strzały. Przypominała Jackowi polującego jastrzębia, elegancka i pełna wdzięku, jednakże czujna i zabójcza. Wyprostowała się, a gdy odgarnęła włosy za uszy, odsłoniła brzydką rubinowoczerwoną szramę biegnącą przez długość prawego policzka.

– Jako ostatniego, lecz z pewnością nie najmniej ważnego chciałbym przedstawić senseia Kyuzo, mistrza taijutsu.

Drobny mężczyzna przycupnął na końcu stołu obok sensei Yosy. Miał oczy jak czarne kropki i kępkę wąsów pod spłaszczonym, okrągłym nosem.

– Jest ekspertem we wszelkich kwestiach dotyczących walki wręcz: kopnięć, pchnięć, chwytów, ciosów, bloków i rzutów. Umiejętności, jakie zdobędziecie u senseia Kyuzo, przydadzą się we wszystkim, czym się tu będziecie zajmować.

Jack był zdumiony. Sensei nie wyglądał na wiele wyższego od dziecka i wydawało się dziwaczne powierzać mu rolę nauczyciela walki wręcz. Chłopiec zauważył, że na twarzach wielu innych nowicjuszy odmalował się podobny wyraz niedowierzania.

Staruszek skłonił się zirytowany. Jack spostrzegł, że sensei Kyuzo gołymi rękami łupie orzechy. Metodycznie i bez pośpiechu wybierał duże orzechy z czerwonej misy z laki i ściskał je między palcami, aż pękały. Potem wyjadał zawartość i sięgał po następny.

Masamoto skończył przedstawiać senseiów i gestem nakazał uczniom skłonić się raz jeszcze na znak szacunku.

– Droga wojownika oznacza jednak nie tylko sztuki walki i medytację – podjął. – Oznacza życie w zgodzie z samurajskim kodeksem honorowym *bushido* w każdej sytuacji. Żądam, byście we wszystkich poczynaniach wykazywali odwagę i prawość. Oczekuję, że codziennie będziecie dawać dowody uczciwości, uczynności i lojalności. Musicie sobie nawzajem okazywać cześć i szacunek. Każdy uczeń Niten Ichi Ryū został osobiście przeze mnie wybrany i dlatego każdy uczeń zasługuje na szacunek.

Jack czuł, iż ta ostatnia uwaga została wygłoszona bezpośrednio ze względu na niego, i kilku uczniów zwróciło głowy w jego stronę. Jeden z nich, chłopak o wyniosłym wyglądzie, z wygoloną głową, wydatnymi kośćmi policzkowymi i głęboko osadzonymi ciemnymi oczyma rzucił mu spojrzenie pełne niechęci. Miał na sobie czarne jak smoła kimono z kamonem czerwonego słońca na plecach.

– Jutro zaczniecie oficjalny trening. Ci z was, którzy uczą się od roku lub dłużej, także powinni odświeżyć zdobyte dotychczas umiejętności. Nie myślcie ani przez chwilę, że wiecie już wszystko.

Zrobiliście dopiero pierwszy krok! – oznajmił Masamoto i podkreślając znaczenie swoich słów, uderzył pięścią w stół.

– Mając dostatecznie wiele czasu, każdy zdoła wytrenować ciało. Mając dość wiedzy, każdy może zostać mędrcem. Lecz tylko najbardziej oddany wojownik może opanować jedno i drugie, i osiągnąć prawdziwe *bushido*[IV]. Niten Ichi Ryū to wasza droga do doskonałości. Uczcie się dziś, by przeżyć jutro!

Skłonił się z szacunkiem uczniom i wszyscy wydali chórem grzmiący okrzyk.

– Masamoto! Masamoto! Masamoto!

Kiedy pozdrowienie umilkło, wielkie wejściowe *shoji* zostało odsunięte i służący wnieśli kilka długich stołów z laki. Studenci wstali, by służący mogli je ustawić w dwóch rzędach wzdłuż Chō-no-ma.

Niewypowiedziany, lecz sztywny system hierarchii decydował o porządku, w jakim siedzieli. Najbardziej doświadczeni i najstarsi uczniowie zebrali się najbliżej głównego stołu, podczas gdy nowicjusze zajęli miejsca przy wejściu. Jack, Yamato i Akiko – która włożyła zielone jak jadeit odświętne kimono z kamonem rodu swego ojca kwiatem sakury – usiedli razem na samym końcu wraz z siedemnastoma nowicjuszami.

Jack włożył burgundowe kimono otrzymane od Hiroko przed wyjazdem z Toby. Noszenie kamonu rodu Masamoto jakimś sposobem dodało mu sił, by stłumić obawy. Kamon feniksa był niczym niewidoczna zbroja i zniechęcał innych uczniów do zaczepek lub fizycznych napaści. Jedynie obserwowali go czujnie i podejrzliwie.

Mimo to, gdy siadał, podszedł do niego chłopak z kamonem przedstawiającym czerwone słońce.

– To moje miejsce, gaijinie – rzucił zaczepnie.

Wszyscy pozostali się obejrzeli, chcąc zobaczyć, jak zareaguje jasnowłosy cudzoziemiec.

Jack nie ustąpił intruzowi.

Mierzyli się wzrokiem; zdawało się, iż sekundy ciągną się w nieskończoność. Naraz Jack poczuł, jak Akiko lekko dotyka dłonią jego łokcia i łagodnie odciąga go na bok.

– Proszę bardzo – zwrócił się do chłopca. – Śmierdzi tu, więc i tak miałem się przesiąść.

Chłopak rozdął nozdrza, urażony sugestią, że rzadko się myje, i rzucił wściekłe spojrzenie dwóm uczniom, którzy zachichotali na ripostę Jacka.

– Nie powinieneś obrażać innych w taki sposób – szepnęła Akiko, pośpiesznie prowadząc go do stołu, gdzie usadowił się Yamato. – Nie chcesz sobie chyba narobić wrogów... z pewnością nie w Niten Ichi Ryū.

25

Roztaczający blask

– Nie ja zacząłem – odparł, siadając ze skrzyżowanymi nogami między Akiko i Yamato.

– Nieważne – odparła z naciskiem. – Tu chodzi o twarz.

– Twarz? – zdziwił się, lecz zanim dziewczyna zdążyła wyjaśnić, przerwało im kilku służących dźwigających tace z jedzeniem.

Starannie rozmieścili potrawy na stołach. Misy z zupą miso, smażonym makaronem, warzywami w occie, rozmaite gatunki surowych ryb, białe, miękkie kostki zwane tofu, niewielkie talerzyki napełnione ciemnym, słonym płynem – sosem sojowym do maczania potraw, wyjaśniła Akiko uczynnie – i kilka czubatych porcji dymiącego gotowanego ryżu. Jack nigdy nie widział naraz tylu różnych rodzajów jedzenia. Już sama rozmaitość potraw świadczyła, że jest to bardzo szczególna uroczystość.

– *Itadakimasu!*[34] – zawołał Masamoto na rozpoczęcie bankietu.

– *Itadakimasu!* – odpowiedzieli uczniowie i zabrali się do jedzenia.

Mając taki wybór, Jack nie mógł się zdecydować, od czego zacząć. Ujął *hashi* i starannie poprawił uchwyt. Choć przyzwyczaił się już do pałeczek, podnoszenie niewielkich kawałków jedzenia wciąż sprawiało mu trudność.

– Mówiłaś coś o twarzy – przypomniał, wybierając spory kawałek sushi.

– Tak. Dla Japończyka to bardzo ważne, by nigdy nie „stracić twarzy".

– Jak można stracić twarz? – spytał Jack z niedowierzaniem.

– Nie w sensie fizycznym – wtrącił się Yamato. – Twarz oznacza to, jak oceniamy pozycję drugiej osoby. Zachowanie twarzy jest bardzo ważne. Przekłada się na władzę i wpływy. Jeśli „stracisz twarz", tracisz autorytet i szacunek.

– Sprawiłeś, że tamten chłopiec stracił twarz wobec innych uczniów – przytaknęła Akiko.

– No to stracił. – Jack wzruszył ramionami i wycelował swoje *hashi* w nieznajomego z kamonem czerwonego słońca. – A kto to właściwie jest?

Chłopiec spojrzał akurat na niego, mrużąc wojowniczo oczy.

– Nie rób tak! – zbeształa Jacka Akiko.

– Jak?

– Nie wskazuj go za pomocą *hashi*. To uchodzi za bardzo niegrzeczne – wyjaśniła, doprowadzona do rozpaczy niecywilizowanym zachowaniem towarzysza. – I nie zostawiaj ich w misce wbitych w ryż!

– A czemu nie, na miłość boską?! – wykrzyknął, jednak natychmiast wyjął z miski niewłaściwie umieszczone pałeczki. „Nigdy się nie nauczę porządnie japońskiej etykiety" – pomyślał.

Trzeba było pamiętać o tylu rzeczach przy każdym ruchu i w każdej sytuacji, choćby najmniej znaczącej i pozbawionej sensu.

Naraz uświadomił sobie, że wszyscy przy stole gapią się na niego. Wbił wzrok w miskę i zaczął dziobać jedzenie.

– Bo to znaczy, że ktoś umarł – wyjaśniła Akiko zniżonym tonem i się ukłoniła. – Tylko na stypie *hashi* wbija się w ryż. Miskę stawia się potem u głowy zmarłego, żeby nie głodował na tamtym świecie.

– Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? – obruszył Jack półgłosem. – Wszystko, co robię, uważacie za nieuprzejme. Przyjedźcie do Anglii, a miejscowi uznają wasze zwyczaje za dziwaczne. Z pewnością nawet wy zdołacie kogoś obrazić!

– Przepraszam – rzuciła Akiko speszona, skłaniając głowę. – Wybacz. To moja wina, że nie nauczyłam cię, jak należy.

– I przestań wreszcie przepraszać! – zawołał, z irytacją łapiąc się za głowę.

Dziewczyna ucichła nagle. Jack podniósł wzrok. Uczniowie przy ich stole udawali z wielkim przejęciem, że nic nie zauważyli, lecz było oczywiste, iż ton, jakim się zwrócił do towarzyszki, był w najwyższym stopniu niestosowny. Yamato spojrzał z gniewem, ale nic nie powiedział.

– Przepraszam – wymamrotał Jack. – Próbujesz mi tylko pomóc. Ale to takie trudne cały czas mówić, myśleć i żyć jak Japończyk.

– Rozumiem. A teraz, proszę, ciesz się posiłkiem – odparła bez emocji.

Zabrał się energicznie do dzieła, kosztując po kolei z różnych mis, lecz jedzenie straciło smak. Był na siebie wściekły, że

zirytował Akiko, a tym bardziej, iż na nią nakrzyczał w obecności innych. Był pewien, że przez jego zachowanie dziewczyna straciła twarz. Kiedy znowu podniósł wzrok, chłopiec z kamonem słońca nadal wpatrywał się w niego z nachmurzoną twarzą.

– Akiko – odezwał się Jack; skłonił głowę i mówił na tyle głośno, żeby wszyscy wokół mogli usłyszeć. – Proszę, przyjmij najpokorniejsze przeprosiny za moje zachowanie. Wciąż jeszcze nie wypocząłem po podróży.

– Dziękuję za przeprosiny – odparła i gdy oficjalnie przyjęła jego usprawiedliwienie, atmosfera wokół stołu natychmiast zrobiła się swobodniejsza, a wszyscy podjęli uprzejme rozmowy.

– Proszę, czy mogłabyś mi powiedzieć, kim jest ten chłopak? – zwrócił się do niej; kamień spadł mu z serca, że przynajmniej w pewnym stopniu zdołał przywrócić harmonię. Chyba mimo wszystko zaczynał doceniać subtelności japońskiej etykiety.

– Nie wiem – odparła.

– Ja wiem – włączył się z entuzjazmem chłopak naprzeciw Jacka. – Jest z nami na jednym roku. Nazywa się Oda Kazuki, to syn *daimyo* Ody Satoshiego, kuzyna drugiego stopnia linii cesarskiej. Dlatego nosi kamon z cesarskim słońcem. Niektórzy uważają członków rodu Oda za dość zarozumiałych. Może dlatego ojciec dał mu na imię Kazuki. To znaczy Roztaczający Blask.

Pozostali wpatrywali się w niego z rosnącym zdumieniem, on jednak mówił niezmieszany. Miał pospolitą, pulchną twarz, której jedyną charakterystyczną cechą były brwi podobne do czarnych gąsienic, uniesione w wyrazie nieustającego zdumienia.

– Wybaczcie – dodał z ukłonem. – Nie przedstawiłem się. Mam na imię Saburo, jestem trzecim synem Shimazu Hidei. Nasz

kamon przedstawia dwa pióra jastrzębia i symbolizuje szybkość, wdzięk i dostojeństwo tego ptaka. Moim bratem jest Taro. Możecie go zobaczyć w pobliżu głównego stołu. To jeden z najlepszych adeptów kenjutsu w szkole, w tym roku będzie poznawał technikę Dwojga Niebios...

– To zaszczyt cię poznać – przerwał uprzejmie Yamato. – Jestem Yamato, syn Masamoto Takeshiego. To moja kuzynka Akiko. A to Jack. Przyjechał z drugiego krańca świata.

Skłonili się kolejno, kiedy ich przedstawiał.

– Ach! Gaijin, którego uratował Masamoto – skomentował Saburo i niepewnie skinął głową Jackowi, po czym całą uwagę skupił na Yamato. – To naprawdę zaszczyt cię poznać. Nie mogę się doczekać, by powiedzieć matce, że spożywałem ucztę twarzą w twarz z ocalałym synem Masamoto. To, co spotkało Tennę, jest wielką tragedią. Mój brat go znał. Nieraz trenowali razem...

– A kim jest twoja przyjaciółka? – zapytała szybko Akiko, widząc, jak Yamato posmutniał na wzmiankę o śmierci brata. Na lewo od Saburo siedziała drobna dziewczyna z długimi do ramion włosami i szarobrązowymi oczyma. Zanim jednak zdążyła się odezwać, Saburo odpowiedział za nią.

– To Kiku, druga córka Imagawy Hiromiego, słynnego nauczyciela zen. – Wszyscy się skłonili, a Saburo mówił dalej. – Jak więc sądzicie, z kim będziemy mieć pierwsze zajęcia? Myślicie, że z sensei Yosą? Mam taką nadzieję. Z pewnością musi być wcieleniem bogini. Nasza własna Tomoe Gozen, prawda?

Jack widział, że Akiko uraziły swobodne uwagi Saburo na temat jej ideału, i pośpiesznie zaczął się zastanawiać nad pytaniem, które pozwoliłoby zmienić bieg rozmowy.

– Saburo, co to jest Dwoje Niebios? – zapytał, szczerze zaciekawiony tą kwestią.

– Aaach, Dwoje Niebios to sekret Masamoto...

Zanim jednak zdążył zdradzić coś więcej, Masamoto zakończył oficjalnie ucztę, wołając *Go-chiso-samakohaita!*[35]

Rozległ się okrzyk: *Rei, sensei!* Wszyscy podnieśli się z miejsc i skłonili równocześnie. Masamoto i jego senseie wstali, przeszli przez Chō-no-ma, a potem zniknęli w ciemności na zewnątrz. Uczniowie, milcząc, wymaszerowali za nimi w porządku starszeństwa.

Jack wyszedł w zimne, czyste nocne powietrze, czując ulgę, że nie musi dłużej znosić setek utkwionych w siebie oczu. Za każdym razem, gdy podnosił wzrok znad miski, Kazuki posyłał mu drwiące spojrzenie, uczniowie obok niego zaś chichotali z takiej czy innej uwagi na temat „gaijina".

Ruszył wolno za Akiko, Yamato i Kiku, którym następował na pięty gadatliwy Saburo. Podniósł wzrok na usiane gwiazdami niebo, próbując znaleźć gwiazdozbiory, których nauczył go ojciec. Pas Oriona, Wielki Wóz, Bellatrix...

Wtem zobaczył Kazukiego stojącego mu na drodze.

– Dokąd się wybierasz, gaijinie?

– Do łóżka, Kazuki. Jak wszyscy – odparł, próbując go wyminąć.

– Kto ci pozwolił zwracać się do mnie po imieniu, gaijinie? – spytał Kazuki i pchnął go mocno.

Jack potknął się i wpadł na drugiego chłopca, który podszedł z tyłu. Odbił się od imponująco wielkiego brzucha nieznajomego.

– Teraz obraziłeś też Nobu. Jesteś nam obu winien przeprosiny.

– Za co? – wykrzyknął Jack, znowu próbując przejść, lecz podobny do wojownika sumo Nobu ani drgnął.

– Co za nieuprzejmość! Nie chce przeprosić. Trzeba cię ukarać – pogroził mu Kazuki.

Jack usłyszał, jak Nobu trzaska palcami, jakby rozgrzewając dłonie przed walką, lecz nie ustąpił.

– Nie ośmielisz się! – krzyknął buńczucznie.

Spojrzał nad ramieniem Japończyka. Akiko i Yamato, podobnie jak wszyscy pozostali, zniknęli już w Sali Lwów. Poczuł, że odwaga szybko go opuszcza.

– Nikogo tu nie ma, gaijinie – rzucił drwiąco Kazuki. – Widzisz? Nie zawsze jesteś pod ochroną Masamoto. Zresztą kto by uwierzył gaijinowi?

Jego ręka błyskawicznie wystrzeliła w przód, chwycił i wykręcił lewy nadgarstek Jacka. Ból odczuł natychmiast. Ramię chłopca się wygięło i Jack padł na kolana, rozpaczliwie próbując zmniejszyć cierpienie.

– Po pierwsze, musisz przeprosić za zajęcie mojego miejsca. Po drugie, obraziłeś mnie w obecności przyjaciół. Po trzecie, dopuściłeś się zniewagi, wskazując mnie *hashi*. Przeproś! – rozkazał Kazuki, z każdym żądaniem coraz mocniej wykręcając Jackowi rękę, tak że przeszywały ją kolejne błyskawice palącego bólu.

– Przeproś, gaijinie!

– Idź do diabła! – warknął Jack po angielsku.

– Coś ty powiedział? – zdziwił się Kazuki, zbity z tropu obco brzmiącymi słowami. – Lepiej uważaj. Nie chcesz chyba zrobić sobie krzywdy tuż przed rozpoczęciem treningów. Prawda?

Nacisnął mocniej. Ostry ból znowu ogarnął ramię Jacka, a Kazuki pchnął go twarzą do ziemi. Chłopiec nie był w stanie się poruszyć. Kazuki wygiął mu rękę za plecami i celowo przeciągnął twarzą przeciwnika po ziemi.

– Smakują ci robaki, gaijinie? Tacy jak ty nie są warci lepszego jedzenia! – rzucił drwiąco. – Gaijinowie nie zasługują na to, by poznać nasze tajemnice. Nasze sztuki walki. To nie twoje miejsce. Wracaj do domu, gaijinie!

Wygiął rękę Jacka jeszcze odrobinę i chłopcu zdawało się, iż lada chwila ją złamie.

– Sensei! – ostrzegł Nobu.

Kazuki zerwał się na nogi, puszczając Jacka.

– Innym razem, gaijinie!

Zaraz potem obaj – Kazuki i Nobu – odbiegli i skryli się za rogiem Chō-no-ma.

Jack nadal leżał, przyciskając rękę do piersi. Zadrżał, przypominając sobie groźbę Kazukiego: „Innym razem, gaijinie!" – złowieszcze słowa Smoczego Oka.

Ból się zmniejszył i chłopiec ostrożnie zbadał rękę. Nie była złamana, wciąż jednak nie mógł nią swobodnie poruszać. Kiedy tak leżał, tuląc obolałe ramię, nadszedł, powłócząc nogami, sensei Yamada. Oparł się na bambusowej lasce i spojrzał na niego z góry niczym na owada ze złamanym skrzydłem.

– Żeby zostać wdeptanym w błoto, trzeba leżeć na ziemi[V] – stwierdził rzeczowo, po czym podjął nieśpieszną przechadzkę przez dziedziniec w kierunku sal sypialnych.

– Co to miało znaczyć?! – zawołał za nim Jack, lecz stary sensei zignorował pytanie. Jedyną odpowiedzią był cichnący stukot laski,

odbijający się echem po kamiennym dziedzińcu.

---

[34] Itadakimasu (jap.) – Smacznego.

[35] Go-chiso-samakohaita (jap.) – Dziękuję (mówione po posiłku).

26

Pokonać miecz

– Auuuu!

Jack pomasował golenie i pokuśtykał w głąb Butoku-den. Położył bokken przy ścianie sali obok broni innych uczniów, a potem ostrożnie ukląkł w rzędzie obok Yamato.

Akiko weszła z Kiku i się skłoniła. Saburo wpadł pośpiesznie za nimi.

– Auuuu! – krzyknął.

On także, kuśtykając, przyłączył się do szeregu, zagryzając wargi z bólu.

Sensei Hosokawa stał przy głównym wejściu, trzymając shinai, bambusowy miecz. Przyjrzał się uważnie kolejnym nowicjuszom zmierzającym przez dziedziniec do *dojo* na pierwsze zajęcia tego dnia – poranną sesję kenjutsu. Jeszcze troje dostało po nogach.

– Sztuki walki nie zaczynają się i nie kończą na wejściu do *dojo*! – zagrzmiał, kiedy ostatni uczeń dołączył do wystraszonej grupki klęczących dziewcząt i chłopców. – Gdy przychodzicie do *dojo*, zawsze kłaniajcie się z wysoko uniesionym mieczem. Każdy, kogo

przyłapię na powłóczeniu nogami, garbieniu się lub nieuwadze, posmakuje mojego shinai!

Szereg natychmiast się wyprostował, by uniknąć posądzenia o niedbalstwo. Sensei Hosokawa przechadzał się po sali, przyglądając się każdemu przyszłemu samurajowi z osobna. Kiedy zrównał się z Jackiem, przystanął.

Chłopiec podniósł wzrok. Miał wrażenie, że Hosokawa go ocenia.

– Słyszałem od senseia Masamoto – zagaił – że walczyłeś z wojownikiem ninja i pokonałeś go bokkenem. Czy to prawda?

– Emm... *Hai*... tak jakby...

– *Hai, sensei!* – ryknął Hosokawa.

Jack szybko przeprosił i skłonił się niżej. Idiota! Zapomniał o zasadach dobrego wychowania przy zwracaniu się do osoby o wyższej pozycji.

– *Hai*, *sensei*. Pomagałem Yamato...

– Doskonale – przerwał mu nauczyciel. – Bałeś się?

Chłopiec nie wiedział, jakiej odpowiedzi sensei oczekuje. Spojrzał po szeregu wpatrzonych w niego uczniów. Czy powinien się przyznać, że był przerażony, gdy pomyślał, że ninja przeszyje go swoim mieczem? Albo go udusi jak ojca?

Widział drwiące spojrzenie Kazukiego, który nie mógł się doczekać, by gaijin przyznał się przed wszystkimi do słabości. Potem pochwycił spojrzenie Akiko; w milczeniu skinęła głową – powiedz prawdę.

– *Hai*, *sensei* – przyznał niepewnie.

– Oczywiście – zgodził się Hosokawa. – Stojąc twarzą w twarz z wojownikiem ninja, należy się bać.

Chłopiec odetchnął z ulgą, kiedy nauczyciel zawrócił wzdłuż szeregu.

– Odwaga to nie brak strachu, lecz raczej stwierdzenie, że coś innego jest ważniejsze niż strach[VI]. Obecny tu Jack ocenił swoją lojalność wobec Yamato wyżej niż lęk. Ideał godzien samuraja.

Chłopiec pokraśniał z dumy, słysząc nieoczekiwany komplement, i pochwycił spojrzenie Kazukiego, głęboko zirytowanego pochwałą senseia.

Hosokawa ciągnął:

– Wykazał się odwagą, pokonał strach i zwyciężył przeciwnika. Piękna lekcja na początek nauki drogi...

Urwał w połowie zdania. Nobu śpieszył przez dziedziniec, spóźniony na lekcję. Po drodze wtykał kimono za pas, bokken sterczał mu niezgrabnie pod pachą. Sensei podszedł do drzwi i czekał.

Każdy uczeń wiedział doskonale, co się zaraz stanie. Nobu pędził przed siebie, nieświadomy kary.

– Auuuu!

Shinai senseia Hosokawy uderzył chłopca po goleniach tak silnie, że podciął mu stopy i Nobu upadł na twarz, a jego bokken potoczył się z grzechotem po drewnianej podłodze. Pozostali uczniowie wybuchnęli zduszonym śmiechem, lecz Hosokawa uciszył ich surowym spojrzeniem.

– Wstawaj! I nigdy więcej nie spóźniaj się na moje zajęcia – rozkazał, mocno kopiąc Nobu w siedzenie. – I nigdy nie pokazuj się w takim stanie w moim *dojo*!

Chłopiec wstał z trudem z taką miną, jakby chciał się spalić ze wstydu, szybko podreptał do reszty, kłaniając się i szurając całą

drogę.

– Doskonale; teraz, skoro zebraliśmy się wszyscy, możemy rozpocząć wasz trening. Weźcie bokkeny i ustawcie się w trzech rzędach wzdłuż *dojo*. Stańcie w takiej odległości, żeby każdy mógł swobodnie posługiwać się bronią.

Uczniowie się skłonili, wstali i jak popadło utworzyli trzy nierówne linie.

– Co to ma być?! – krzyknął Hosokawa. – Wszyscy po dziesięć pompek. Kazuki, odliczaj!

Grupa opadła na podłogę i zaczęła wykonywać karę.

– Raz! Dwa! Trzy! Cztery! Pięć!...

– Kiedy następnym razem powiem: „Ustawić się w rzędach", macie to zrobić biegiem! I uformować porządne szeregi!

Jackowi ręce lekko drżały z wysiłku, lecz chociaż był dręczony przez Kazukiego ubiegłego wieczoru, dwa lata wspinania się po olinowaniu wzmocniły go na tyle, że poradził sobie bez większego wysiłku. Niektórzy uczniowie jednak nie nadążali, a kilku poddało się zupełnie. Kazuki kontynuował niewzruszenie, nawet bez zadyszki.

– ...Osiem! Dziewięć! Dziesięć!

– A teraz ustawić się w rzędach!

Wszyscy zerwali się i popędzili na miejsca.

– Tak lepiej. Na początek chcę, żebyście po prostu wzięli bokkeny w ręce.

Jack zmieniał uchwyt drewnianego miecza, aż przyjął dokładnie taką pozycję, jaką Yamato pokazał mu w Tobie.

– Gdzie twój bokken?! – Hosokawa zwrócił się ostro do drobnego, podobnego do myszy chłopca stojącego cicho z tyłu.

– Sensei, zostawiłem go w Shishi-no-ma – odpowiedział, rumieniąc się ze wstydu.

– Jak ci na imię?

– Yori, sensei.

– No tak, Yori-kun, co z ciebie będzie za samuraj? – zapytał Hosokawa z niesmakiem.

– Nie wiem, sensei.

– Więc ja ci powiem: martwy. A teraz weź zapasowy miecz ze ściany z bronią.

Chłopiec pobiegł i zdjął miecz ze ściany w głębi, gdzie na drewnianych płytach zawieszono mnóstwo wszelkiej broni – miecze, noże, włócznie, kije i pół tuzina innych przedmiotów, których Jack nie umiał nawet nazwać.

– Na początek chcę, żebyście wyczuli bokken. Trzymajcie go. Poznajcie ciężar, kształt, punkt równowagi. Zamachnijcie się, ale nie uderzając ścian, podłogi ani nikogo obok siebie!

Jack przerzucił parę razy drewniany miecz z ręki do ręki. Spróbował wykonać kilka podstawowych cięć, potem obrócił się w miejscu. Trzymając bokken nad głową, zamachnął się szerokim łukiem. Saburo zrobił to samo, lecz nie uważał dostatecznie i trafił innego ucznia w potylicę.

– Powiedziałem, żeby nikogo nie uderzać! – krzyknął Hosokawa i znowu smagnął Saburo po goleniach. – Miecz jest przedłużeniem twojej ręki. Powinieneś odruchowo wiedzieć, gdzie się znajduje *kissaki*, jaki jest zasięg klingi, i w każdej chwili zdawać sobie sprawę z jej położenia w stosunku do twojego ciała.

Bez ostrzeżenia poderwał shinai w górę i błyskawicznie spuścił na głowę Yamato, zatrzymując o włos od jego nosa. Chłopiec

wzdrygnął się na ten niespodziewany atak i z wysiłkiem przełknął ślinę, opanowując panikę.

– Jaki pożytek z siły, kiedy brak nad nią kontroli? – zapytał Hosokawa, opuszczając broń. – Teraz unieście bokkeny przed sobą. Obie ręce prosto, broń ma leżeć poziomo na końcach palców.

Jack stał, czując, jak miecz napiera lekko na jego wyciągnięte dłonie. „Nic trudnego" – pomyślał.

– I trzymajcie tak, aż wam pozwolę przestać.

Zaczął w zamyśleniu przechadzać się po sali. Niczym armia zaklęta w kamień, uczniowie stali z bokkenami w wyprostowanych rękach, czekając na polecenie, że mogą je opuścić.

Jednemu po drugim zaczynały drżeć ramiona. Ręce Kiku, stojącej dwie osoby od Jacka, zaczęły opadać.

– Pozwoliłem opuszczać ręce?! – warknął Hosokawa i Kiku wyprostowała się natychmiast, z twarzą napiętą z wysiłku.

Parę minut później jakaś dziewczynka w rogu sali upuściła swój bokken, nie mogąc go dłużej utrzymać.

– Poddałaś się? – spytał Hosokawa. – Idź i siądź z boku. Kto będzie następny?

Paru uczniów, w tym Kiku i Yori, uległo natychmiast. Po Akiko znać było wysiłek. Jack jednak czuł się całkiem nieźle.

Pięć następnych osób, zdyszanych ze zmęczenia, opuściło ramiona i odeszło na stronę.

– Tak szybko się poddajecie? – odezwał się Hosokawa z pogardą, kiedy Saburo i Nobu zrezygnowali jednocześnie.

– Przepraszam, sensei? – odezwał się Saburo z należnym szacunkiem, rozmasowując bolące ramiona.

– Tak?

– Jaki jest cel tego ćwiczenia?

– Cel? – powtórzył z niedowierzaniem Hosokawa. – Sądziłem, że to oczywiste. Jeśli miecz może cię pokonać w twoich własnych rękach, jak możesz łudzić się nadzieją, że zwyciężysz przeciwnika?

Poznanie celu ćwiczenia sprawiło, że wszyscy jeszcze stojący podwoili wysiłki. Każdy chciał zrobić wrażenie na senseiu podczas pierwszej lekcji, więc trwali z wyciągniętymi ramionami mimo bólu.

Po paru minutach odpadła jeszcze kolejna dwójka i pozostało tylko pięcioro uczniów – Jack, Kazuki, Yamato, Akiko i Emi, elegancka, lecz wyniosła dziewczyna, jak Jack słyszał, pierwsza córka *daimyo* Takatomiego, mecenasa szkoły.

Akiko zaczęły silnie drżeć ręce, lecz zawzięła się, by pokonać drugą dziewczynę. Emi jednak była z nich dwóch silniejsza. Spojrzała na rywalkę i posłała jej sztuczny zwycięski uśmiech. Było oczywiste, że ona także nie chce stracić twarzy.

Akiko zaczęła oddychać płytko, siłą woli nakazując sobie wytrwanie. Kątem oka Jack zauważył, iż ramiona Emi opadają. W tej samej jednak chwili Akiko dotarła do kresu wytrzymałości i upuściła bokken.

Niespełna sekundę później ręce Emi opadły także.

– Znakomicie – skomentował Hosokawa. – Emi-chan, wykazałaś silnego ducha walki. Zasłużyłaś na mój szacunek.

Obie odeszły na bok. Po drodze Emi triumfująco potrąciła Akiko. Jack zobaczył, że Akiko odpowiedziała gniewnym

spojrzeniem, wyraźnie marząc o tym, by zetrzeć dumę z twarzy rywalki. Opanowała się jednak i zamiast tego skłoniła uprzejmie.

– Wciąż pozostało nam trzech mężnych wojowników – zauważył Hosokawa. – *Kohai*, to już nie kwestia siły ani wytrzymałości. To kwestia siły woli. Panowania umysłu nad materią. Zbadania granic własnej wytrwałości.

Yamato dygotał jak drzewo szarpane burzą. Jack wiedział, że nie wytrzyma wiele dłużej, lecz nie miało to znaczenia. Był zdecydowany pokonać Kazukiego.

Kazuki jednak wydawał się niewzruszony niczym skała.

Po kilku minutach ramiona odmówiły Yamato posłuszeństwa i musiał przyłączyć się do pozostałych siedzących na skraju *dojo*.

Jack i Kazuki walczyli nadal – w równym stopniu z własnymi umysłami, co ze sobą nawzajem.

Naraz ręce Japończyka zadygotały pod ciężarem bokkena.

– Kazuki! – krzyknął Nobu na znak poparcia i kilku innych uczniów natychmiast podjęło okrzyk.

– Kazuki! Kazuki! Kazuki!

Chłopak, ożywiony dopingiem, wyprostował ręce. Wyszczerzył zęby do Jacka, pewien zwycięstwa nad gaijinem.

Wtedy Saburo zawołał:

– Śmiało, Jack!

Akiko, Yamato i Kiku przyłączyli się do chóru.

– Jack! Jack! Jack!

Dwaj chłopcy stali pośrodku Butoku-den: wojownicy staczający niewidzialny pojedynek, z armiami zagrzewającymi ich z boku.

Jack dziękował Bogu za wszystkie godziny, jakie spędził jako majtek na pokładzie Alexandrii. Przywykł wisieć na rękach

całymi godzinami na wietrze, w deszczu i śniegu.

Znał jednak siebie i zauważał oznaki, że zbliża się do kresu wytrzymałości. Miał może minutę lub dwie, zanim ręce całkowicie odmówią mu posłuszeństwa.

Kazuki tymczasem nadal stał twardo jak głaz.

27

Powód, by trenować

Po twarzy Kazukiego spłynęła kropla potu i ręce zaczęły mu drżeć.

Jack nie potrzebował większej zachęty. Przeciwnik szybko tracił siły.

– Jack! Jack! Jack!

Krzyki nie ustawały.

– Kazuki! Kazuki! Kazuki!

Nie, nie pozwoli się pokonać Kazukiemu! Nie da się pokonać mieczowi. Widział, jak stojąca z boku Akiko siłą woli dodaje mu otuchy i zmagał się z trzymanym w rękach bokkenem. Zacisnął zęby, zamknął oczy i przywołał każdy pozostały okruch siły.

Nagle, jakby przekroczył jakąś granicę, jego ciało napełniła dziwna energia. Otoczyła go nicość, wydało mu się, że jego ramiona rozciągają się w nieskończoność, nieważkie, niemal zdrętwiałe.

Rozległ się głośny stukot bokkenu toczącego się po podłodze *dojo*; a potem fala oklasków, wiwatów i skandowanie jego imienia.

– Jack! Jack! Jack!

– Dobra robota, Jack-kun. Pokonałeś miecz – pochwalił sensei Hosokawa.

Otworzył oczy i zobaczył nadąsanego Kazukiego z bezwładnie zwisającymi rękami oraz jego bokken leżący na ziemi.

Z bezbrzeżną ulgą opuścił obolałe ramiona. Wydawały się ciężkie jak ołów, ale zwyciężył. Pokonał Kazukiego – na oczach wszystkich.

Kazuki, spętany etykietą, musiał potwierdzić zwycięstwo przeciwnika niższym ukłonem.

Tego dnia podczas obiadu Akiko, Yamato, Kiku i Saburo otoczyli Jacka przy stole w głębi Chō-no-ma. Kazuki siedział sztywno przy stole naprzeciw, wpatrując się w chłopca z nienawiścią i ignorując wysiłki Nobu i Emi, by mu poprawić humor.

– Jak ci się to udało, Jack? – zadręczał go Saburo. – Już opuszczałeś ramiona. Zostałeś pokonany. I nagle bum! Uniosłeś je proste jak strzała.

– Nie mam pojęcia – odparł chłopiec, wciąż rozmasowując obolałe mięśnie. – Nie wiem skąd – poczułem przypływ energii i wydało mi się, jakby moje ręce straciły ciężar.

– *Ki!* – oświadczyła Kiku.

Spojrzał na nią zbity z tropu.

– *Ki* oznacza „siłę życiową”. Ojciec kiedyś mi to tłumaczył. To twoja duchowa energia. Dzięki treningowi samuraj potrafi ją wykorzystać w walce – wyjaśniła.

– Oczywiście! – przerwał rozentuzjazmowany Saburo. – Krążą legendy, że mnisi *sohei* z góry Hiei potrafili ujarzmić swoje *ki*.

Podobno umieli pokonać wrogów, w ogóle nie wyciągając mieczy z pochew.

Spojrzeli na Saburo, niedowierzając.

– Nie, naprawdę! Sensei Yamada mógłby pewnie nauczyć nas wszystkich używać *ki*. Dziś po południu mamy zajęcia z zen. Wtedy każdy z nas potrafiłby pokonać swój miecz.

– Mało prawdopodobne, żeby on nam pomógł – wymamrotał Jack, bardziej do siebie niż do kolegów, lecz Akiko go dosłyszała.

– Czemu tak mówisz? – zapytała.

– Cóż, ubiegłego wieczoru Kazuki postanowił mnie zmusić do przeprosin i próbował mi złamać rękę.

– Czemu na niego nie poskarżyłeś? – zdziwiła się dziewczyna i ze szczerym niepokojem spojrzała na ramię chłopca.

– Nie było sensu. Zostawił mnie w spokoju, zanim stało się coś poważnego. Ale tylko dlatego, że pojawił się sensei Yamada. Nie na wiele się przydał. Nic nie zrobił, tylko uraczył mnie jakąś bezsensowną maksymą.

– Jak brzmiała? – chciał wiedzieć Yamato.

– „Żeby zostać wdeptanym w błoto, trzeba leżeć na ziemi". Też mi mędrzec! W czym mi to pomoże?

– Przepraszam – odezwał się cienki głosik i zza Saburo wychylił się Yori, chłopiec, który zapomniał swojego bokkena. – Może sensei Yamada sugerował, że powinieneś nauczyć się bronić.

Trwało chwilę, zanim do Jacka dotarło znaczenie tych słów i uświadomił sobie, że Yori ma rację. Nagle stało się to takie oczywiste. Gdyby zdołał opanować miecz i taijutsu, stał się silniejszy, szybszy i lepszy od Kazukiego, wtedy to Kazuki leżałby na ziemi, nie on.

Posiadając odpowiednie umiejętności, mógłby się obronić przed każdym, może nawet Dokuganem Ryu!

Oto był powód, dla którego warto trenować.

– Dobrze się czujesz, Jack? – spytała Akiko, zaintrygowana wyrazem determinacji, jaki pojawił się na jego twarzy.

– Doskonale. Właśnie myślałem o słowach Yamady. Teraz widzę w nich sens. Wielki sens.

Właśnie wtedy, po zaledwie jednej lekcji w Niten Ichi Ryū, Jack poprzysiągł sobie podążać drogą wojownika.

28

Lalka Daruma

– Wchodźcie. Wchodźcie. *Seiza!* – zachęcił sensei Yamada, kiedy wahali się u wejścia do Butsuden, Sali Buddy, mieszczącej się po wschodniej stronie dziedzińca.

Gestem zaprosił ich do środka. Przycupnął na podwyższeniu w głębi sali na okrągłej poduszce *zafu* ułożonej z kolei na większym kwadratowym zabutonie. Miał na sobie prostą szatę w kolorach granatowoczarnym oraz szmaragdowym i siedział po turecku, z jedną nogą wspartą na drugiej. Dłonie, stykające się palcami, spoczywały lekko na kolanach. Przypominał Jackowi pogodną ropuchę na liściu lilii.

Popołudniowe słońce wpadało do sali wąskimi smugami przez przesłonięte listewkami okna, rozświetlając pasma dymu z kadzideł i nadając szarej, wiotkiej brodzie senseia Yamady wygląd delikatnej pajęczyny. W powietrzu unosił się odurzający zapach jaśminu i drzewa sandałowego; Jack wkrótce poczuł się odprężony.

Uczniowie zajęli miejsca na poduszkach ułożonych w półkolistych rzędach. Jack znalazł sobie zabuton z przodu obok Akiko, Yoriego i Kiku. Kiedy sadowił się wygodnie, zauważył, że Kazuki i Nobu wchodzą ostatni i siadają w głębi sali. Kazuki pochwyciwszy jego wzrok, posłał jadowite spojrzenie.

– Proszę, usiądźcie tak jak ja – polecił Yamada.

Z głośnym szuraniem uczniowie zmienili pozycje naśladując senseia.

– To półlotos. Dobry do medytacji. Wspomaga krążenie *ki*. Wszystkim jest wygodnie? – zapytał, po czym wolno, nieśpiesznie wciągnął powietrze. – Przed każdym z was znajduje się powitalny prezent na moich zajęciach zen.

Jack spojrzał na niewielki drewniany przedmiot u swoich stóp. Przypominał małą jajowatą lalkę, ale bez rąk i nóg. Pomalowana na jaskrawą czerwień, miała jasną zdumioną twarz z czarnymi wąsami i brodą, lecz jej białe oczy pozostawiono puste.

– Czy ktoś potrafi mi powiedzieć, co to jest? – spytał Yamada.

Kiku podniosła rękę.

– To lalka Daruma. Jest wzorowana na Bodhidharmie, twórcy buddyzmu zen. Na jej podbródku trzeba napisać swoje imię i zamalować jedno oko czarnym tuszem, wypowiadając życzenie. Jeśli się spełni, zamalowuje się drugie oko.

– Tak, to prawda, lecz chodzi tu o znacznie więcej – odparł Yamada i lekko popchnął stojącą przed nim zabawkę.

Przechyliła się, zatrzymała, kiwnęła w przeciwną stronę i znowu zwolniła, a potem kołysała nadal, wychylając się coraz słabiej.

Uczniowie czekali cierpliwie, aż sensei Yamada zacznie mówić dalej, lecz wydawało się, jakby starzec zapadł w trans. Dopiero gdy lalka znieruchomiała całkowicie, podniósł wzrok i zamrugał, jakby zdziwiony, że wciąż jeszcze przed nim siedzą.

– Kto mi może powiedzieć, co to jest Dziewięć Stopni? – ciągnął, pozornie nieświadomy, że nie wyjaśnił poprzedniej uwagi.

Nikt nie podniósł ręki.

Sensei czekał.

Nadal nikt się nie zgłaszał z odpowiedzią. Nauczyciel zaś ciągle czekał, jak gdyby odpowiedź musiała się po prostu zebrać w umysłach uczniów niczym kurz na starej księdze.

W końcu Kiku nieśmiało uniosła dłoń.

– Tak, Kiku-chan?

– Czy to inaczej dziewięć zasad prowadzących do oświecenia?

– Niezupełnie, lecz to cenna uwaga – odparł Yamada, wyraźnie zadowolony z jej próby. – To sekwencja dziewięciu kolejnych etapów, czy też kroków, które samuraj musi przejść podczas medytacji. Właściwe zrozumienie Dziewięciu Stopni prowadzi do *satori*, oświecenia.

Na jego wargach pojawił się tajemniczy uśmiech, oczy błysnęły niczym światło słońca odbite w strumieniu. Jack poczuł, że tonie w spojrzeniu starca, jakby stał się liściem na powierzchni wody.

– Ów proces medytacji nazywa się zazen. Celem zazen jest medytowanie połączone z otwieraniem dłoni myśli. Gdy raz uwolnicie umysł od licznych spowijających go warstw, będziecie zdolni pojąć prawdziwą naturę rzeczy i w ten sposób osiągnąć oświecenie.

W głosie senseia brzmiały szmer strumyka, brzęczenie pszczół i delikatna czułość matki, zlane w jedno. Chociaż Jack właściwie nie pojmował słów nauczyciela, bez wysiłku poddał się hipnotycznemu falowaniu jego głosu.

– Dziś będziemy praktykować zazen za pomocą Darumy. Pomedytujemy przez czas, w jakim płonie jedna pałeczka kadzidła – oznajmił i zapalił niewielki kawałek, by odmierzał ich postępy.

– Pierwszy Stopień to przyjęcie właściwej pozycji medytacyjnej, co wszyscy właśnie zrobiliście: należy usiąść ze skrzyżowanymi nogami, prostymi, lecz rozluźnionymi plecami, dłońmi ułożonymi jedna na drugiej i półprzymkniętymi oczyma.

Wszyscy znowu przyjęli właściwą postawę.

– Drugi Stopień to oddychanie z *hara*. Skupcie się na punkcie tuż ponad pępkiem. To środek waszego ciała. Oddychanie powinno być powolne, rytmiczne i spokojne. *Mokuso*[36] – polecił i zaczął medytację.

Jack skoncentrował się, ale sprawiało mu trudność przesunięcie oddechu z piersi do brzucha.

– Z *hara*, Jack-kun. Nie z piersi – łagodnie napomniał Yamada.

„Jak to zauważył, na miłość boską?" – pomyślał zdumiony chłopiec. Znowu się skupił, próbując wydymać brzuch, nie zaś unosić pierś.

Sensei pozwolił, by cała grupa przez kilka minut oddychała coraz wolniej.

– Trzeci Stopień polega na ukojeniu ducha. Porzućcie wszystkie nieistotne myśli, rozpraszające uczucia i umysłowe podniety.

Wyobraźcie sobie, że są jak śnieg w waszym umyśle. Pozwólcie im powoli stopnieć.

Jack uświadomił sobie, że jego umysł pęka od myśli. Brzęczały w głowie niczym osy – Kazuki, rutter, Smocze Oko, Masamoto, ojciec, Jess... Próbował się uspokoić, lecz kiedy odpychał jedną myśl, jej miejsce natychmiast zajmowała następna.

– Czwarty Stopień to spełnienie. Kiedy wasze ziemskie myśli się rozproszą, zacznijcie napełniać swoje ciało *ki*. Wyobraźcie sobie siebie jako puste naczynie. Wlejcie do wnętrza energię duchową niczym miód. Niech was napełni od podeszew stóp po czubek głowy.

Jack, wciąż próbujący opróżnić umysł, nie mógł się skupić na kolejnym etapie. Odkrył, że wciąż go rozpraszają przypadkowe myśli.

– Piąty Stopień to naturalna mądrość. Kiedy ktoś jest spokojny, niewzruszony i w harmonii z samym sobą, może zobaczyć rzeczy takimi, jakie są. To w sposób naturalny prowadzi do pogłębienia mądrości.

Łagodny głos senseia kołysał wszystkich, wprawiając ich w rozmarzenie. Pozwolił im płynąć jeszcze chwilę, nim zaczął mówić dalej. Jack wciąż próbował oczyścić umysł, tak aby wypełnić się *ki* i raz jeszcze poczuć energię, którą odkrył przypadkiem podczas ćwiczenia z bokkenem.

– Dzisiaj pozostaniemy przy piątym stopniu i zaczniemy od podstawowego koanu, pytania, na które każdy musi samodzielnie odpowiedzieć. Skupcie uwagę na swoim Darumie i rozkołyszcie go. Wszyscy wiemy, co to jest, lecz czym to jest?

Było oczywiste, że sensei nie chce usłyszeć odpowiedzi na swój koan, ale raczej skłonić ich do zastanowienia nad odpowiedzią. Na nieszczęście Jack wciąż nie potrafił się skupić jak należy i nie widział rozwiązania. Daruma wciąż wyglądał jak Daruma, pustka w jego oczach była taka sama jak pustka w umyśle Jacka.

Nie potrafił się skupić na lalce, myśli przemykały jak cienie, aż pałeczka kadzidła dopaliła się do końca i sensei Yamada oznajmił:

– *Mokuso, yame!*[37]

Wszyscy porzucili próby medytacji i rozległo się westchnienie ulgi, że zadanie dobiegło końca.

– Dobrze się spisaliście. Właśnie poznaliście ważny ideał *bushido* – oznajmił Yamada i uśmiech zadowolenia rozlał się po jego twarzy, jak gdyby odpowiedź na koan była jasna jak słońce.

Jack wciąż nie rozumiał, o czym nauczyciel mówi. Rozejrzał się wokół i spostrzegł, że na twarzach wielu innych uczniów także maluje się zmieszanie. Najwyraźniej i oni nie doznali zaszczytu oświecenia. Kiku i Yori jednak zdawali się całkiem zadowoleni z tego, co doświadczyli.

– Chcę, byście dziś wieczorem kontynuowali medytację nad lalką. Zobaczcie, czego jeszcze możecie się od niej nauczyć. – Sensei Yamada mądrze pokiwał głową, sugerując, jak wiele prawd można poznać dzięki drewnianej zabawce. – Kluczem do sztuki zen jest systematyczność, więc zmobilizujcie się i medytujcie co rano oraz co wieczór przez pół pałeczki kadzidła. Wkrótce ujrzycie życie takim, jakie jest.

Skłonił się, dając znać, że lekcja skończona. Uczniowie wstali, ukłonili się także i wyszli ze swoimi lalkami.

Jack potupał nogami, by w nich przywrócić krążenie, i poszedł za Akiko, Kiku i Yamato.

– Pamiętajcie, by zamalować jedno oko i wypowiedzieć życzenie! – zawołał za nimi wesoło sensei Yamada, pozostając na swoim podwyższeniu z poduszek, wciąż jak pogodna ropucha na liściu lilii.

Kiedy Jack wynurzył się z półmrocznego Butsuden na główny dziedziniec, musiał osłonić oczy od zimowego słońca, które osunęło się nisko na wieczornym niebie.

– No więc o co w tym wszystkim chodzi? – spytał Saburo, który powłócząc nogami, schodził za nimi po stopniach Butsuden.

– Nie wiem – odparł Yamato. – Może zapytać Kiku? Zdaje się, że ona wie wszystko.

– Powinniście do tego dojść sami – odparła dziewczyna przez ramię.

– Wciąż nic nie pojmuję – poskarżył się Saburo. – To tylko lalka do wypowiadania życzeń.

– Nie, wcale nie. Znacznie więcej – zaprzeczyła Kiku.

– Zupełnie to samo powiedział sensei Yamada. Po prostu powtarzasz jego słowa. Myślę, że sama też nie masz pojęcia – rzucił prowokująco.

– Właśnie, że wiem – odparła jedynie i nie chciała dodać nic więcej.

– Czy ktoś mi wyjaśni, o co senseiowi chodziło? – poprosił Saburo. – Akiko? Yamato?

Oboje wzruszyli ramionami.

– Zapytałbym ciebie, Jack, ale ty pewnie nawet nie wiesz, co to jest zen.

Miał rację. Chłopiec nie wiedział. Liczył, że ktoś mu wyjaśni, ale nie ośmielił się spytać z obawy, by nie wydać się jeszcze głupszym.

– Siedem razy w dół, osiem razy w górę – zadźwięczał cienki głosik.

Wszyscy się obejrzeli i zobaczyli Yoriego schodzącego po stopniach.

– Co?

– Siedem razy w dół, osiem w górę. Nieważne, ile razy powalą cię na ziemię, wstań i próbuj znowu. Jak Daruma.

Wytrzeszczyli na niego oczy zaskoczeni.

– Sensei Yamada nauczył nas podstawowej lekcji w budo. Nigdy się nie poddawaj.

– Czemu nam tego po prostu nie powiedział? – zdziwił się Saburo.

– Zen nie działa w taki sposób – wtrąciła Kiku, wyraźnie zirytowana na Yoriego za zdradzenie odpowiedzi. Zwróciła się do Jacka, jakby zwłaszcza jemu chciała wyjaśnić kwestię. – Zen kładzie nacisk na ideę, że najważniejsze prawdy w życiu należy poznawać samemu, a nie dochodzić do nich przez naukę.

– Słucham? – spytał chłopiec, rozpaczliwie próbując sobie przyswoić sens pojęcia.

– Sensei Yamada ma nam wskazywać drogę, nie wydawać polecenia. Masz odkryć odpowiedź sam dla siebie. Gdyby sensei po prostu ci ją podał, nie zrozumiałbyś jej prawdziwego znaczenia.

– Zrozumiałbym! – wtrącił się Saburo. – I oszczędziłoby mi to niemało wysiłku!

Tego wieczoru Jack zapalił krótką pałeczkę kadzidła i usiadł po turecku w pozycji półlotosu w swoim pokoju, kontemplując czerwoną lalkę. Popychał ją i patrzył, jak się kołysze. Potem czekał cierpliwie na oświecenie.

Kiedy pałeczka wypaliła się, a odpowiedź nie nadeszła, zapalił następną i znowu pchnął lalkę. Jej łagodny ruch uspokajał go. Jack popchnął ją znowu i ponieważ nic go nie rozpraszało, poczuł, że odpływa. Daruma kołysał się nadal.

Ciało chłopca się odprężyło... Powieki opadły do połowy... Oddech zwolnił... Umysł się uspokoił... Jego myśli stały się mniej chaotyczne... Ciało stopniowo napełnił miękki, ciepły blask... *ki*... Naraz w jego umyśle zapłonęła jasno jedna jedyna myśl.

Wiedział już, jakie ma życzenie.

Zamalował oko lalki.

---

[36] Mokuso (jap.) – Do medytacji!

[37] Mokuso, yame! (jap.) – Koniec medytacji.

29

Sensei Kyuzo

Jack frunął w powietrzu.

Podłoga sunęła mu na spotkanie. Z mdlącym trzaskiem rąbnął na plecy, aż całe powietrze uszło mu z płuc. Leżał, próbując złapać oddech.

Sekundę później Yamato grzmotnął o ziemię obok niego, a zaraz potem Saburo spadł na nich obu, przygważdżając ich do podłogi.

– Idiota! – warknęli obaj na intruza.

– Przepraszam. Jego zapewnienia zdawały się odrobinę... przesadzone – odparł Saburo, odtaczając się na bok i rozcierając klatkę piersiową.

– Teraz już wiesz, że nie były! – burknął Yamato, odsuwając go kopniakiem.

Jack rzucił Saburo urażone spojrzenie. To przez niego wpadli w tarapaty. Sensei Kyuzo przedstawiał się i wymieniał długą listę swoich zwycięstw nad rozmaitymi znanymi wojownikami, gdy

naraz Saburo prychnął lekceważąco z niedowierzaniem i sensei natychmiast podszedł.

– Co to było? Myślisz, że kłamałbym przed zasmarkanym kohaiem? Myślisz, iż ktoś mojego wzrostu nie poradziłby sobie z sześciostopowym koreańskim wojownikiem? Wstawaj! Ty, Yamato-kun i ten tu *gaijin* – rozkazał, dźgając Jacka sękatym palcem. – Zaatakujcie mnie. Wszyscy naraz.

Stali niepewni na środku Butoku-den, podobni do wystraszonych królików. Staruszek był niższy od nich, ale wydawał się groźny jak grzechotnik.

– Śmiało! Sądziłem, że jesteście samurajami! – zadrwił. – Odrobinę wyrównam szanse. Przyrzekam, że będę używał tylko prawej ręki.

Uczniowie zachichotali na ten dziwaczny pomysł.

– Atakujcie! – krzyknął.

Popatrzyli na siebie, po czym równocześnie rzucili się na senseia. Jack nawet nie zdążył go dotknąć, gdy wystrzelił w powietrze i wylądował boleśnie na podłodze *dojo*, chwilę przed tym, gdy Yamato i Saburo podzielili jego los.

Kiedy klękał z powrotem w szeregu, pochwycił złośliwy uśmiech Kazukiego.

– Jestem wdzięczny rodzicom, że obdarzyli mnie drobną postacią. Wojownicy mnie nie doceniają. Wy mnie nie doceniacie – dodał sensei Kyuzo. – Czy wbiłem ci do głowy nieco wiary, Saburo-kun?

– *Hai, sensei* – przytaknął Saburo, kłaniając się z takim pośpiechem, że stuknął czołem o podłogę.

Sensei kontynuował wykład, silnie uderzając i dźgając palcami w drewniany słup. Pod ciosami twardych jak żelazo palców słup dygotał raz po raz.

– Po to, by pokonać roślejszych przeciwników, musiałem osiągnąć doskonałość technik i ćwiczyć dwa razy ciężej od innych.

Jego głos atakował ich falami, do wtóru ciosów.

– Jeśli mój wróg trenuje godzinę, ja trenuję dwie. Jeśli trenuje dwie godziny, ja trenuję cztery. Kluczem do taijutsu jest ciężka praca, nieustanny trening i dyscyplina. *Hai?*

– *Hai, sensei* – odpowiedzieli uczniowie.

– Pytałem, czy rozumiecie. Bogowie w niebiosach muszą usłyszeć waszą odpowiedź. *Hai?* – surowo ponowił pytanie.

– *Hai, sensei!* – zawołali jednym głosem, a ich krzyk odbił się echem od ścian.

– Za każdym razem, gdy będziecie wychodzić przez te drzwi, staniecie przeciw dziesięciu tysiącom wrogów. *Hai?*

– *Hai, sensei!*

– Traktujcie swoje dłonie i stopy jak broń przeciwko nim. *Hai?*

– *Hai, sensei!*

– Jutrzejsze zwycięstwo to dzisiejszy trening. *Hai?*

– *Hai, sensei!*

– Pierwszy rok nauki taijutsu będzie poświęcony podstawowym technikom.

Sensei Kyuzo podkreślał każde słowo uderzeniem pięści w słup.

– Opanujcie podstawy. One są najważniejsze. Nauczcie się właściwych pozycji. Postarajcie się o precyzję ruchów. Wtedy możecie walczyć. Wydumane techniki są dobre w objazdowych

cyrkach i by robić wrażenie na damach. Podstawowe służą do walki.

Nagle przestał okładać słup.

– Ty, gaijinie! Chodź tutaj – rozkazał.

– Mam na imię Jack, sensei – odparł chłopiec chłodno, urażony, że nauczyciel użył obraźliwego zwrotu.

– Doskonale. Gaijinie Jack, chodź tutaj – powtórzył, przyzywając go energicznym ruchem dłoni.

Kazuki parsknął śmiechem i szepnął półgłosem do Nobu „Gaijin Jack".

– Kazuki-kun! – rzucił Kyuzo, nie odrywając wzroku od Jacka. – Ufam, że dorównasz reputacji swego ojca jako samuraja. Uważaj!

Jack podniósł się i stanął naprzeciw nauczyciela. Nie wiedział, czego się spodziewać; sensei był w oczywisty sposób bezwzględny. Z pewnością chłopak nie zamierzał go zlekceważyć po raz drugi.

– Zanim się zajmiemy kopnięciami, uderzeniami i rzutami, musicie się nauczyć kontrolować wroga. Zaczniemy od chwytów i bloków, ponieważ łatwiej wam będzie wyczuć tory, po jakich podąża energia, podczas otrzymywania, a nie zadawania ciosów.

Stanął przed Jackiem, patrząc na niego nieprzyjemnie.

– Chwyć mnie za nadgarstek, jakbyś mnie próbował powstrzymać przed wyciągnięciem miecza. Atakuj! – rozkazał.

Jack podszedł i niepewnie złapał senseia za rękę. Jego własny nadgarstek w mgnieniu oka zapłonął bólem i chłopiec mimo woli opadł na kolana. Sensei Kyuzo po prostu położył rękę na przedramieniu Jacka i skręcił je w swoją stronę, lecz efekt był piorunujący.

– To jest *nikkyō*. Wywiera bolesny ucisk na nerw nadgarstka i przedramienia – wyjaśnił. – Klepnij dłonią o udo albo podłogę, kiedy ból stanie się nie do zniesienia, gaijinie.

Następnie wykręcił rękę Jacka odrobinę mocniej i chłopcu zrobiło się z bólu ciemno przed oczami. Jak szalony zaczął się uderzać po udzie i nacisk ustał. Przez załzawione oczy widział, że Kazuki wyraźnie rozkoszuje się jego publicznym cierpieniem.

– Wstań i zaatakuj mnie najmocniej i najszybciej jak potrafisz – rozkazał nauczyciel.

Jack usłuchał, jednak natychmiast znowu znalazł się na ziemi, wijąc z bólu spowodowanego tą samą prostą techniką. Dłonią zaczął szybko uderzać w udo i nacisk zelżał.

– Jak widzicie, to co łagodne, kontroluje silne. Im silniej gaijin Jack próbował atakować, tym łatwiej mi go było pokonać – oznajmił z chłodnym uśmiechem, po czym ku uciesze uczniów jeszcze kilka razy zademonstrował metodę.

Następnie sensei pokazywał na Jacku inne techniki, ciskając nim wokół niczym kukiełką, używając go jak worka treningowego i przewracając, by dowieść, że chłopiec przyjął niewłaściwą postawę. Pod koniec Jack był wyczerpany, potłuczony, posiniaczony i obolały.

– Teraz chcę, żebyście wszyscy poćwiczyli *nikkyō*. Dobierzcie się w pary i ustalcie, kto będzie *tori*, wykonującym technikę, a kto *uke*, przyjmującym. Kazuki, może potrenujesz z moim *uke*? Powinien być nieźle rozgrzany.

Jack jęknął w duchu nad niesprawiedliwością decyzji, ale postanowił nie ulec złości w obecności Kazukiego.

– Ponieważ jesteś moim *uke*, gaijinie Jack, ja zaczynam – oznajmił Japończyk i wyciągnął rękę, by Jack ją chwycił.

– Pamiętajcie wszyscy – ostrzegł sensei Kyuzo. – Jeśli technika zostanie wykonana zbyt mocno, klepnijcie w podłogę lub własne udo, by poinformować o tym partnera. Wtedy partner musi was puścić.

Jack zacisnął dłoń na nadgarstku Kazukiego, przekonany, że z braku doświadczenia przeciwnik nie zdoła zastosować techniki. Kazuki jednak najwyraźniej już wcześniej ćwiczył *nikkyō*. Jack padł na kolana; jego ciało zareagowało odruchowo, by uciec przed bólem.

Klepnął się w udo.

Kazuki nacisnął mocniej.

Jack klepnął silniej.

Kazuki wykręcił mu rękę jak najmocniej. Ból był tak przeszywający, że chłopcu łzy popłynęły po twarzy. Japończyk przyglądał mu się z mściwą radością.

– Zmiana partnerów – rozkazał sensei Kyuzo.

– Nieźle się z tobą trenuje, gaijinie Jack – warknął Kazuki, puszczając ramię przeciwnika, a potem udał się na poszukiwanie następnej ofiary.

Jack gotował się ze złości. Nie miał nawet szansy się zemścić.

Po skończonych zajęciach pierwszy wyszedł z sali.

Akiko pośpiesznie pobiegła za nim.

– Wszystko w porządku, Jack? – zapytała.

– Jasne, że nie! Czemu sensei Kyuzo nie wybrał do pokazów kogoś innego? – burknął, wybuchając tłumionym gniewem. –

Uwziął się na mnie. Jest taki sam jak Kazuki. Nienawidzi gaijinów.

– Nie, wcale nie. Sensei Kyuzo następnym razem zapewne wybierze kogoś innego – odparła, próbując go udobruchać. – Poza tym dobrze jest być *uke*. Masamoto mi powiedział, że to najlepszy sposób nauki. Teraz będziesz wiedział, co się czuje podczas należytego wykonania techniki.

Kiedy wychodzili z Butoku-den i zmierzali do Cho-no-ma na obiad, Jack słyszał docinki „gaijin Jack" i towarzyszące im chichoty uczniów.

– I o co im chodzi z tym gaijinem Jackiem? Ja nie biegam wokół i ich nie obrażam!

– Nie zwracaj na to uwagi – poradziła Akiko. – Nie stać ich na nic lepszego.

„A powinno być – pomyślał. – Mają zostać samurajami".

30

Trafić do celu

Biała plamka, nie większa od oka, lśniła jasno w południowym słońcu. Zabrzmiał gong świątynny; dźwięk odbił się echem od dachów szkoły.

Pęk piór śmignął w powietrzu z szybkością jastrzębia spadającego na ofiarę; towarzyszył temu przenikliwy świst, a potem donośny stuk, jak pojedyncze uderzenie serca, kiedy strzała trafia do celu.

Chwilę później utkwiła w nim druga strzała, równolegle do pierwszej; jej opierzone lotki drżały.

Uczniowie zaczęli wiwatować. Sensei Yosa jeszcze przez chwilę zachowała pozycję; jej skupienie było niemal namacalne. Potem opuściła łuk i podeszła do uczniów.

– Kyujutsu wymaga od samuraja szczególnej kombinacji zdolności – zaczęła. – Wytrwałości wojownika, wdzięku tancerza i duchowego spokoju mnicha.

Uczniowie słuchali z uwagą, zebrani na jednym końcu Nanzen-niwa, Południowego Ogrodu Zen na tyłach Butsuden. Był to

przybytek piękna i prostoty, zaprojektowany wokół długiego, prostokątnego pasa zagrabionego białego piasku, ozdobionego rozrzuconymi kamieniami i starannie pielęgnowanymi roślinami. Stara sosna, poskręcana i powyginana przez żywioły, rosła w przeciwnym końcu. Jej pień, niczym kruchy starzec, wspierał się na drewnianej kuli. Tarczę umieszczono pod tym właśnie drzewem, a ponieważ znajdowała się na drugim krańcu ogrodu, wydawała się nie większa od głowy Jacka; biały znak był ledwie widoczny pośrodku dwóch koncentrycznych, czarnych kręgów.

– Łuk to broń do walki na odległość. Może z niego strzelać mężczyzna lub kobieta, dziewczyna lub chłopiec, z równie zabójczym skutkiem.

Jack klęczał między Yamato i Akiko, pełen szacunku zarówno dla gibkiego piękna, jak i nadzwyczajnych zdolności sensei Yosy. „Moją nauczycielką jest zabójczy anioł" – pomyślał.

– Wszyscy *daimyo*, od Takatomiego Hideakiego po Kamakurę Katsurę i samego Masamoto Takeshiego przeszli szkolenie kyujutsu. I oczywiście ta właśnie broń zapewniła Tomoe Gozen miejsce w legendach.

Słowa sensei Yosy zafascynowały Akiko. Wzmianka o Tomoe Gozen tak bardzo zachwyciła dziewczynę, że Jackowi wydawało się, iż lada chwila zacznie wiwatować.

– Inaczej niż miecz, pięść czy stopa, łuk stawia wam opór. W pełni naciągnięty jest w istocie bliski pęknięcia na pół!

Uczniowie westchnęli zaskoczeni. Tylko Kazuki rozglądał się wokół z nieco znudzoną miną. „Pewnie za mało tu dla niego przemocy" – pomyślał Jack.

– Opanowanie drogi łuku przypomina piramidę, w której subtelniejsze umiejętności spoczywają na bardzo szerokim i solidnym fundamencie. Musicie poświęcić wymaganą ilość czasu na zbudowanie silnej podstawy. W ciągu najbliższych miesięcy będziemy ćwiczyć po kolei każdy etap – wyjaśniła, czule pieszcząc lotki strzały kciukiem i palcem wskazującym. – Dzisiaj jednak po prostu chcę, by każdy zapoznał się z łukiem. Jeśli potraficie, możecie nawet wypuścić strzałę.

Rozległ się pełen podniecenia szmer na wiadomość, że naprawdę będą mogli strzelić do celu. Akiko klęczała wyprostowana, napięta jak sprężyna, gotowa zerwać się na nogi przy pierwszej sposobności.

– Na początek proszę, przyjrzyjcie mi się uważnie, byście umieli powtórzyć moje ruchy – poleciła nauczycielka, podchodząc do linii. – Pierwsza zasada w kyujutsu brzmi: umysł, łuk i ciało stanowią jedność.

Ustawiła się bokiem do celu i stanęła w szerokim rozkroku, tak iż jej ciało przybrało kształt litery A.

– Druga zasada to równowaga. Równowaga jest kamieniem węgielnym kyujutsu. Wyobraźcie sobie, że jesteście drzewem. Dolna część waszego ciała to pień i korzenie, trwałe i niewzruszone. Górna część to gałęzie, giętkie, lecz zachowujące kształt i funkcję. Równowaga uczyni z was doskonałych kyudoków!

Przytrzymała cięciwę prawą ręką, potem starannie umieściła lewą na uchwycie. Uniosła nad głowę łuk, wyższy od siebie, i przygotowała się do naciągnięcia.

– Między umysłem a ciałem trwa nieustanna walka o kontrolę nad naciągnięciem. By trafić do celu z jaką taką precyzją, niezbędna jest całkowita koncentracja. To trzecia zasada. Najmniejsza nierównowaga, niewłaściwy oddech, utrata skupienia spowodują, że chybicie.

Opuściła łuk z cięciwą naciągniętą przy policzku i strzałą na wysokości oka, tak że jej rubinowa blizna znalazła się pomiędzy nimi.

– Kiedy wasz umysł i równowaga są w odpowiednim stanie, strzała trafi do celu. Waszym duchowym zadaniem jest poddać się całkowicie drodze łuku.

Sensei Yosa jednym płynnym ruchem naciągnęła cięciwę do końca; strzała pomknęła ze świstem i raz jeszcze trafiła w cel.

– Kto chciałby spróbować pierwszy? – zapytała.

Dłoń Akiko wystrzeliła w górę. Emi, widząc sposobność, by znowu przyćmić koleżankę, także podniosła rękę.

– Cóż, zacznijmy od was dwóch. Proszę, użyjcie tych łuków. Powinny mieć odpowiedni rozmiar i siłę naciągu – poradziła sensei, wskazując dolną część stojaka za swoimi plecami.

– Życzę ci szczęścia – odezwała się przyjaźnie Kiku do Emi, kiedy dziewczyna wstawała, by zająć pozycję.

– Szczęścia potrzebują miernoty – burknęła tamta lekceważąco, jak do służącej, i podeszła do linii strzału.

– Moje panie, chcę, żebyście naciągnęły łuki tak, jak pokazywałam, lecz nie strzelajcie, póki nie pozwolę.

Obie uniosły i przygotowały broń; krzywizna łuku obrysowała ich sylwetki. Emi stojąca obok Akiko była wyraźnie wyższa, smukłość jej postaci uwydatniały niezwykle długie, proste włosy.

Jej rysy miały w sobie surowe piękno, podkreślone przez maleńkie usteczka. Jack pomyślał, że dziewczyna przypomina kamon swojego rodu, żurawia – wysoka, smukła i wytworna.

– Dobrze. Obie macie znośną postawę. Możecie strzelić, kiedy będziecie gotowe; celujcie w najbliższy punkt – powiedziała sensei, wskazując tarczę znajdującą się w odległości zaledwie dziesięciu kroków.

Emi wypuściła strzałę, lecz cięciwa zaczepiła o jej ramię; strzała zafurkotała słabo w powietrzu i upadła, nie sięgając celu.

Strzał Akiko wywarł większe wrażenie; pocisk pomknął prosto, ale minął tarczę.

– Udana pierwsza próba – oceniła sensei Yosa. – Strzelałyście już wcześniej?

– *Hai,* sensei – przyznała Emi ze skwaszoną miną.

– Ja nie, sensei – powiedziała Akiko ku widocznemu niezadowoleniu przeciwniczki.

– Jestem pod wielkim wrażeniem, Akiko-chan – pochwaliła nauczycielka. – Masz naturalny talent.

– Chcę spróbować jeszcze raz – zażądała Emi rozkapryszonym głosem.

Sensei Yosa, lekko zaskoczona jej wyniosłym tonem, spojrzała na obie uczennice, po czym odpowiedziała.

– Nie mam nic przeciwko odrobinie rywalizacji. To rozbudza talent. Proszę, podejdźcie obie do linii. Zobaczmy, czy tym razem traficie do celu.

Emi przygotowała się znowu, naciągnęła łuk i strzeliła czysto. Strzała trafiła w zewnętrzny czarny pierścień wokół celu. Dziewczyna spojrzała z góry na Akiko, pewna zwycięstwa.

– Doskonale, Emi-chan. Zobaczmy, czy Akiko-chan zdoła poprawić ten wynik – powiedziała sensei Yosa, rzucając jej wyzwanie.

Akiko podeszła do linii.

Jack wstrzymał oddech, kiedy przyjmowała pozycję i chwytała cięciwę. Widział, że ręce lekko jej drżą, gdy ujmowała łuk i starała się uspokoić oddech. Następnie jej twarz zamarła w wyrazie kamiennej determinacji. Akiko stanęła pewnie, uniosła łuk nad głowę i opuszczając go wolno, naciągała cięciwę. Jack widział, iż Emi siłą woli próbuje sprawić, by spudłowała. Cel wydawał się tak mały; jakim cudem Akiko mogłaby w niego trafić?

Pociągnęła cięciwę aż za policzek i zwolniła. Strzała przecięła powietrze i trafiła w cel o szerokość kciuka bliżej środka niż strzała Emi. Jack krzyknął radośnie i natychmiast przyłączyli się do niego inni uczniowie. Zaskoczona Akiko promieniała z zachwytu.

– Doskonale, Akiko-chan. Obie możecie usiąść – oznajmiła sensei Yosa. – Kto następny?

Kilku innych uczniów natychmiast wyciągnęło ręce, tymczasem skwaszona Emi i radosna Akiko uklękły z powrotem w szeregu.

Jack przyglądał się, jak uczniowie występują kolejno.

Kiedy na środek wyszli Kazuki i Nobu, wybrali największe łuki, jakie udało im się znaleźć na stojaku, mimo ostrzeżeń sensei Yosy, że będą dla nich zbyt potężne. Nobu natychmiast dowiódł, że miała rację. Łuk wyślizgnął mu się z dłoni, cięciwa odskoczyła, uderzając go mocno w policzek. Chłopiec krzyknął z bólu ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich pozostałych. Nawet Kazuki śmiał się z nieszczęścia przyjaciela.

Potem przyszła kolej Jacka.

Podszedł do linii, założył strzałę na cięciwę i naciągnął łuk. Naraz, nie wiadomo skąd, poczuł uderzenie w policzek. Zaskoczony, pozwolił, by łuk wyślizgnął mu się z rąk; stracił kontrolę nad strzałą, która śmignęła w powietrze. Uderzyła duży kamień i odbiła się rykoszetem ku stojącej obok sensei Yosie. Wylądowała u jej stóp, rozdarłszy brzeg jej *tabi*.

– Stop! – krzyknęła nauczycielka.

Nikt się nie poruszył. Nad ogrodem zapadła martwa cisza. Jack słyszał wyraźnie zgrzyt ostrza, kiedy sensei Yosa wyciągała strzałę z ziemi, a potem chrzęst żwiru, gdy do niego podchodziła.

– Jack-kun – wycedziła mu do ucha – czy powiedziałam, że wolno ci wypuścić strzałę?

– Bardzo przepraszam, sensei, ale to nie była moja wina.

– Nie uchylaj się od odpowiedzialności! Ty jesteś łukiem. Masz kontrolę. Przyjdź do mnie po zajęciach, wtedy wyznaczę ci karę.

– Przepraszam, sensei Yosa – odezwał się Yori lękliwie.

– O co chodzi, Yori-kun?

– To nie była wina Jacka, sensei Yosa. Ktoś rzucił w niego kamieniem.

– Czy to prawda? – zwróciła się ostro do Jacka. – Kto to zrobił?

– Nie wiem – odpowiedział, choć był pewien, że się domyśla.

– Yori? Kto zawinił?

Drobny chłopiec się skłonił i nerwowo wyszeptał imię Kazukiego.

– Co powiedziałeś? – zapytała nauczycielka, bo nie dosłyszała za pierwszym razem.

– Kazuki, sensei... – i głos Yoriego ucichł.

Oczy Kazukiego błysnęły gniewem na tę jawną zdradę, przysunął się więc do chłopca, lecz zaraz cofnął, gdy sensei zagrzmiała:

– Kazuki-kun! Przyjdziesz do mnie po zajęciach i porozmawiamy o twojej karze. A teraz przynieś moje strzały z tarczy!

Chłopak skłonił się pośpiesznie i pomknął w stronę celu. Był tak wystraszony gniewem nauczycielki, że z trudem udawało mu się wyciągać strzały. Właśnie zdołał wyjąć pierwszą, kiedy kolejna śmignęła mu obok ucha, przybijając rękaw jego kimona do tarczy. Odwrócił się z oczyma wychodzącymi z orbit i ustami otwartymi w niemym przerażeniu.

– Nie drażnij pszczoły, Kazuki-kun, bo zaatakuje cię z furią smoka! – zawołała sensei Yosa przez ogród, nakładając na cięciwę kolejną strzałę. – Kyujutsu jest bardzo niebezpieczne dla uczniów. Nie błaznuj. Rozumiesz, Kazuki-kun?

Wypuściła drugą strzałę. Nie zdążył nawet mrugnąć. Pocisk przemknął tuż nad jego głową, rozgarnął mu włosy, po czym uderzył tarczę. Chłopiec wił się niczym robak nadziany na haczyk, rozpaczliwie pragnąc uciec i zakończyć swoje upokorzenie.

– *Hai*, *sensei* Yosa*! Moushiwake arimasen deshita!*[38] – wyrzucił z siebie, używając możliwie najuprzejmiejszej formuły przeprosin.

Jack rozkoszował się kompromitacją wroga. Być może następnym razem Kazuki nie będzie tak skory go krzywdzić.

Obrócił się do Yoriego, by mu podziękować ukłonem, lecz mały chłopiec go zignorował. Klęczał z pustym wzrokiem, niespokojnie gryząc dolną wargę.

[38] Hai, sensei... (jap.) – Tak mistrzyni Yosa! Proszę o wybaczenie!

31

Wojna Kazukiego

Tego wieczoru Kazuki nie pojawił się na kolacji.

Jack odprężył się pierwszy raz od przybycia do Kioto. Najwyraźniej Kazuki wciąż wypełniał karę sensei Yosy. Jacka martwiło jedynie, że nie było także Yoriego. Akiko wspomniała, iż widziała go idącego do Sali Buddy; sądziła, że chciał się zobaczyć z senseiem Yamadą. Kiedy jednak nadeszła pora posiłku, sensei nadszedł sam, szurając nogami.

Pod koniec kolacji Yori wciąż się nie zjawiał. Jack był pewien – coś mu się stało. Zaniepokoił się jeszcze bardziej, kiedy zauważył Nobu pośpiesznie wymykającego się na zewnątrz.

– Akiko, martwię się o Yoriego. Nie było go na kolacji.

– Na pewno wszystko z nim w porządku, Jack. Gdzieś medytuje. Często go widuję, jak medytuje w swoim pokoju rano, w południe i wieczorem. Ma wspaniałe kadzidło o zapachu drzewa sandałowego. Nawet mi trochę dał...

– Ja nie żartuję, Akiko. Jasne jak słońce, że dzisiaj podczas kyujutsu zrobił sobie z Kazukiego wroga.

– Jack, Kazuki stracił twarz, ale nie ośmieliłby się skrzywdzić Yoriego. To by było niehonorowe.

– Niehonorowe? O czym ty mówisz? Mnie napadł bez najmniejszych skrupułów.

– To prawda, ale ty jesteś... – Akiko nagle wydała się zażenowana – ...gaijinem... cudzoziemcem. Nie uważa cię za równego sobie. Yori tymczasem jest Japończykiem z samurajskiego rodu o długiej i zaszczytnej historii.

– Ale Masamoto mnie adoptował, więc z pewnością zasługuję na taki sam szacunek... – zaczął Jack, lecz umilkł.

Widział to w oczach Akiko. Nie był równy i nigdy nie miał być. Nie w oczach jej i Kazukiego. Rozejrzał się wokół stołu. Saburo i Kiku uprzejmie unikali jego wzroku. Yamato odpowiedział chłodnym spojrzeniem. Dla Jacka było oczywiste, iż chłopak toleruje go jedynie z powodu rozkazu ojca, mimo że Jack uratował mu życie.

– A więc honor jest zarezerwowany tylko dla Japończyków, tak? – rzucił prowokująco. Rysy Akiko drgnęły jak śnieg mieciony wiatrem; skłoniła się, unikając jego gniewnego spojrzenia.

– Doskonale. Cóż, przynajmniej zachowajcie honor dla Yoriego i pomóżcie mi go znaleźć.

– Owszem, to dobry pomysł – zgodził się Saburo, próbując rozładować sytuację. – Może pójdziemy z Yamato poszukać go w Niwa? Akiko i Kiku mogą poszukać w Shi-shi-no-ma. Ty, Jack, możesz sprawdzić w Butsuden. Akiko ma rację, pewnie gdzieś medytuje.

Szybko zerwał się z miejsca, ponaglając pozostałych do poszukiwań, i wszyscy wybiegli z Chō-no-ma.

Była kolejna zimna, gwiaździsta noc i na niebie wisiał półksiężyc, oblewając dziedziniec upiornym bladym światłem, a Jack samotnie wspinał się po kamiennych stopniach ku wejściu do Butsuden.

Miał ochotę złorzeczyć księżycowi. Bezsilna wściekłość, że jest w Japonii, wrzała mu pod skórą niczym gorący olej. Mógł znieść prawie wszystko, nawet Kazukiego, lecz głęboko zabolała go reakcja Akiko i świadomość, że także ona widzi go jako kogoś obcego, stojącego niżej. Jack sądził, iż są przyjaciółmi. Lecz przecież prawdziwych przyjaciół różnice nie dzielą. Prawdziwi przyjaciele jednoczą się z ich powodu.

Uśmiechnął się niewesoło. Zaczynał przypominać senseia Yamadę wygłaszającego przysłowia zen. Przełknął rozgoryczenie. Przynajmniej Yori się za nim ujął. Jack miał tylko nadzieję, że chłopiec nie wpadł w tarapaty.

Wszedł na najwyższy stopień i zajrzał w ponurą ciemność Butsuden. Snopy księżycowego światła przecinały salę niczym więzienne kraty. Jack już miał zawołać Yoriego po imieniu, kiedy usłyszał ściszone głosy, napięte i gniewne.

– Musiałem rozrzucać w ogrodzie nieczystości, jakie zebrały się przez noc w ubikacji – odezwał się pierwszy. – Przepadła mi kolacja i śmierdzę!

– Bardzo mi przykro, Kazuki. Ale to było złe...

Jack wyjrzał zza drzwi i zobaczył Kazukiego górującego nad drżącą postacią Yoriego. Za jego plecami majaczył Nobu; jego tłusty, niekształtny cień rozpościerał się na podłodze. Jack przywarł do ściany i ukryty w ciemności przysunął się bliżej.

– Złe? Co cię to obchodzi? To gaijin! Nie jest godzien być jednym z nas! – warknął Kazuki. – Nie mogę uwierzyć, że ty, Yori, pierworodny syn rodu Takeda, którego przodkowie walczyli i zwyciężali Mongołów, ująłeś się za zwykłym gaijinem!

– Ale on się naprawdę nie różni od nas... – odparł błagalnie Yori.

– Co takiego? Musisz się wiele nauczyć. My jesteśmy potomkami Amaterasu, bogini słońca. Samuraje należą do wybrańców, wojowników bogów. Gaijinowie są nikim. Nadają się tylko na służących.

Jack był zdumiony zadufaniem Kazukiego. Krew zagotowała mu się w żyłach na myśl o ignorancji Japończyka. Żaden człowiek nie jest lepszy od innych. Co najwyżej inny. Kazuki jednak wyraźnie uważał różnicę za słabość, skazę, błąd. Jack napiął mięśnie, gotów wkroczyć na scenę. Właśnie miał to zrobić, kiedy Kazuki zmienił taktykę.

– Ale potrafię być rozsądny, Yori – ciągnął dalej niemal łagodnym tonem. – W uznaniu zasług twoich przodków dam ci szansę uniknąć kary.

Jack zastanowił się. „Może Akiko ma rację – pomyślał. – Może Kazuki uszanuje Yoriego jako samuraja". Zmieszany i wystraszony Yori zamrugał, patrząc w ciemności na drugiego chłopca.

– Jak się zdaje, wiesz wiele na temat zen. Chcę, żebyś rozwiązał następujący koan. To zagadka. Z pewnością poradzisz z nią sobie bez trudu. A jeśli nie, przyjmiesz karę z wdzięcznością, choć może jutro będziesz miał pewne trudności z jedzeniem.

Nobu zachichotał, słysząc groźbę, i strzelił kostkami palców; dźwięk poniósł się echem po sali. Yori zakwilił.

– Oto twój koan. Dwie dłonie klaszczą i słychać dźwięk. Jaki jest dźwięk jednej klaszczącej dłoni?

Yori milczał przez chwilę, nerwowo mnąc w dłoniach kimono, z czołem zmarszczonym w rozpaczliwej koncentracji.

– Jaki jest dźwięk jednej dłoni, Yori? – powtórzył ostro Kazuki.

– Proszę. Proszę. Potrzebuję ciszy, by pomyśleć.

– Przykro mi, ale jestem głodny i brak mi cierpliwości. Odpowiedz!

– To się odnosi... do samego koanu. Jeśli przez dwie klaszczące dłonie... rozumie się szukanie odpowiedzi... czyli że same dłonie są koanem... to wynika z tego, że ty... jako medytujący... stajesz się koanem, który próbujesz zrozumieć... To jest dźwięk jednej klaszczącej dłoni.

– Wyśmienicie. Sensei Yamada pochwaliłby taki filozoficzny bełkot jako odpowiedź. Ale źle! Oto jest głos jednej klaszczącej dłoni – warknął Kazuki, zamachnął się i z całej siły uderzył Yoriego w twarz. Chłopiec upadł na podłogę, kwiląc z bólu.

– Nie! – krzyknął Jack, bez zastanowienia wybiegł z mroku i rzucił się na Kazukiego.

Walnął go ramieniem w brzuch i obaj potoczyli się na środek sali. Kazukiemu całe powietrze uszło z płuc, nie mógł się ruszać. Jack uderzył go w usta.

– To za Yoriego – wyjaśnił. – A to za mnie!

Właśnie kiedy unosił pięść po raz drugi, do Butsuden wbiegły Akiko i Kiku.

– Jack! – krzyknęła Akiko.

Podniósł wzrok. Tego właśnie ułamka sekundy potrzebował Kazuki. Uderzył go pięścią w podbródek, aż chłopiec poleciał na plecy. Gdy leżał rozciągnięty na kamiennej podłodze, Kazuki z trudem się podniósł. Stanął nad przeciwnikiem z krwią cieknącą z rozciętej wargi.

– Zły ruch, gaijinie – splunął i uniósł nogę do ciosu.

– Nie! – zawołała Akiko, rzucając się na Kazukiego, by go powstrzymać. Nobu jednak chwycił ją za włosy i odciągnął brutalnie.

Jack, rozwścieczony atakiem Nobu na dziewczynę, podtoczył się do Kazukiego, mocno uderzając go w nogę, na której tamten oparł ciężar ciała.

Japończyk runął na podłogę.

Chłopcy zaczęli się zmagać, próbując zyskać przewagę.

Kazuki zdołał znaleźć się na wierzchu i uwięzić lewą rękę Jacka. Chłopiec poczuł ucisk i natychmiast został sparaliżowany bólem. Próbował się poruszyć, lecz za każdym razem Kazuki naciskał mocniej.

Wbiegli Yamato i Saburo.

– Yamato, pomóż Jackowi! – krzyknęła Akiko, próbując się wyrwać Nobu.

Nobu, w obawie, że Yamato go zaatakuje, natychmiast puścił dziewczynę. Kiku podbiegła, by ją wesprzeć, lecz Akiko nie potrzebowała pomocy. Silnie uderzyła Nobu łokciem w brzuch, aż zgiął się wpół z bólu.

– Czemu miałbyś pomagać gaijinowi, Yamato?! – krzyknął Kazuki, zdyszany od walki. – Szczególnie takiemu, który zajął

miejsce twojego brata. Mam rację, on jest adoptowanym synem Masamoto, prawda?

Yamato zawahał się i przystanął, patrząc na Jacka przygwożdżonego do ziemi.

– Jak mogłeś do tego dopuścić, Yamato? Gaijin członkiem twojej rodziny. Co za hańba!

Słowa Kazukiego odbiły się echem od ścian Butsuden. „Hańba! Hańba! Hańba!", rozbrzmiewało w uszach Yamato.

– Mogę skończyć tę hańbę. Mogę złamać mu rękę w taki sposób, że nawet Masamoto nie zdoła jej złożyć. Nie znam wielu jednorękich samurajów, a ty, Yamato?

Jack widział, że Yamato rozważa dostępne możliwości. Z jednej strony byłoby znacznie lepiej dla niego, gdyby Jack zniknął, z drugiej zaś istniał honorowy dług: zawdzięczał Jackowi życie. Nie to jednak było tu najważniejsze; rozstrzygającym czynnikiem był gniew ojca.

– Masamoto nas nie ukaże – przekonywał Kazuki, jakby czytając w jego myślach. – Nobu jest świadkiem. Widział, że gaijin uderzył mnie pierwszy. Mam wszelkie prawo się bronić.

Yamato cofnął się o krok.

– Słusznie, pozwól, żebym się pozbył gaijina. Obaj wiemy, że jest dla ciebie jak cierń w boku.

Dla podkreślenia swoich słów Kazuki wykręcił ramię Jacka odrobinę mocniej. Jack krzyknął; ból przeszył jego rękę niczym rozpalony żelazny pręt. A potem nagle minął.

To Akiko wbiła stopę w plecy Kazukiego, używając *mae-geri*, prostego, lecz skutecznego kopnięcia, którego uczyli się tego dnia podczas taijutsu. Japończyk rozpłaszczył się na podłodze.

Podniósł się i natarł na dziewczynę.

Odruchowo poderwała rękę, by skontrować atak, lecz Kazuki w ostatniej chwili się zatrzymał.

– To głupota – oznajmił, odstępując i unosząc dłonie w pokojowym geście. – Walczymy przez jakiegoś gaijina. Masamoto rozkazał, żebyśmy byli lojalni wobec samurajów ze szkoły. Nie będę z tobą walczył.

– Walczyłeś z Jackiem, a on też jest samurajem – odparła.

– Nie, nie jest. Nigdy nim nie będzie i wie o tym. Tylko popatrz.

Jack leżał na podłodze, tuląc do siebie ramię, z twarzą posiniaczoną i puchnącą w miejscu, gdzie Kazuki go uderzył. Akiko spojrzała oczyma pełnymi współczucia.

Nie chciał współczucia. Był obolały i upokorzony, lecz nie pokonany. Zależało mu na akceptacji, ale być może żądał zbyt wiele. Odwrócił się do dziewczyny plecami.

Kazuki się skłonił i spokojnie ruszył do wyjścia; tuż za nim podreptał wierny Nobu, wciąż trzymając się za żołądek. Kazuki grzbietem dłoni otarł krew z warg, a potem zwrócił się do obecnych.

– Nie chcę, żebyście wspominali senseiom o dzisiejszym wieczorze.

– Powiem Masamoto, jeśli jeszcze raz tkniesz Jacka – zagroziła Akiko.

– Nie, nie powiesz. Jeśli to zrobisz, wszystkich nas wyrzucą ze szkoły. Walki w Sali Buddy są zakazane.

– Jack jest moim przyjacielem i będę go bronić bez względu na cenę.

Jack nie mógł uwierzyć własnym uszom. Akiko publicznie zadeklarowała lojalność wobec niego. Znaczenie jej oświadczenia nie umknęło pozostałym obecnym na sali.

Pomogła mu wstać.

– Nie zostawaj przyjaciółką gaijinów, Akiko! Nie mogę obiecać, że się powstrzymam, kiedy następny raz staniesz mi na drodze – ostrzegł Kazuki.

– Zrób mu krzywdę, a wszystko wyjawię; wybór należy do ciebie.

Kazuki się zawahał.

Jack domyślił się, że Japończyk nie może lekceważyć groźby Akiko. Wyrzucenie z Niten Ichi Ryū oznaczałoby utratę twarzy na zawsze – bardzo niefortunne wydarzenie dla chłopca z cesarskiego rodu.

– Nie chcę cię widzieć zhańbionej, Akiko, więc coś ci obiecam, jeśli zapomnisz o dzisiejszym wieczorze. Nie będę więcej walczył z gaijinem w murach Niten Ichi Ryū. Zgoda?

Akiko spojrzała na Jacka, po czym skinęła na znak potwierdzenia.

– Gaijinie! – warknął Kazuki. – Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy. Nasza wojna dopiero się zaczyna.

32

Przyjęcie hanami

Piękny motyl o opalizujących błękitem skrzydłach przysiadł na różowym kwiecie wiśni. Pił słodki nektar, czerpiąc odżywcze soki i nabierając sił. Jego czułki drżały w lekkiej bryzie.

Nie wiadomo skąd, na kwiat spadł z trzaskiem żelazny drąg. Motyl zatrzepotał i odleciał, o włos unikając śmierci. Spod ziemi wynurzył się z łoskotem olbrzymi, czerwony demon i szaleńczo wymachując drągiem, próbował trafić motyla siadającego na kolejnych kwiatach.

Owad bez wysiłku unikał ciosów spadających jeden za drugim. Pot lał się po twarzy czerwonego demona, wściekłość wykrzywiła jego rysy. Gotując się ze złości, raz po raz zamierzał się na motyla, aż padł na gołą ziemię, pokonany przez własne wysiłki. Motyl, z nienaruszonymi opalizującymi błękitnymi skrzydłami, odleciał z trzepotem...

Jack zamrugał i otworzył oczy.

Pasmo dymu z kadzidła, wijąc się leniwie, unosiło się pod sufit maleńkiej sypialni. Czerwony Daruma siedział na wąskim parapecie obok drzewka bonsai. Jedyne oko lalki niegroźnie wpatrywało się w Jacka.

Chłopiec oddychał ciężko, kręciło mu się w głowie po wyrazistej wizji.

Podczas porannych medytacji regularnie osiągał trzeci stopień, czysty umysł. Pomagało mu to myśleć jasno przez resztę dnia, nigdy jednak nie doświadczył podobnego transu. Co kazało mu zobaczyć demona i motyla? Co to znaczy i czy w ogóle ma jakieś znaczenie? Doznanie wykraczało poza wszystko, czego się uczył. Będzie musiał porozmawiać z senseiem Yamadą.

Wstał i się przeciągnął. Sięgnął po niewielki dzbanek stojący pod oknem i podlał bonsai. Robił tak każdego dnia zgodnie z poleceniem Uekiyi. „Stary ogrodnik by się ucieszył – pomyślał. – Wciąż jeszcze nie udało mi się wykończyć drzewka".

Kiedy zajmował się bonsai, zauważył maleńkie różowe pączki. Takie same jak w jego wizji. Kwiaty sakury.

Oznaczały, że jest już wiosna.

Jack nie mógł uwierzyć. Trenował w Niten Ichi Ryū od ponad trzech miesięcy. W Japonii spędził ich niemal dziewięć. Od trzech lat nie widział angielskiej ziemi! Jego życie bardzo różniło się od dawnego. Nie był już dzieckiem, marzącym o przemierzaniu mórz jako pilot jak ojciec, a chłopcem trenującym, by zostać samurajskim wojownikiem!

Co rano wstawał przed świtem, żeby medytować przez pół pałeczki kadzidła. Potem wraz z innymi zjadał mdłe śniadanie

złożone z ryżu i paru warzyw w occie. Ileż by dał za angielskie jajka na bekonie!

Następnie zaczynał zajęcia przypadające na dany dzień. Dwie długie sesje, jedna rano, druga po południu. W niektóre dni było to kenjutsu i zen, w inne kyujutsu i taijutsu. Po treningu wraz z innymi uczniami udawał się do Chō-no-ma na kolację; senseie siedzieli w rzędzie przy głównym stole niczym tajemniczy bogowie wojownicy strzegący swych podopiecznych.

Oczekiwano, że po kolacji uczniowie będą ćwiczyć sami, doskonaląc zdobyte wcześniej umiejętności. „Ucz się dziś, by przeżyć jutro" brzmiała mantra, którą nieustannie wbijano im do głów.

A jednak mimo ściśle przestrzeganej rutyny i surowej dyscypliny Jack musiał przyznać, że od dawna nie czuł się tak pogodzony z sobą. Rutyna sama w sobie stanowiła pociechę. Nie był swobodnym kółkiem, wirującym bez celu i kierunku. Uczył się, jak się bronić, jak żyć zgodnie z kodeksem *bushido* i jak zostać prawdziwym samurajem.

Potrafił już silnie i precyzyjnie zadawać ciosy bokkenem oraz opanował pierwsze trzy formy ataku – „jedyne, jakich będziesz potrzebował w życiu", zapewniał sensei Hosokawa.

Umiał wypuścić strzałę, choć trafił do celu ledwie parę razy – inaczej niż Akiko, której kyujutsu przychodziło z taką łatwością, jakby urodziła się z łukiem w dłoni.

Nauczył się wykonywać kopnięcia, ciosy, bloki i rzuty. Wprawdzie znał jedynie najbardziej podstawowe techniki, ale nie był już bezsilny. Kiedy następny raz spotka się z Dokuganem Ryu,

nie będzie bezradnym, małym chłopcem, który nie zdołał ocalić ojca. Będzie samurajskim wojownikiem!

Od jego walki z Kazukim w Sali Buddy zmieniło się wiele rzeczy. Akiko, odkąd ogłosiła publicznie swoją przyjaźń, stała się jego najbliższą sojuszniczką. Yori został wiernym towarzyszem, lecz był tak zamknięty w sobie, że Jack właściwie go nie znał. Kiku odnosiła się do niego w miarę życzliwie, choć chłopiec sądził, że raczej ze względu na Akiko niż ze szczerej przyjaźni. Saburo nie opowiedział się po żadnej ze stron. Był przyjacielem wszystkich. Gawędził z każdym, kto chciał słuchać.

Yamato tymczasem odsunął się całkowicie. Siedział teraz przy innym stole – z Kazukim, Emi i Nobu. Wciąż rozmawiał z Akiko i pozostałymi, lecz ostentacyjnie ignorował Jacka. Ten zaś nie miał nic przeciwko temu.

Na plus należało zaliczyć także to, że Kazuki dotrzymał słowa. Zostawił Jacka w spokoju. Wciąż rzucał mu groźne spojrzenia i docinał, wraz ze swoimi poplecznikami przezywając „gaijinem Jackiem", lecz nie tknął go palcem. Z wyjątkiem treningów taijutsu!

To była ziemia niczyja.

Podczas sesji *kihon* i *randori*, sensei Kyuzo często udawał, że nie widzi, jak Kazuki nadużywa siły. Pewnego razu ćwiczyli *ude-uke*, bloki przedramieniem do wewnątrz, zwiększając moc każdego uderzenia, aż obaj zadawali ciosy ze wszystkich sił. Siniaki nie znikły przez ponad tydzień. Jack próbował się skarżyć na zachowanie Kazukiego, lecz sensei Kyuzo osadził go w miejscu, mówiąc: „To dla ciebie doskonała praktyka. Jeśli nie umiesz

znieść niewielkiego bólu, najwyraźniej jesteś gaijinem w zbyt wielkim stopniu, by zostać samurajem”.

Z rozmyślań wyrwał go głos Akiko.

– Jack, idziesz?

Stała w drzwiach jego pokoju w błękitnym jak niebo kimonie w motyle. Jack zamrugał. Przypominały motyla z jego wizji! Chwilę potem obok stanęła Kiku w jasnozielonym wiosennym stroju, z niewielką torebką.

– Dokąd? – zapytał.

– Na *hanami*! – zanuciła, oddalając się pośpiesznie z Kiku.

– Co to jest *hanami*? – zawołał za nią korytarzem.

– Przyjęcie połączone z oglądaniem kwiatów – wyjaśnił Saburo, który wytknął głowę zza rogu. Jack zobaczył Yoriego czekającego cicho za jego plecami.

– Przyjęcie z oglądaniem kwiatów? Brzmi absolutnie fascynująco – odparł z nieszczerym entuzjazmem, ale mimo to odstawił dzbanek i ruszył za pozostałymi. „Przynajmniej jakaś odmiana po treningach” – pomyślał.

– To rzeczywiście odmiana – westchnął Jack przeciągle z zadowoleniem, wyciągając się na trawiastym brzegu rzeki Kamogawy, osłonięty od słońca przez drzewa sakury dosłownie uginające się pod ciężarem kwiatów.

Akiko, Kiku, Yori i Saburo siedzieli obok, także rozkoszując się chwilą. Po raz pierwszy uczniów wypuszczono poza mury szkoły, więc napawali się wolnością.

– Jak ci się podoba nasze przyjęcie *hanami*? – zapytała Akiko.

– Cóż, jeśli polega ono jedynie na jedzeniu, piciu i odpoczywaniu pod wiśniami, jest najlepszym przyjęciem

hanami, w jakim brałem udział! – odpowiedział.

– Chodzi o znacznie więcej, Jack – skarciła go z dobrodusznym uśmiechem.

– Mówisz jak sensei Yamada recytujący jeden ze swoich koanów! – odparł żartobliwie i wszyscy się roześmiali.

– Ale poważnie, *hanami* jest dla nas bardzo szczególna – wyjaśniła Akiko. – Kwitnące wiśnie oznaczają początek sezonu sadzenia ryżu i wróżymy z kwiatów, czy zbiory okażą się dobre. Sądząc po tym, jak pięknie wiśnie rozkwitły, to będzie dobry rok.

– Kwiaty oznaczają także początek nowego etapu w życiu – dodała Kiku. – Składamy więc ofiary bogom żyjącym w drzewach. Widzisz tych samurajów?

– Owszem – odparł Jack, zerkając na trzech Japończyków rozłożonych pod drzewem wiśni. Przekazywali sobie niezwykle dużą ceramiczną butlę i wydawali się mocno odurzeni jej zawartością.

– Złożyli sakurze tradycyjną ofiarę z saké, a teraz spożywają ofiarę.

– Co to jest saké? – zapytał Jack.

– Wino ryżowe! – wyjaśnił Saburo radośnie. – Chcesz spróbować?

– Czemu nie – zgodził się chłopiec, choć nieco się zmieszał, łapiąc krytyczne spojrzenie Akiko.

Saburo podbiegł do pijanych samurajów i szybko wrócił z drewnianym, podobnym do pudełka kubkiem napełnionym po brzegi przejrzystym płynem. Podał go Jackowi.

Chłopiec upił łyk. Saké miała słodki, wodnisty smak, kiedy jednak ją przełknął, okazała się ostra i całkiem mocna. Zakasłał,

bo paliła w gardle.

– Jak smakowało? – dopytywał Saburo z przejęciem.

– Cóż, nie jest taka mocna jak alkohol na statku, ale jeśli nie masz nic przeciwko, wolę wodę.

Saburo obojętnie wzruszył ramionami i jednym łykiem opróżnił kubek. Poszedł go oddać samurajom, tylko po to, by wrócić z napełnionym na nowo. Tym razem zaproponował napój dziewczętom.

– Saburo, wiesz, że nie wolno nam pić saké – zbeształa go Kiku.

Nie zwrócił na nią uwagi i sam radośnie opróżnił naczynie.

Resztę dnia spędzili, odpoczywając pod drzewem i niekiedy zanurzając stopy w rzece; Saburo co jakiś czas przynosił kolejną porcję saké.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, zapalono papierowe latarnie i zawieszono je na gałęziach drzew sakury; wisiały nad ścieżkami niczym świecące owoce. Zapadający zmierzch oznaczał porę powrotu do Niten Ichi Ryū.

– A więc, Jack – spytała Akiko – co teraz sądzisz o kwiatach wiśni?

– Piękne, lecz ulotne jak życie – odpowiedział, powtarzając słowa Uekiyi.

– Nie! Ulotne jak kobiece piękno! – palnął Saburo, któremu nadmiar saké uderzył do głowy. Kiedy próbował wstać, nogi ugięły się pod nim. Kiku i Yori pomogli mu się podnieść.

– Owszem, Jack. Jak życie – przytaknęła Akiko, nie zważając na pijanego Saburo. – Naprawdę zaczynasz myśleć jak Japończyk.

Wracali ścieżką nad rzeką, a gałęzie sakury pokryte kwiatami i oblane światłem lamp tworzyły zaczarowane altany. Jack i Akiko

wysforowali się naprzód, tymczasem Kiku i Yori prowadzili między sobą pijanego Saburo.

W miękkim blasku latarni dziewczyna wydawała się jeszcze piękniejsza niż zwykle. Jack przypomniał sobie pierwszy raz, gdy ją zobaczył przy świątyni na cyplu, z białym rumakiem obok rzeźbionego kamienia. Stanowiła jedyny stały punkt oparcia od jego przybycia do Japonii – pielęgnowała go w gorączce, pomogła nauczyć się języka, przybliżała mu miejscowe zwyczaje, potem broniła przed Kazukim. Jak miał się jej odwdzięczyć za wszystko, co dla niego zrobiła?

Odwrócił się i zaczął coś mówić, lecz głos uwiązł mu w gardle, mógł więc tylko na nią patrzeć.

Przystanęła, odwzajemniając spojrzenie, a jej hebanowe oczy lśniły w półmroku.

– Ech, *gaijin* Jack! – warknął jakiś głos. – Co ty wyprawiasz?

Jack poczuł, jak krew ścina mu się w żyłach.

33

Taryu-Jiai

Twarz Kazukiego wykrzywiła się drwiąco.

– Nie słyszałeś, gaijinie? Pytałem, co robisz poza szkołą.

– Zostaw go w spokoju, Kazuki. Obiecałeś! – wmieszała się Akiko.

– Och, przyjaciółka gaijina! Nadal nie potrafisz się sam obronić, co? – drwił Kazuki. – Potrzebujesz dziewczyny, żeby walczyła za ciebie, gaijinie? Słyszeliście, chłopcy, gaijin musi mieć dziewczynę do ochrony!

Prychając z rozbawienia, obejrzał się na swoich czterech towarzyszy. Nobu rechotał, aż trząsł mu się wielki brzuch. Dwóch innych, których Jack nie znał, zaśmiało się na znak poparcia, lecz czwarty członek gangu wyglądał na zdecydowanie skrępowanego i nagle z wielkim zainteresowaniem zaczął się przyglądać swoim *tabi*. Był to Yamato.

– Cóż, Akiko cię pokonała, prawda? – rzucił Jack i jeden z chłopców zarechotał.

– Tylko dlatego, że stałem do niej plecami – burknął Kazuki. – Poza tym na twoim miejscu troszczyłbym się bardziej o własne dobro, gaijinie. Mamy rachunki do wyrównania.

– Nie! – krzyknęła Akiko. – Ostrzegałam, powiem Masamoto!

– Co mu powiesz? Że parę miesięcy temu mieliśmy małą sprzeczkę w Sali Buddy? Nie sądzę. Trochę na to za późno.

Podszedł o krok do Jacka, prowokując go do ataku.

– Zapomniałaś, Akiko. Moja obietnica dotyczyła tylko murów szkoły. Poza nimi mogę go atakować, ile zechcę. Tutaj nie rządzi Masamoto.

– No więc chodź – rzucił wyzywająco Jack. – Skończmy to wreszcie.

Miał dość docinków, szeptów za plecami, ataków podczas zajęć taijutsu oraz nieustających zastraszeń i gróźb. Czuł się, jakby ciągle żył w cieniu. Nie wyjdzie z niego, póki raz na zawsze nie rozstrzygnie sprawy z Kazukim.

– Dobrze się zastanów, gaijinie, zanim rozpoczniesz walkę, której nie możesz wygrać – zadrwił Japończyk. – Zdaje się, że nie znasz moich kuzynów? Ten tutaj to Raiden. Jego imię znaczy „Bóg Gromu".

Jeden z chłopców wystąpił naprzód i się skłonił. Kiedy się wyprostował, Jacka zaskoczyły jego rozmiary. Raiden był od niego o dobrą głowę wyższy. Ręce miał grube i umięśnione, nogi podobne do pni drzew. Jak na Japończyka był także niezwykle owłosiony. Brwi, ciemne i krzaczaste, sterczały z niskiego czoła, w wycięciu kimona widać było gęste włosy na piersi.

Jack czułby się zastraszony groźnym wyglądem chłopaka, gdyby nie oczy Raidena, umieszczone trochę zbyt blisko siebie. Wyglądał

jak mało inteligentna, przerośnięta małpa.

– A to jego brat bliźniak Toru. Zapewniam cię, nie chcesz wiedzieć, co oznacza jego imię.

„Wygląda identycznie, tylko jeszcze głupiej” – pomyślał Jack.

– Pochodzą z Hokkaido, ale nie wiesz, gdzie to jest, prawda, gaijinie? – rzucił Kazuki, znowu mu docinając. – Pozwól, że cię oświecę. To północna wyspa Japonii, a ci chłopcy pochodzą z klanu Seto, najtwardszych i najbezwzględniejszych samurajów, jakich możesz spotkać. Dlatego zapisali się do szkoły Yagyu tutaj w Kioto. Słynie z trenowania najbardziej przerażających wojowników w Japonii. Jej mecenasem jest ni mniej, ni więcej tylko wielki *daimyo* Kamakura Katsuro!

– To sprawa tylko między nami, Kazuki – przerwał Jack, mając dość prób zastraszenia. – Odeślij swoje małpy do domu!

Raiden i Toru warknęli na tę zniewagę i natarli na Jacka z jawnym zamiarem rozdarcia go na strzępy.

– Eeehhh? Ssso tu ssie zieje? – wybełkotał Saburo, wywinął się z objęć Kiku i Yoriego i stanął między Jackiem a dwoma nadciągającymi olbrzymami. – Sssostawsie mojego przyjasiela w spokoju... Mamy przy... hep... jęcie *ha-ha-hanami*, a was nikt nie ssapraszał.

Zachwiał się lekko jak lalka Daruma, a potem zatoczył się naprzód, uderzając głową w pierś Raidena. Ten odepchnął go, jakby przeganiał muchę.

– Auu! – jęknął odrzucony siłą ciosu Saburo, a z nosa pociekła mu krew. – Ty tłusty niesssdaro! To boli!

Kiku i Yori rzucili mu się na pomoc, lecz Saburo odepchnął ich i się zamachnął, chcąc uderzyć napastnika. Raiden uniósł wielką

jak bochen pięść i wycelował ją w twarz chłopca.

– *Oi!* Znajdź sobie kogoś swojej wielkości! – zawołał Jack, wykonując *yoko-geri*, boczne kopnięcie, i trafiając go piętą w żebra.

Raiden chrząknął, zatoczył się w bok, a jego pięść przeleciała przed zdumioną twarzą Saburo i trafiła w pień pobliskiego drzewa sakury. Zawył z bólu. Wściekły, zaatakował Jacka serią dzikich zamaszystych ciosów.

Chłopiec cofnął się, osłaniając głowę.

– Uważaj! – krzyknęła Akiko.

Było jednak za późno. Toru zbliżył się od tyłu i chwycił go w niedźwiedzi uścisk, przygważdżając mu ręce do boków.

– Co teraz zrobisz, gaijinie Jack? – zadrwił Kazuki, przyglądając się z wielką radością. Za jego plecami Yamato skrył się w cień, próbując uniknąć rozpoczynającej się bójki.

Uścisk Toru stał się silniejszy i powietrze uszło z płuc Jacka. Poczuł, że traci przytomność, lecz naraz nacisk zelżał, a wielki brutal jęknął boleśnie.

Akiko trafiła go w bok *ushiro-geri*, kopnięciem do tyłu z obrotu, najsilniejszym w taijutsu. Każdy normalny człowiek ugiąłby się pod takim bezpośrednim ciosem, lecz Toru tylko lekko poluźnił uchwyt i wściekły spojrzał na dziewczynę.

Dodała więc *mawashi-geri*, kopnięcie po łuku. Toru, tym razem przygotowany na atak, obrócił się i ustawił Jacka na jej drodze. Akiko się zachwiała, rozpaczliwie starając się wyminąć przyjaciela. Toru chwycił ją za uniesioną nogę, drugą ręką wciąż trzymając Jacka.

Mając kontrolę nad obojgiem, przesunął w górę lewą rękę, zacisnął chwyt na szyi Jacka, po czym zaczął go dusić.

– Przestańcie! – krzyknęła zrozpaczona Kiku; zamarły z przerażenia Yori stał obok z szeroko otwartymi oczyma. – Yamato, pomóż im!

Lecz Yamato, nie zwracając uwagi na błagania, odsunął się dalej od starcia. Tymczasem Kazuki i Nobu rozkoszowali się widowiskiem, zachęcając kuzynów i docinając Jackowi.

– Niczego się nie nauczyłeś, gaijinie? Każdy prawdziwy samuraj dałby sobie radę w takiej sytuacji – drwił Kazuki.

– Śmiało, Toru, złam go na pół! – krzyczał Nobu.

Toru mocniej zacisnął dłonie na gardle Jacka i chłopiec zaczął się dusić. Lecz to nie był jego największy kłopot. Z uniesionymi pięściami, wprost na niego sunął Raiden.

Jack, wciąż unieruchomiony, wiedząc, że ma do obrony tylko nogi, zacisnął dłonie na ramieniu Toru i odsunął je na tyle, by złapać oddech. Potem, używając go jako podparcia, odbił się od ziemi, obiema nogami wykonując równoczesne *mae-geri*, kopnięcie do przodu. Ruch był zupełnie nieoczekiwany i Raiden – o ułamek sekundy zbyt wolny – dostał w twarz. Odrzuciło go do tyłu; uniósł ręce do spłaszczonej, zakrwawionej twarzy.

Saburo dostrzegł szansę dla siebie i uderzył stopą, celując w tył kolan Raidena, który zachwiał się i przewrócił na sakurę. Drzewo zadrżało. Siła uderzenia strąciła papierową latarnię, która spadła wprost na głowę Toru.

Delikatna konstrukcja pękła i znajdująca się wewnątrz świeczka spadła na tłuste włosy chłopaka, które natychmiast zajęły się ogniem. Toru szybciutko wypuścił Akiko oraz Jacka

i zaczął skakać wokół niczym tańczący niedźwiedź. Jak szalony klepał się rękami po płonącej głowie, próbując ugasić płomień.

Saburo, Kiku i Yori wybuchnęli niepohamowanym śmiechem na widok tańczącego Toru, lecz ich radość nie trwała długo.

Wśród panującego chaosu Raiden się pozbierał, wstał, chwycił Saburo za włosy i się zamachnął. Rozwścieczony Toru, z głową dymiącą jak komin, zaatakował z kolei Akiko i Jacka.

Zabawa się skończyła – obaj bliźniacy Seto postanowili zakończyć walkę w bliższym starciu.

– *Yame!* – zagrzmiał jakiś głos mający w sobie tak niepodważalny autorytet, że nawet przechodząca grupka pijanych samurajów zamarła w miejscu.

– Co tu się dzieje, w imię Buddy?! – spytał surowo głos.

Z ciemności wynurzył się Masamoto; jego pokrytą szramami twarz wykrzywił gniew. Wycofujący się Yamato pobladł i zawstydzony pochylił głowę, zaś Kazuki i Nobu pokornie osunęli się na kolana.

– Zostawcie moich uczniów w spokoju! – rozkazał Masamoto i z szybkością błyskawicy zadał dłonią cios *nukiteuchi* w szyję Raidena.

„Cios dłoni-dzidy" trafił w ukryty punkt na karku chłopaka; natychmiast ugięły się pod nim nogi. Padł na ziemię jak marionetka, której przecięto sznurki.

Saburo, pocierając głowę, na której brakowało wielkiej garści włosów, przemknął ku Kiku i Yoriemu. Potem wszyscy skłonili się z szacunkiem właścicielowi szkoły.

– Masamoto! Zostaw moich uczniów! – rozkazał inny głos zza jego pleców.

Ścieżką nadchodził samuraj w błękitno-żółto-złotym kimonie. Kiedy znalazł się bliżej, jego twarz oświetlił blask latarni. Jack rozpoznał go natychmiast. Był to Kamakura Katsuro, *daimyo* ze zdobionego laką palankinu na Drodze Tokaido.

Choć nieco niższy od Masamoto, starał się patrzyć na niego z góry. Miał okrutną twarz o ostrych rysach, z zadartym, cienkim jak sznurek wąsem nad zaciśniętymi ustami. Przyglądał się całej scenie w aroganckiej pozie, pogardliwym spojrzeniem mierząc kolejno uczniów Masamoto, niczym szkodniki, które należy wytępić. Roztaczał aurę pychy i przekonania o własnej racji. Jack przypomniał sobie starego sprzedawcę herbaty, którego ścięto tylko dlatego, że się w porę nie skłonił.

– Panuj lepiej nad uczniami albo ja się tym zajmę – odparł surowo Masamoto. – Wygląda na to, że masz problem z dyscypliną w swojej szkole.

– My nie mamy kłopotów z dyscypliną – odparł Kamakura wyniośle. – Ale, jak się zdaje, wy macie problem z wyszkoleniem. Nigdy nie widziałem równie marnej techniki.

– Ich technika nie pozostawiała nic do życzenia! Akiko zaprezentowała idealne *ushiro-geri* i chciałbym zobaczyć któregoś z twoich uczniów wykonującego *mae-geri*, kiedy ktoś go dusi!

– Masamoto, proszę. Jesteśmy starymi towarzyszami broni – odparł Kamakura pojednawczo, lecz w jego tonie czaiła się przebiegłość. – Takich spraw nie rozwiązuje się w publicznym parku. Rozstrzygnijmy to zgodnie z tradycją. Proponuję Taryu-Jiai między naszymi szkołami.

– Taryu-Jiai? – powtórzył Masamoto zaskoczony.

– Ta trójka – Kamakura lekceważącym gestem wskazał Jacka, Akiko i Saburo – przeciw Raidenowi, Toru i jednej z moich dziewcząt samurajów; każda pokona twoją specjalistkę od *ushiro-geri*!

– Jakie dyscypliny proponujesz? – zapytał Masamoto, ignorując obelgę wobec Akiko i zapalając się do pomysłu.

– Kenjutsu, kyujutsu i taijutsu.

– Zgoda – odparł Masamoto bez śladu zaniepokojenia.

Jack nie miał pojęcia, o co chodzi, lecz z faktu, że twarz Akiko pobladła, a Saburo wytrzeźwiał na samą wzmiankę o Taryu-Jiai, wywnioskował, iż to mało pociągająca perspektywa.

– Jakieś życzenia co do terminu naszych skromnych zawodów? – spytał Kamakura.

– Może dzień przed Świętem Gion? – odparł swobodnie Masamoto.

– Ale to za trzy miesiące! – zauważył Kamakura z niedowierzaniem.

– Sądząc po występach twoich uczniów dzisiejszego wieczoru, będą potrzebowali dodatkowych treningów. Chcemy, żeby to była prawdziwa rywalizacja, nieprawdaż? – odparł Masamoto i skłonił się z szerokim uśmiechem. – Poza tym, lubię świętować swoje zwycięstwa porządną uroczystością.

34

Tajemnica Yamady

– Czemu nie broniłeś ich honoru?! – zagrzmiał Masamoto.

Odpowiedź była stłumiona i prawie niesłyszalna.

– Widziałem, jak się wycofałeś! Tenno nigdy by tak nie postąpił – ciągnął, a jego gniew płonął niczym ogień. – Czemu nie pomogłeś Jackowi-kunowi? Popraw mnie, jeśli się mylę, ale zawdzięczasz mu życie. Ocalił cię. Jest samurajem w większym stopniu, niż ty byłeś kiedykolwiek.

Rozległ się szloch i wymamrotane cicho przeprosiny.

– Gdzie twoja odwaga, twoje męstwo, twój honor? To ty powinieneś brać udział w Taryu-Jiai, broniąc imienia mojej szkoły. Nie Jack-kun!

Głos Masamoto się załamał, dało się słyszeć trzask i stukot czarki spadającej ze stołu.

– Ściągnąłeś hańbę na nasz ród i siebie samego! Pomyśl, co to znaczy być Masamoto, i wróć, gdy znajdziesz odpowiedź! A teraz się wynoś!

Shoji się odsunęło, a Yamato wyszedł z twarzą czerwoną i mokrą od upokarzających łez. Unikał zaskoczonych spojrzeń Jacka, Akiko i Saburo klęczących przed Hō-oh-no-ma, Sali Feniksa. Była to osobista sala treningowa Masamoto, którą odwiedzali jedynie najzdolniejsi uczniowie zgłębiający technikę Dwojga Niebios.

– Yamato, przepraszam... – zaczął Jack, chcąc mu pomóc w jakiś sposób.

Lecz Japończyk zamknął mu usta wściekłym spojrzeniem i odszedł, nie oglądając się za siebie.

– To nie twoja wina, Jack – powiedziała cicho Akiko.

– Moja. Gdybym tu nie przypłynął, nigdy by się nie znalazł w takim...

– Wejść! – zagrzmiał głos Masamoto.

Spojrzeli na siebie przerażeni. Po bójce w dzień *hanami* Masamoto odprowadził ich do szkoły i kazał iść prosto do łóżek. Prawie nie zmrużyli oka, bo samuraj chciał ich wszystkich widzieć o świtaniu, choć Kiku i Yori zostali usprawiedliwieni jako niewinni świadkowie. Akiko wyjaśniła Jackowi, że wezwanie do Sali Feniksa przed śniadaniem może oznaczać tylko jedno: zostaną ukarani. Nie wiedzieli tylko, jak surowo.

– *Seiza!* – rozkazał, kiedy weszli i skłonili się najniżej jak mogli.

Siedział na podwyższeniu, mając obok siebie mały stolik z czarnej laki. Służąca sprzątała rozlaną herbatę, druga przygotowywała imbryk świeżej senchy.

Za plecami samuraja, namalowana żywymi barwami na jedwabnym parawanie, widniała podobizna płonącego feniksa, ze skrzydłami ogarniętymi ogniem i dziobem skierowanym w niebo.

Masamoto srożył się jak wulkan, jego purpurowo-woskowa szrama przypominała płynną lawę. Zaczekał, aż służące wyjdą, po czym przemówił. Jack, Akiko i Saburo zadrżeli z głowami tuż przy ziemi.

– Usiąść prosto!

Przyjrzał się uważnie każdemu z nich, chyba oceniając, jak ciężką karę będą zdolni unieść. Odetchnął głęboko; Jackowi zaschło w ustach z przerażenia.

– Doskonale! – odezwał się Masamoto i blady uśmiech rozjaśnił jego gniewne rysy. – Jestem pod wielkim wrażeniem tego, jak sobie poradziliście ubiegłego wieczoru.

Popatrzyli po sobie, nic nie rozumiejąc. A więc nie zostaną ukarani?

– Saburo-kun, wybaczam ci twój nie całkiem trzeźwy stan. Lecz tylko dlatego, że okazałeś lojalność wobec swoich kolegów samurajów, zaś twój roztropny atak na tego typa Raidena jest dla mnie dowodem, iż nawet pijany potrafisz postępować jak wojownik.

Chłopiec skłonił się nisko, niezdolny ukryć ulgi, że mu wybaczono.

– Akiko-chan, jesteś prawdziwą damą Niten Ichi Ryū. Tylko najdzielniejsi wojownicy potrafią stawić czoło niebezpieczeństwu – oznajmił, promieniejąc ogromną dumą. – Napastnik atakujący Jacka-kuna był dwa razy większy od ciebie, ale się nie zawahałaś. To niefortunne, że z powodu swojej krzepy nie został powalony twoim *mawashi-geri*, ale nie martw się, dzisiaj rano wstanie mocno obolały.

Dziewczyna ukłoniła się i cicho odetchnęła, gdy ją także uwolniono z haczyka.

– A teraz ty, Jack-kun – odezwał się Masamoto i upił łyk senchy.

Jack wiedział, że ponieważ to on był przyczyną awantury, nie wymknie się równie łatwo. Niewątpliwie odczuje konsekwencje gniewu Masamoto.

Chwila sądu się przeciągała, Masamoto bez pośpiechu rozkoszował się herbatą. Żołądek Jacka zwinął się w żelazny węzeł.

– Za każdym razem przewyższasz moje oczekiwania – odezwał się w końcu samuraj. – W niezwykłym stopniu rozwinąłeś umiejętność walki. Jesteś lojalny wobec przyjaciół. I masz odwagę lwa. Jesteś pewien, że nie urodziłeś się samurajem?

– Nie, Masamoto-sama – odparł chłopiec, czując ulgę z powodu ułaskawienia.

Akiko skłoniła się i zapytała:

– Przepraszam, Masamoto-sama?

– Tak, Akiko-chan?

– Czy to znaczy, że Masamoto-sama widział całe zajście?

– Owszem.

– A więc dlaczego nie zapobiegł walce? – przerwał Jack, zaskoczony tą wiadomością.

– Wyglądało, że radzicie sobie całkiem nieźle – wyjaśnił samuraj i napił się senchy. – Poza tym chciałem zobaczyć, jak się zachowacie w sytuacji zagrożenia. Ostateczną miarą samuraja jest nie to, jak walczy w swoim bezpiecznym *dojo*, lecz jak się sprawuje w chwilach wyzwania i w obliczu grożącego mu

niebezpieczeństwa. Muszę przyznać, że twoje *mae-geri,* choć nieporządne, było pomysłowe i okazało się skuteczne.

Jack, Akiko i Saburo popatrzyli na siebie wstrząśnięci. Masamoto widział całą sytuację jak sprawdzian ze sztuk walki, podczas gdy dla nich była to kwestia życia i śmierci.

– A teraz jeśli chodzi o Taryu-Jiai. Z pewnością Akiko-chan wyjaśniła wam, co to takiego?

W drodze powrotnej do szkoły dziewczyna, mocno zaniepokojona pomysłem, drżącym głosem wytłumaczyła Jackowi: „Taryu-Jiai to zawody między różnymi szkołami sztuk walki. Uczestnicy walczą w wybranych dyscyplinach, żeby rozstrzygnąć, która szkoła jest najlepsza, ale chodzi o znacznie więcej niż tylko współzawodnictwo. Taryu-Jiai to kwestia honoru. Zwycięska szkoła zostaje uznana za najlepszą w Kioto, a jej założyciel otrzymuje rzadki przywilej audiencji u cesarza. Nie do pomyślenia, by Masamoto przegrał".

Jack skinął głową Masamoto na znak, że wie, o co chodzi.

– Dobrze – oznajmił samuraj, odstawiając czarkę. – Rozumiecie zatem ważność tego wydarzenia i dlaczego musimy zwyciężyć.

– Ale jak zdołamy to zrobić?! – wybuchnął Saburo. – Przecież Masamoto-sama powiedział, oni są dwa razy więksi od nas i zabiliby nas, gdybyście nie...

– Dość! – rzucił samuraj, przerywając jego protesty. – Klęska nie wchodzi w grę! Wymażcie wszelką myśl o przegranej. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Poza tym, im większa przeszkoda, tym większa chwała z jej pokonania[VII].

– *Hai*, Masamoto-sama – przytaknęli, pełni wątpliwości.

– Mamy szczęście, że zdołałem wynegocjować dla was dość czasu, byście doszlifowali swoje umiejętności. To prawda, przeciwnicy są od was więksi. Lecz im są więksi, tym większy będzie ich upadek, a przy skutecznej technice muszą upaść.

„Akiko miała rację – pomyślał Jack. – Porażka to pojęcie nieznane Masamoto. I tego samego oczekuje od swoich uczniów".

– Ustaliłem z waszymi senseiami, że każdego wieczoru aż do dnia zawodów zorganizują wam dodatkowe zajęcia. Będziecie musieli trenować dwa razy pilniej i dwa razy dłużej od pozostałych.

– Ale... – zaprotestował Saburo.

– Dość! Będziecie postępować jak samuraje i odniesiecie zwycięstwo.

Następnie ich pożegnał. Skłonili się i opuścili salę.

Na zewnątrz czekali na klęczkach Kazuki i Nobu. Nobu wydawał się blady z udręki, a Kazukiemu tym razem zabrakło tupetu, by docinać Jackowi. Zbyt go zaprzątało własne trudne położenie, by myśleć o przeciwniku.

Jack, Akiko i Saburo w milczeniu udali się do Chō-no-ma na śniadanie, za bardzo oszołomieni czekającą ich pracą, by się odezwać choć słowem.

Do końca dnia całą trójkę oblegali inni uczniowie, dowiadując się, czy rzeczywiście będą walczyć w Taryu-Jiai o honor szkoły. Plotka rozniosła się lotem błyskawicy, a teraz – gdy się potwierdziła – każdy chciał być ich przyjacielem w nadziei poprawienia przez to własnej pozycji.

Jack naraz został zaakceptowany jako samuraj. Nikt nie nazywał go już gaijinem ani nie szeptał za jego plecami, kiedy

przechodził. Wszyscy słyszeli, że walczył mężnie przeciw bliźniakom Seto z Hokkaido i wszyscy chcieli mieć swój udział w tym odważnym czynie.

Nim przyszła pora kolacji, walka w noc *hanami* obrosła legendą. Bliźniacy Seto stali się olbrzymami, dwa razy większymi od wszystkich, uzbrojonymi w kije. Akiko śmigała w powietrzu, wymierzając na wszystkie strony kopnięcia nożycowe, półksiężycowe i tnące. Jack okazał się samurajem umiejącym walczyć bez oddychania. A Saburo został pijanym wojownikiem, który pokonał Raidena, Boga Gromu, z zamkniętymi oczyma.

Jack podejrzewał, że wiele z tych przesadzonych historii rozpowszechnił gadatliwy Saburo. Chłopaka nie męczyło powtarzanie opowieści, a uwaga, z jaką go słuchano, wbijała go w dumę. Wyraźnie dawał się ponosić brawurze. Akiko i Jack jednak wykazywali większą powściągliwość, niespokojni, co przyniosą najbliższe miesiące.

Po kolacji udali się do Sali Buddy na pierwszą lekcję z senseiem Yamadą przed Taryu-Jiai. Kiedy weszli na dziedziniec, zobaczyli Kazukiego i Nobu zmierzających w ich stronę. Ścieżki młodych się przecięły, lecz Kazuki i Nobu przekonująco udawali, że ich nie widzą.

– Dokąd oni idą? – zapytał Jack, zaskoczony, iż Kazuki nie nazwał go jak zwykle „gaijinem Jackiem”.

– Do Butoku-den – wyjaśniła Akiko.

– Co takiego? Też tam trenują?

– Nie! – zaśmiał się Saburo. – Nie słyszałeś? Masamoto ukarał ich za zhańbienie szkoły. Kazał im umyć całą salę, od podłogi po sufit.

– Naprawdę? To im zajmie wiele dni! – zauważył Jack, nie mogąc powstrzymać radosnego uśmiechu.

– Z pewnością krócej niż wyszorowanie wszystkich cegieł na dziedzińcu – odparł Saburo z równą radością. – A potem mają zagrabić żwir w Południowym Ogrodzie Zen, ale używając jedynie swoich *hashi*! To potrwa całe tygodnie!

„Dzięki temu Kazuki nie będzie mi wchodził w drogę" – pomyślał Jack z ulgą. Biorąc pod uwagę najświeższe wydarzenia, docinki Japończyka były ostatnim, czego potrzebował.

Wspięli się po stopniach i weszli do Sali Buddy. Sensei Yamada siedział już na wyłożonym poduszkami podwyższeniu z płonącym kadzidłem; był otoczony świecami.

– Wejdźcie. Wejdźcie. *Seiza!* – przywitał ich głosem, który odbił się echem w rozległej pustej sali.

Jack, Akiko i Saburo zajęli miejsca na trzech poduszkach leżących u stóp nauczyciela.

– A więc to wy jesteście ową trójką potężnych wojowników? – zapytał retorycznie z szelmowskim błyskiem w oczach. – A mnie przypadł zaszczyt przygotowania waszych umysłów do wielkiej bitwy?

Zapalił kolejną pałeczkę kadzidła, mieszankę cedru i czerwonej żywicy nazywanej krwią smoka. Uzyskiwana z palm ratanowych, miała ciężki, drzewny aromat; Jackowi aż zakręciło się w głowie.

Yamada przymknął oczy i zaczął mruczeć do siebie, odpływając w kolejny trans. Wszyscy już do tego przywykli, więc Jack, Akiko i Saburo także pogrążyli się w medytacji.

– Czego się boisz, Jack-kun? – zapytał sensei po kilku minutach, nie przerywając transu.

– Emm – wymamrotał chłopiec, bo nieoczekiwane pytanie przerwało mu medytację, a właśnie osiągnął piąty stopień, wiedzę, kiedy widzi się prawdziwą naturę rzeczy.

– Śmiało. Śmiało. Opowiedz dokładnie, co widzisz. Czego się boisz?

Głos senseia wibrował Jackowi w głowie, kadzidło wyostrzyło mu zmysły i z wirującego mroku w jego umyśle wynurzyły się obrazy, wypłynęły twarze, nadciągnęły koszmary.

– Utonięcia... zawsze... bałem się utonąć... zostać wciągniętym... na dno oceanu – powiedział, zacinając się, jakby chciał odepchnąć własne słowa niczym zły sen.

– Dobrze. Dobrze. Co jeszcze widzisz?

– Moją matkę... boję się... Opuszcza mnie... umiera... samotnie. – Jack jęknął, potem wzdrygnął się w transie. – Ginsel... widzę Ginsela... z nożem w plecach...

Potem w ciemnościach jego umysłu z zielonej mgły uformowało się oko.

– Zielone oko... Teraz widzę zielone oko... jak oko smoka. Oko Dokugana Ryu... unoszące się nad moim ojcem... nie mogę pomóc... on umiera – wyjąkał chłopiec i gwałtownie otworzył oczy, by uciec przed prześladującym go obrazem. – Śmierć... boję się... śmierci!

– Jack-kun, nie ma potrzeby się jej obawiać – odparł spokojnie Yamada, otwierając oczy i tak głęboko wciągając Jacka w ich głębię, że chłopiec pomyślał, iż utonie.

– Śmierć jest wszechstronniejsza od życia – ciągnął nauczyciel, a jego głos wibrował w uszach Jacka niczym ciepły pomruk. –

Każdy umiera, lecz nie każdy żyje. Twoja matka. Ginsel. Twój ojciec. Pozwól im odejść.

– Ja... nie rozumiem – wybąkał chłopiec, przytłoczony wielkością słów senseia. Próbował stłumić szloch rozpaczy, bojąc się, by pozostali uczniowie nie uznali go za słabego.

– Śmierć nie powinna być twoją największą obawą. Największy lęk budzi podjęcie ryzyka, by żyć naprawdę. Najważniejsze jest to, jak żyjesz, Jack-kun, nawet w obliczu śmierci – wyjaśnił Yamada, a w jego oczach lśniła mądrość. – To jest najważniejsze. Masamoto-sama powiedział mi, że twój ojciec żył i zginął, broniąc ciebie. Nie ma szlachetniejszej śmierci. Nie musisz się o niego lękać, bo żył i wciąż żyje w tobie.

Kiedy słowa senseia Yamady rozbrzmiały w myślach Jacka, łzy popłynęły chłopcu po policzkach. Samotność, ból, cierpienie i smutek dręczące go od miesięcy przerwały tamy niczym rzeka. Nie dbał już, czy Akiko i Saburo słyszą jego płacz.

Stopniowo się uspokoił.

Otarł oczy i odkrył, że czuje się lżejszy, spokojniejszy i bardziej odprężony, jakby zdjęto mu z barków niewidzialny ciężar i otulono wielkim pledem spokoju.

Akiko i Saburo, wyrwani z medytacji szlochem Jacka, przyglądali mu się z milczącym współczuciem. Sensei Yamada pochylił się naprzód z wyrazem pogodnego triumfu na twarzy i zwrócił do wszystkich trojga.

– Nie wiem, jak pokonać innych, wiem tylko, jak zwyciężyć siebie – szepnął tak cicho, że przysunęli się bliżej. – Prawdziwymi i najgroźniejszymi przeciwnikami, jakim musimy stawić czoło w życiu są lęk, gniew, niepewność, wątpliwości i rozpacz. Jeśli

pokonamy tych wrogów, którzy atakują nas od wewnątrz, zdołamy osiągnąć prawdziwe zwycięstwo nad każdym, kto naciera na nas z zewnątrz.

Przyjrzał się im po kolei, upewniając się, że zrozumieli.

– Pokonajcie swoje wewnętrzne lęki, a pokonacie cały świat. To wasza lekcja na dzisiaj.

Skłonił się lekko i pozwolił im odejść. Akiko i Saburo odpowiedzieli ukłonem i ruszyli w stronę wyjścia, lecz Jack dalej siedział na swoim miejscu.

– Muszę o coś zapytać senseia Yamadę – wyjaśnił w odpowiedzi na ich zaniepokojone spojrzenia. – Zaraz do was dołączę.

– Zaczekamy na schodach – powiedziała Akiko i wyprowadziła Saburo.

– Tak, Jack-kun – odezwał się sensei Yamada. – Coś cię niepokoi?

– Cóż... wczoraj rano miałem...

– Wizję? – dokończył nauczyciel.

– Tak. Skąd sensei wie?

– Często się zdarzają mniej więcej w tym okresie. Umysł, raz uwolniony, okazuje się potężniejszy, niż można sobie wyobrazić. Co zobaczyłeś?

Jack opisał swój sen o czerwonym demonie wściekle atakującym motyla.

– Istnieje wiele sposobów interpretacji takich obrazów – oznajmił sensei po krótkim namyśle. – Jego prawdziwe znaczenie może się kryć pod wieloma zasłonami w twoim umyśle i tylko ty będziesz zdolny je odsunąć. Musisz znaleźć klucz otwierający tajemnicę.

Jack poczuł się głęboko rozczarowany. Liczył, że stary mnich będzie mu mógł podać odpowiedź, lecz Yamada mówił niejasno jak zawsze.

– Może kluczem jest *chō-geri* – mruknął sensei bardziej do siebie niż do chłopca.

– *Chō-geri*? – zainteresował się chłopiec, nagle pełen nadziei.

– Tak, *chō-geri*. Niekiedy droga do zrozumienia umysłu wiedzie przez ciało. W twojej wizji występował motyl. Jego ruch pozwolił mu uciec przed demonem. Może *chō-geri* dostarczy ci kolejnego objawienia.

– Gdzie więc znajdę to *chō-geri*?

– Nie chodzi o to „gdzie", Jack-kun, ale „jak" je znaleźć. *Chō-geri* to starożytna chińska technika sztuk walki, o której pamięć zatarła się w pomroce dziejów. Nazywano ją kopnięciem motyla, bo to kopnięcie w powietrzu, podczas którego prostuje się wszystkie kończyny, co sprawia, że stosujący ją przypomina motyla w locie. Jest to bardzo zaawansowana technika, zdolna przełamać każdy atak. Plotki głoszą, iż nie można się przed nią obronić.

– Po co więc sensei mówi mi o kluczu, skoro nikt go nie zna? – spytał Jack, zirytowany nieustannymi zagadkami.

– Nie powiedziałem, że nikt go nie zna – odparł Yamada, po czym długą chwilę przyglądał się chłopcu. Jack poczuł się zdecydowanie nieprzyjemnie, jakby sensei jakimś sposobem zaglądał mu w duszę.

– Mógłbym cię jej nauczyć – zaproponował na koniec. – Choć może znacznie przekraczać twoje umiejętności.

– A... ale... – wyjąkał Jack z niedowierzaniem. – Przepraszam, jeśli to zabrzmi nieuprzejmie, czy sensei nie jest za stary, by trenować sztuki walki?

– O, ślepa młodości – westchnął Yamada, z pomocą laski podnosząc się z miejsca.

Chłopiec już miał pokornie przeprosić, kiedy sensei bez ostrzeżenia wypuścił laskę i wyskoczył w powietrze.

Tułów starca skręcił się, jego ręce zatoczyły łuki, zaś obie nogi wystrzeliły na boki, uderzając wysoko nad głową Jacka. Yamada okręcił się w powietrzu, po czym lekko wylądował na swoim podwyższeniu.

Jack siedział z otwartymi ustami, sensei tymczasem nonszalancko poprawił kimono, sięgnął po laskę i przygotował się do wyjścia.

– Jak, na miłość boską, sensei to zrobił? Jak sensei potrafił? – wyjąkał chłopiec, osłupiały pokazem niepojętej zręczności starca.

– Nigdy nie sądź miecza po *saya*. Jestem mnichem, Jack-kun. Kim jednak jestem? – rzucił tajemniczo, zdmuchnął świece i poszurał w ciemność.

Smugi kadzidlanego dymu unosiły się spiralą pod sufit niczym duchy; mnich zniknął.

Jack wyszedł z Sali Buddy oszołomiony, zdumiony i zakłopotany widokiem starego mnicha, który uniósł się w powietrze z wdziękiem motyla, a potem zniknął, pozostawiając po sobie zagadkę.

Znalazł Akiko i Saburo siedzących na schodach. Osunął się na stopień obok nich.

– Dobrze się czujesz? – zapytała dziewczyna, wyraźnie zaniepokojona, czy lekcja nie okazała się zbyt wielkim obciążeniem.

– W porządku. Ale nie uwierzycie, co właśnie widziałem... – odparł i opowiedział im o niesamowitych umiejętnościach senseia Yamady.

– W imię Buddy, Jack! Nawet ja potrafię to rozgryźć – powiedział zdumiony Saburo. – On jest soheiem!

– Soheiem? Sądziłem, że wszyscy mnisi-wojownicy zostali wymordowani przez Nobunagę?

– Najwyraźniej nie wszyscy – odparł Saburo, patrząc z szacunkiem na Salę Buddy. – Założę się, że sensei Yamada potrafi uśmiercić przeciwnika, używając jedynie swego *ki*!

– Idzie Kiku – zauważył Jack, widząc, jak drobna dziewczyna wynurza się z Sali Lwów i biegnie przez dziedziniec w ich stronę.

Wspięła się szybko po kamiennych stopniach.

– O co chodzi? – spytała Akiko, zaniepokojona wyraźnym pośpiechem przyjaciółki.

– Yamato uciekł!

35

Podmiana

– Jack-kun! Jack-kun! Jack-kun!

Jack zamrugał w jaskrawym blasku letniego słońca. „Znowu będzie upał” – pomyślał, kiedy okrzyki zebranych uczniów wywołały go z chłodnego cienia Sali Lwów na rozpalony dziedziniec.

Ostatnie trzy miesiące były dla niego, Akiko i Saburo okresem wyczerpującego, bezwzględnego treningu. W nawale nauki Yamato, którego nieobecność wszyscy początkowo boleśnie odczuwali, został niemal zapomniany. Jack stracił rachubę „cięć” bokkenem ćwiczonych podczas kenjutsu oraz strzał wypuszczanych do celu, zgubionych i złamanych w czasie kyujutsu; nie miał na ciele ani jednego miejsca, które nie zostałoby posiniaczone przy taijutsu.

Na dodatek musiał znaleźć czas na tajne treningi z senseiem Yamadą, na których próbował się nauczyć *chō-geri* i odkryć znaczenie swojej wizji. Lecz zawiłości skomplikowanej techniki wciąż mu umykały. Robił wszystko, jak kazał Yamada, jednak po

prostu nie był wystarczająco dobry. W takim tempie nauki opanowanie *chō-geri* zajęłoby mu lata.

– Nigdy się tego nie nauczę – mruknął zrozpaczony, kiedy zaledwie na tydzień przed Taryu-Jiai piąty raz wylądował na plecach.

– W cokolwiek wierzysz, to się stanie, Jack-kun – odparł rzeczowo sensei. – Nie technikę musisz opanować, lecz samego siebie.

Tyle tylko oferował na zachętę. Jack poczuł się zirytowany bardziej niż zwykle mętnymi naukami. Czy stary mnich nie widzi, że technika przekracza jego umiejętności? A mimo to żądał, by chłopiec ćwiczył *chō-geri* każdego wieczoru, aż ciało bolało z wysiłku.

Stojąc na rozprażonym dziedzińcu i otoczony przez życzliwy tłum, Jack miał tylko nadzieję, że cały ten ból i wysiłek przyniosą skutek. Tak czy inaczej, teraz było już za późno zaprzątać tym sobie głowę.

Nadszedł dzień Taryu-Jiai.

– Jack-kun! Jack-kun! Jack-kun!

Okrzyki rozbrzmiewały mu w uszach, kiedy zmierzał w tłumie przez dziedziniec w stronę Południowego Ogrodu Zen. Akiko i Saburo już tam byli, czekali na niego przy jednym z wielkich kamieni. Masamoto i Kamakura siedzieli na ocienionym podwyższeniu w północnym krańcu ogrodu. U boku mieli senseiów ze swoich szkół w ceremonialnych kimonach. Uczniowie zebrali się po obu stronach ogrodu w równych, zdyscyplinowanych szeregach, Niten Ichi Ryū od wschodu, Yagyu Ryū od zachodu.

Serce waliło Jackowi w piersi.

– Samuraje z Niten Ichi Ryū. Pozdrawiamy was! – krzyknął łysy urzędnik w prostym białym kimonie.

Od strony tłumu dobiegły ogłuszające owacje i Jack, Akiko oraz Saburo odruchowo przysunęli się do siebie, szukając oparcia w grupie.

Kiedy okrzyki ucichły, Masamoto i Kamakura zaczęli pogawędkę, lecz powierzchowna uprzejmość nie potrafiła zamaskować głębokiej niechęci między dwoma samurajami. Masamoto był szczególnie posępny. Ucieczka syna postarzyła go bardziej niż wszelkie bitewne blizny. Wstyd z powodu dezercji Yamato był niczym rana, która miała się nigdy nie zagoić.

– Samuraje z Yagyu Ryū. Pozdrawiamy was! – krzyknął urzędnik.

Uczniowie z zachodniej strony ogrodu zaczęli wiwatować i wznieśli swój okrzyk bojowy: „Yagyu! Yagyu! Yagyu!".

Do ogrodu wkroczyła monstrualna postać Raidena; chłopak zajął miejsce przy stojącym naprzeciw kamieniu. Jack już zapomniał, jaki jego przeciwnik jest potężny. Jeśli podczas wiosennego *hanami* Raiden był podobny do przerośniętej małpy, dziś przypominał bawoła, brutalnego i przerażającego. Taryu-Jiai nie będą zawodami. To będzie rzeź.

Za jego plecami pojawiła się szczupła dziewczyna o kruczoczarnych włosach. Poruszała się szybko, starannymi ruchami, jakby każdy krok stanowił element *kata*. Jej oczy przypominały ostre czarne diamenty, a usta o cienkich wargach czerwoną ranę w upudrowanej na biało twarzy. „Zabójczo pociągająca – pomyślał Jack – jak żmija gotowa do ataku". I wtedy się uśmiechnęła, pokazując zęby.

Były pomalowane na czarno.

Zanim chłopiec zdążył się otrząsnąć z zaskoczenia, zjawił się ostatni wojownik Yagyu. Uczniowie Niten Ichi Ryū zamarli ze zdumienia. To nie Toru.

Był to Yamato.

Jack nie mógł uwierzyć, że Yamato naprawdę reprezentuje wrogą szkołę. Nie widział go od wiosny. Wśród uczniów krążyły plotki, że wstąpił do Yagyu Ryū, lecz Jackowi nie mieściło się w głowie, że chłopak mógłby wziąć udział w zawodach przeciwko szkole własnego ojca.

Kiedy Masamoto poznał, kim jest ostatni uczestnik, zerwał się na nogi; z wściekłości oczy niemal wyszły mu z orbit. Obrócił się ku Kamakurze, lecz furia odebrała mu głos. Kamakura siedział niewzruszony, rozkoszując się widokiem. Wielki Masamoto dał się wytrącić z równowagi.

– Nie tak się umawialiśmy. Gdzie drugi samuraj? – spytał Masamoto, z trudem się opanowując.

– Zapomniałem ci powiedzieć? Tak mi przykro. Niestety, został wezwany przez ojca i musieliśmy go zastąpić jednym z moich pozostałych uczniów – odparł Kamakura, celowo przeciągając ostatnie słowa.

– Twoich uczniów? To nie do przyjęcia.

– Niestety, zasady Taryu-Jiai stanowią jasno, iż są to zawody między szkołami, a nie poszczególnymi uczniami. Mam pełne prawo zmieniać wojowników przed rozpoczęciem turnieju. Czy to prawda, Takeda-san? – zwrócił się do urzędnika.

– Tak, Kamakura-sama, to prawda – odparł urzędnik, celowo unikając wściekłego spojrzenia Masamoto.

– Zatem, jeśli nie chcesz zrezygnować z Taryu-Jiai...

– Nie! Będziemy kontynuować. – Masamoto usiadł, kipiąc ze złości niczym garnek wrzątku.

Urzędnik uniósł rękę, nakazując ciszę. Szmer tłumu ścichł.

– Jestem Takeda Masato – oznajmił. – Występuję w niniejszym Taryu-Jiai jako niezależny arbiter wyznaczony przez dwór cesarski. Będę sędziował wszystkie starcia. Moje decyzje są ostateczne i niepodważalne. Pierwsza runda to kyujutsu. Samuraje, przygotujcie się!

Zebrani zaczęli wiwatować, tymczasem na przeciwnym krańcu ogrodu ustawiano cele dla łuczników.

– Co Yamato robi po ich stronie? – spytał wzburzony Jack, kiedy skupili się przy swoim kamieniu. – Jak może z nami współzawodniczyć?

– Słyszałeś słowa Masamoto tak samo jak my – odparła Akiko. – Masamoto wyrzekł się go po *hanami*. Yamato uciekł, bo stracił twarz. Nie umiał znieść wstydu.

– Ale czemu się przyłączył do szkoły Yagyu?

– Przecież to jasne – wyjaśniła dziewczyna. – Chce, żeby jego ojciec także stracił twarz.

– Dość! – odezwała się sensei Yosa, która podeszła, by przerwać ich dyskusje. – Musicie się skupić na czekających was zawodach. Nie dajcie się rozproszyć ich podstępnej taktyce. Pamiętajcie, czego was uczyłam: w kyujutsu niezbędna jest pełna koncentracja. Równowaga to podstawa. Umysł, łuk i ciało stanowią jedność.

Sensei wbijała im te zasady do głów każdego dnia przez ostatnie trzy miesiące. Przez pierwszy miesiąc uczyli się jedynie,

jak stać i trzymać łuk we właściwy sposób. Dopiero potem zaczęła im pokazywać, jak wypuszczać strzałę. Akiko pierwsza opanowała należycie technikę, lecz Saburo i Jack wciąż nie potrafili przewidzieć, czy uda im się trafić do celu.

W ostatnich tygodniach sensei Yosa kazała im strzelać, aż palce uczniów krwawiły od popękanych pęcherzy. Kiedyś podeszła do Akiko i połaskotała ją w ucho lotką strzały. Dziewczyna była tak zaskoczona, że spudłowała i omal nie ustrzeliła ptaka gnieżdżącego się na starej sośnie. Nauczycielka powiedziała jedynie:

– Nie pozwalaj, by tak łatwo cię było rozproszyć. Całkowita koncentracja, pamiętasz?

Na następnej lekcji krzyknęła Saburze do ucha tak, że posłał strzałę w niebo.

– Skupienie! – powtarzała.

– Zaczynamy. Pierwsza runda. Cele ustawione w odległości stu *shaku* – zawołał urzędnik.

– Sto *shaku*! – zawołał Saburo, kiedy brali łuki i strzały. – Ledwo potrafię trafić do celu przy pięćdziesięciu!

– Zwycięzcą tej konkurencji zostanie szkoła, która zdobędzie więcej punktów po wystrzeleniu sześciu strzał – ciągnął urzędnik. – Jeden punkt za trafienie w tarczę. Dwa za trafienie w środek. Yagyu rozpoczyna.

Dziewczyna z czarnymi zębami podeszła do linii. Wśród zebranych zapadła cisza. Założyła na cięciwę pierwszą strzałę i chłodno, z opanowaniem posłała ją w powietrze.

Pocisk trafił w środek tarczy i uczniowie Yagyu zaczęli wiwatować. Dziewczyna nie czekając, wystrzeliła drugą strzałę,

która wbiła się w wewnętrzny biały pierścień na szerokość kciuka od środka. Łuczniczka skrzywiła się ze złością.

– Yagyu. Trzy punkty.

Pozycję zajął Saburo. Nawet ze swojego miejsca Jack widział, jak koledze drżą ręce. Ledwie zdołał założyć strzałę na cięciwę.

Pierwszy pocisk Saburo poleciał tak daleko od celu, że omal nie zranił stojącego w tłumie ucznia. Wśród przedstawicieli Yagyu przetoczyła się fala śmiechu. Drugi strzał okazał się nie lepszy; strzała wylądowała zbyt blisko.

– Niten Ichi Ryū. Zero.

– Nie martw się, Saburo – pocieszył go Jack, widząc wyraz rozpaczy na twarzy przyjaciela. – Z pewnością małpi syn nie poradzi sobie dużo lepiej.

Na szczęście się nie mylił. Raiden nie potrafił nawet porządnie trzymać łuku. Obie strzały przeleciały obok tarczy, nie zahaczając o nią.

– Yagyu. Zero.

Nadeszła kolej Jacka. Dwa razy sprawdził pozycję i wyrównał oddech, drobiazgowo trzymając się zasad. Wypuścił pierwszą strzałę, która trafiła zewnętrzny brzeg tarczy. Rozległy się gromkie wiwaty.

Próbował zachować skupienie i zaczekał, aż hałas tłumu zmieni się w pełną szacunku ciszę.

Wycelował i strzelił.

Nie trafił.

Po stronie Niten Ichi Ryū rozległ się jęk zawodu, z pozycji drugiej szkoły – odgłosy radości. Urzędnik uniósł ręce, prosząc o ciszę.

– Niten Ichi Ryū. Jeden punkt.

– Przepraszam – powiedział Jack, wracając do kamienia.

– Nie ma za co. Było nieźle. Wciąż mamy szansę – pocieszyła go Akiko lekko drżącym głosem. To ona była ich szansą!

Do linii podszedł Yamato. Podstawową technikę miał dobrą i jego pierwsza strzała trafiła tarczę, lecz daleko od środka. Uczniowie Yagyu zwietrzyli zwycięstwo i zaczęli go zagrzewać. Yamato jednak przeszarżował z drugą strzałą. Naciągnął łuk tak mocno, że minęła cel i – ku wielkiej uldze Jacka, Saburo i Akiko – wbiła się w starą sosnę na końcu ogrodu.

Zawody jeszcze się nie skończyły.

– Yagyu. Jeden punkt.

Yamato, wracając na miejsce, ostentacyjnie zignorował Jacka i pozostałych. Był wyraźnie rozczarowany swoim występem.

Teraz do linii podeszła Akiko.

– Musi trafić dwa razy w sam środek, żeby wygrać! – szepnął zdesperowany Saburo. – Czy kiedyś jej się to udało?

– Dzisiaj? – odparł Jack z nadzieją, widząc, jak dziewczyna wolno i głęboko nabiera oddechu, by uspokoić nerwy.

Widział kiedyś Akiko trafiającą w środek tarczy z tej odległości, lecz zdarzyło się to tylko raz przez cały okres treningów. Czy teraz, gdy ma to największe znaczenie, dziewczyna zdoła powtórzyć wyczyn dwa razy z rzędu?

Kiedy Akiko przygotowywała się do strzału, głosy tłumu przeszły w cichy szmer, podobny do cofającej się fali. Jednym płynnym ruchem dziewczyna wypuściła pierwszy pocisk. Strzała śmignęła pewnie i prosto, po czym trafiła w środek tarczy. Niten Ichi Ryū zaczęła wiwatować.

– Śmiało, Akiko! – krzyknął Jack, nie mogąc się powstrzymać.

Urzędnik poprosił o ciszę i nawoływania stopniowo umilkły.

Dziewczyna przygotowała się do drugiego strzału, ostatniego w tej części zawodów. Jeśli trafi, Niten Ichi Ryū wygra pierwszą rundę.

Oczy wszystkich w tłumie były skierowane na nią; pod presją ręce dziewczyny zaczęły niepowstrzymanie drżeć. Jack widział, jak Akiko zmaga się ze sobą, próbując zapanować nad zdenerwowaniem. Stopniowo uspokajała oddech i opanowywała drżenie dłoni. Uniosła łuk nad głowę i naciągnęła go, przygotowując się do strzału.

– Przyjaciółka gaijina! – zawołał ktoś ze strony szkoły Yagyu.

Krzyk strzaskał ciszę. Przez moment Akiko wydawała się zaskoczona, lecz próbowała zachować delikatną równowagę między umysłem a ciałem, kiedy obelga echem rozbrzmiewała jej w głowie.

Jacka ogarnęła wściekłość; wiedział, że dziewczyna musi zachować płynność ruchu, inaczej spudłuje.

Wypuściła strzałę o ułamek sekundy za wcześnie.

Strzała drgnęła niezgrabnie. Mimo to trafiła do celu. Czy jednak uderzyła w środek?

Obecni co do jednego wstrzymali oddech. Urzędnik podbiegł, by się przyjrzeć miejscu, gdzie uderzył pocisk; grot tkwił na granicy środkowego pola.

– Trafienie w środek! Niten Ichi Ryū cztery punkty – oznajmił, zadowolony z wyniku.

Jack i Saburo równocześnie zamachnęli się pięściami w powietrzu. Akiko się udało!

Dziewczyna skłoniła się triumfalnie, kiedy urzędnik ogłaszał:
– Pierwsza runda dla Niten Ichi Ryū.

36

Demon i motyl

Nie było jeszcze południa, lecz w Butoku-den już panował duszący upał. Uczniowie obu szkół siedzieli w rzędach wzdłuż ścian sali, wachlując się niczym gromada motyli, podczas gdy niezliczeni inni zaglądali przez przesłonięte deszczułkami okna.

Masamoto znalazł Jacka, Akiko i Saburo przygotowujących się do następnej rundy. Pogratulował dziewczynie znakomitego występu podczas kyujutsu i dodał każdemu z nich odwagi przed zbliżającymi się zawodami taijutsu.

– Pamiętajcie o drugiej cnocie *bushido* – rzucił z naciskiem, zanim odszedł, by zająć swoje miejsce w Butoku-den. – O odwadze!

– Piękne słowa – zwrócił się Saburo do Jacka po odejściu samuraja. – Ale to nie odwagi nam trzeba, tylko cudu!

Chłopiec posłał mu zrozpaczone spojrzenie i wzruszył ponuro ramionami, przebierając się w świeże ubranie i mocno wiążąc *obi* na błękitnym *gi* do walki. Już gotowi, Jack, Akiko i Saburo weszli do Butoku-den i stanęli rzędem przed podwyższeniem.

Masamoto i Kamakura siedzieli w sklepionej alkowie sali niczym dwaj cesarze czekający, aż ich gladiatorzy przystąpią do walki. Kamakura wydawał się mniej radosny niż poprzednio, Masamoto tymczasem po pierwszym zwycięstwie swojej szkoły roztaczał aurę spokojnej pewności siebie.

– Runda druga, taijutsu! – ogłosił urzędnik dworu cesarskiego, po czym spojrzał w stronę Raidena i dodał: – To nie są zawody na śmierć i życie. Można zwyciężyć jedynie na punkty, przez poddanie lub nokaut.

Raiden lekceważąco wzruszył ramionami, jasno dając do zrozumienia, że nie zamierza się stosować do zasad.

– Podczas każdego starcia będą przyznawane punkty za wykonanie technik. *Ippon* to pełny i dający zwycięstwo punkt za zaprezentowanie idealnej techniki. *Waza-ari* to pół punktu za niemal doskonałą technikę: dwa *waza-ari* równają się zwycięskiemu *ippon*. *Yoku* i *koka* przyznawane są za słabsze techniki i liczą się jedynie, jeśli czas walki zbliża się do końca, a brakuje jednoznacznego zwycięzcy. Rundę zwycięża szkoła, która wygra więcej starć.

Tłum ryknął niczym lew, aż zadrżały ściany Butoku-den.

– Pierwsze starcie. Akiko przeciw Moriko. Na pozycje!

Na dźwięk swojego imienia Akiko wyraźnie pobladła.

– Dasz sobie radę – dodał jej otuchy Jack. – Pamiętaj, co zawsze powtarzał sensei Kyuzo: „Dzisiejszy trening to jutrzejsze zwycięstwo". Cóż, trenowaliśmy więcej niż trzeba, by zwyciężyć.

I była to prawda. Drobny sensei Kyuzo okazał się najbardziej wymagającym z nauczycieli. Zdawało się niemal, jakby nie znosił ich uczyć i karał wyjątkowo ciężkimi treningami. Szczegółowo

ćwiczyli technikę za techniką. Wbijał im do głowy podstawy i nic innego.

– A co z innymi technikami, jak *ren-geri*, wielokrotne kopnięcia? – poskarżył się Saburo pewnego dnia i za tę zuchwałość musiał zrobić pięćdziesiąt pompek, a tymczasem sensei Kyuzo wyjaśniał:

– Jedyne, czego potrzebujecie, to *kihon waza*. Wielokrotne kopnięcia zbyt łatwo skontrować. Dobry, solidny blok lub cios są znacznie skuteczniejsze. Mówiłem wam, do walki służą podstawowe techniki.

I miała to być walka. Moriko, dziewczyna ze szkoły Yagyu, zasyczała i obnażyła czarne zęby, stając naprzeciw Akiko.

– *Rei!*[39] – rozkazał urzędnik, dziewczęta skłoniły się Masamoto i Kamakurze, a następnie sobie nawzajem. W mosiężnej misie zapalono pałeczkę kadzidła, by odmierzała czas, i urzędnik krzyknął:

– *Hajime!*[40]

Moriko natychmiast rzuciła się na Akiko, kopnęła do przodu, potem po łuku i na koniec w tył. Akiko cofnęła się defensywnie, starając się odeprzeć grad ciosów. Zdołała się uchylić przed kopnięciem w przód, ledwo uniknęła tego po łuku, lecz kopnięcie w tył trafiło ją w biodro. Potoczyła się na podłogę. Moriko skoczyła naprzód, by zakończyć walkę *fumi-komi*, kopnięciem z góry.

– *Yame!* – krzyknął urzędnik, powstrzymując jej wściekłe natarcie. – *Waza-ari* dla Moriko!

Uczniowie Yagyu głośno wyrazili swoją aprobatę. Jack był wściekły. Nienawidził oglądać walczącej Akiko. Chciał się rzucić w jej obronie, tak jak ona kiedyś obroniła jego.

– *Rei!* – oznajmił urzędnik i dziewczęta się ukłoniły. *Hajime!*

Moriko znowu natarła gwałtownie, lecz tym razem Akiko była przygotowana. Zeszła jej z drogi, trafiła Moriko ciosem po łuku, po czym uderzyła ją nasadą dłoni w pierś, równocześnie podcinając nogę przeciwniczki. Był to prosty, lecz bardzo skuteczny blok oraz kontra, lecz Moriko padając, chwyciła Akiko, przez co doskonała technika wydała się niechlujna.

– *Yame!* – zawołał urzędnik, przerywając starcie. – *Waza-ari* dla Akiko.

Szkoła Niten Ichi Ryū oszalała. Dziewczęta zremisowały.

– *Rei!* – powiedział urzędnik i znowu się skłoniły. – *Hajime!*

Tym razem Moriko trzymała się na dystans.

Okrążały jedna drugą; Moriko syczała jak czarna kotka. Obie markowały ataki, aż naraz Moriko spróbowała chwycić Akiko za rękę. Ta zablokowała próbę i zaczęły się mocować; każda starała się zyskać przewagę i rzucić przeciwniczkę na ziemię. Akiko udało się pierwszej; zawirowała w *o-goshi*, przerzucie przez biodro. Moriko opuściła nisko biodra, przenosząc środek ciężkości w dół i broniąc się przed rzutem. Za plecami złośliwie szarpnęła Akiko za włosy.

Jack był jednym z niewielu, którzy to zauważyli. Chwytanie za włosy było zakazane, więc Moriko trzymała się blisko przeciwniczki, zasłaniając własnym ciałem niedozwolony ruch. Akiko została unieruchomiona. Moriko podcięła jej nogi od tyłu i pociągnęła w dół za włosy.

– *Yame! Waza-ari* dla Moriko – oznajmił urzędnik, nieświadomy oszustwa. – Pierwsze starcie wygrywa Yagyu Ryū!

– Nie mogę w to uwierzyć! – rzucił Jack ze złością, kiedy Akiko uklękła obok niego. – Jak sędzia mógł tego nie zauważyć?

– Nie martw się moją walką. Już skończona – odparła dziewczyna z twarzą czerwoną i rozpaloną z wysiłku. – Skup się na własnej. Musisz wygrać.

– Drugie starcie. Raiden przeciw Jackowi. Na pozycje!

Serce zamarło Jackowi w piersi. Miał się zmierzyć z Raidenem.

– Powodzenia, Jack – szepnął Yori, klęczący za jego plecami wśród pozostałych uczniów z jego grupy.

– Tak, powodzenia, Jack – dodała ciepło Emi.

Jej zalotny ton nie umknął Akiko; spojrzała na dziewczynę w niemym zdumieniu.

– Dziękuję – odparł Jack i jakimś sposobem zdołał się uśmiechnąć. Pierwszy raz Emi zwróciła na niego uwagę.

Potem napotkał spojrzenie Kazukiego i ciepłe uczucia wyparowały. Kazuki przeciągnął palcem po gardle.

Dawny wróg nienawidził go jeszcze bardziej od czasu *hanami*, kiedy to Jack przestał być szkolnym gaijinem, a stał się bohaterem. Kazuki został zepchnięty w cień. Teraz rozkoszował się perspektywą nadciągającego pojedynku. Nie było mowy, by Jack wygrał, a Kazuki wiedział, że nikt nie lubi pokonanych.

Jack wyszedł na środek Butoku-den. Żar natychmiast wyssał z niego siły. Nie było nawet powiewu świeżego powietrza; słupy gorącego, słonecznego światła paliły drewnianą podłogę.

Sala wydała mu się większa niż kiedykolwiek; czuł się mały jak mrówka w porównaniu z olbrzymem Raidenem. Przeciwnik wyszczerzył zęby i przechylając głowę na boki, rozluźniał stawy z powodującym mdłości trzaskiem.

Lada chwila Jack zostanie rozerwany na strzępy.

Obejrzał się na dwoje przyjaciół. Jego strach odbijał się w ich twarzach jak w lustrze.

Wtedy zobaczył senseia Yamadę, senseia Kyuzo i senseia Hosokawę stojących z boku. Sensei Yamada skłonił się nieznacznie, a potem wskazał otwartą dłonią drobnego senseia Kyuzo i rosłego senseia Hosokawę. Chłopiec pojął natychmiast: dla senseia Kyuzo wzrost nigdy nie stanowił problemu w walce. Jack również nie powinnien się nim przejmować.

– *Rei!* – oznajmił urzędnik.

Jack i Raiden skłonili się Masamoto i Kamakurze, potem krótko sobie nawzajem. Urzędnik zaczekał, aż zostanie zapalona kolejna krótka pałeczka kadzidła, i krzyknął:

– *Hajime!*

Jack zdecydował się na strategię „wszystko albo nic" i kiedy Raiden ruszył ociężale do natarcia, wymierzył kopnięcie do przodu, a następnie po łuku. Raiden jednak po prostu opędził się od jego ataków i zadał jedyny cios przedramieniem. Jack poszybował w powietrzu i wylądował rozciągnięty na podłodze.

– *Yame!* – krzyknął urzędnik. – *Koka* dla Raidena!

Jack z trudem się podniósł, oszołomiony, lecz cały. Akiko i Saburo posłali mu pełne otuchy spojrzenia, lecz ich wsparcie wypadło blado wobec drwiąco wykrzywionej miny Kazukiego i Nobu udającego, że wkłada głowę w szubieniczną pętlę.

– *Hajime!*

Jack nie zdążył się przygotować do starcia, gdy Raiden przydepnął jego wysuniętą do przodu stopę. Chłopiec jęknął i próbował się uwolnić, znalazł się jednak w potrzasku. Raiden

lewą ręką wymierzył zamaszysty hak. Jack zanurkował i poczuł, jak cios przelatuje mu nad głową. Kiedy się jednak prostował, przeciwnik zamachnął się drugi raz prawą pięścią prosto w jego twarz.

Chłopiec powstrzymał cios solidnym *age-uke*, blokiem wznoszącym, wiedział jednak, że jeśli szybko nie wyszarpnie stopy, jego chwile są policzone.

Opadł na kolana i całym ciężarem ciała uderzył w wewnętrzną stronę uda Raidena, celując w nerw, który sensei Kyuzo pokazał im w czasie treningów. Raiden zawył z bólu i uwolnił stopę Jacka, lecz zataczając się do tyłu, zdołał trafić chłopca w policzek niezdarnym, lecz brutalnym smagnięciem grzbietem dłoni.

Jack po raz drugi poleciał w powietrze.

– *Yame!* – zawołał urzędnik. – *Koka* dla Raidena.

– Śmiało, Jack. Możesz go pokonać – zachęciła Akiko, ale jęki pozostałych uczniów Niten Ichi Ryū wyrażały znacznie bardziej realistyczną opinię na temat jego szans.

Podczas trzeciego ataku Jack wytrwał odrobinę dłużej, zanim Raiden trafił go przedramieniem w szyję.

Chłopiec osunął się na podłogę.

– *Yame!* – krzyknął urzędnik. – *Koka* dla Raidena.

Tym razem Jack nie podniósł się z ziemi i urzędnik zaczął odliczać.

– Raz... dwa...

Cios „sznur do bielizny” niemal pozbawił go przytomności i chłopak leżał, marząc, by walka się skończyła. W głowie dzwoniło mu z bólu, okrzyki zachęty brzmiały w uszach jak szum, myśl zaś o poddaniu wydawała się bardziej kusząca niż

kiedykolwiek. Był bez szans w tym pojedynku. Miał tylko nadzieję, że wyjdzie ze starcia żywy i w jednym kawałku.

– trzy...

I w tej chwili poprzez szmer tłumu doleciał go jakiś głos.

– Siedem razy w dół, osiem razy w górę!

Potrząsnął głową, by w niej rozjaśnić. Sala znowu nabrała ostrości, a głos zabrzmiał wyraźniej.

– cztery...

– Siedem razy w dół, osiem razy w górę!

Był to Yori. Krzyczał do niego.

– Siedem razy w dół, osiem razy w górę!

– pięć...

Mówił Jackowi, żeby się nie poddawał. Wszystkie lekcje odebrane przez chłopca zlały się nagle w jedno. Nie wolno mu się pogodzić z przegraną.

– sześć...

Musi pokonać własne wątpliwości i strach. Rozbrzmiały mu w pamięci słowa senseia Yamady. „Żeby zostać wdeptanym w błoto, trzeba leżeć na ziemi".

– siedem...

– Siedem razy w dół, osiem razy w górę!

Usłyszał teraz, jak do Yoriego przyłączają się Saburo i Akiko, a wraz z nimi kilkoro innych uczniów.

– osiem...

Nie podda się bez walki.

– dziewięć...

Zmusił się, by wstać. Tłum zawył, żądny widoku gaijina latającego w powietrzu. Odliczanie zostało przerwane i Jack,

zataczając się, stanął na pozycji.

– *Hajime!* – zawołał urzędnik, nie dając chłopcu możliwości dojścia do siebie.

Raiden rzucił się znowu.

Jack zablokował pierwszy atak.

Raiden przeleciał obok niego, obrócił się i zaatakował ponownie. Jack zdołał go dźgnąć w bok, lecz przeciwnik uderzył go w pierś ciosem dłoni-młota, aż chłopiec poleciał w tył i wylądował ciężko obok Akiko.

– *Yame!* – zawołał urzędnik. – *Koka* dla Raidena!

Dziewczyna wyglądała na zrozpaczoną, lecz Jack podniósł się i spróbował znowu.

– *Yame!* – krzyknął urzędnik, gdy chłopiec raz jeszcze poleciał na ziemię jak szmaciana lalka. – *Koka* dla Raidena!

Raiden wykorzystał oszołomienie przeciwnika i wykonał *ura mawashi-geri*, mocno obijając mu żebra.

– *Yame!* – podał urzędnik z rosnącym niepokojem w głosie. – *Yoku* dla Raidena!

Jack cieszył się, że podłoga jest sprężysta, chociaż wciąż czuł ból po lądowaniu. Znowu zmusił się do wstania, chwiejąc się lekko, zupełnie jak Daruma. Zaczynał doceniać wszystkie okazje, gdy sensei Kyuzo wykorzystywał go jako *uke*. Doświadczenie naprawdę zahartowało go na nieustający grad ciosów, zupełnie jak przepowiadała Akiko.

– Pozostało pół pałeczki kadzidła – ogłosił urzędnik. – *Hajime!*

Raiden oddychał teraz ciężko po długim starciu. Wyraźnie przywykł, że przeciwnicy poddają się po pierwszej rundzie. Jego twarz zrobiła się jasnoczerwona i pocił się jak świnia.

Stracił także na szybkości, co zauważył Jack, bez trudu blokując jego *mawashi-zuki*, cios po łuku. Naraz, czując olśnienie, coś sobie uświadomił. Spocony, poczerwieniały i zmęczony Raiden nie był świnią. Był demonem, demonem z jego wizji!

Zbyt zmęczony, by choć próbować poprawnej techniki, Raiden chwycił Jacka i wykorzystując czystą, brutalną siłę, cisnął nim przez *dojo*. Chłopiec, podskakując, pojechał po podłodze i zatrzymał się u stóp senseia Yamady.

– *Yame!* – zawołał urzędnik. – *Koka* dla Raidena!

Uczniowie ze szkoły Yagyu oszaleli. Za niecałe pół pałeczki kadzidła wygrają zawody. Nie było sposobu, by Jack zwyciężył.

Chłopiec podniósł wzrok na senseia Yamadę, który nachylił się nad nim wyczekująco, jakby się modlił.

– Sensei! Raiden jest demonem z mojej wizji! – wyjąkał. – Co to oznacza?

Yamada tylko otworzył i zamknął dłonie jak skrzydła motyla. Przesłanie było jasne: Jack ma być motylem.

Podniósł się i poprawił swoje błękitne *gi*. Błękitne! Roześmiał się na myśl o tym, jak zrozumiała była jego wizja. Nie zdoła pokonać Raidena siłą, lecz może wygrać dzięki umiejętnościom, szybkości i wytrzymałości.

Zmienił taktykę. Raiden niewątpliwie miał słabą technikę; liczył więc, że sam wzrost i ciężar załatwią sprawę. Jeśli Jack będzie szybki i zwinny jak motyl, zdoła uniknąć ciosów. W końcu Raiden straci siły, tak jak demon w wizji. Chłopiec miał tylko nadzieję, że zostało mu wystarczająco dużo czasu, by zmęczyć „demona".

– *Hajime!* – ogłosił urzędnik.

Walka rozpoczęła się na nowo.

Jeśli jednak chodzi o trzymanie się z dala od ciosów, łatwiej było to powiedzieć niż zrobić. Jack nie mógł po prostu biegać wokół *dojo*. Musiał pozostać na tyle blisko, by sprowokować przeciwnika do ataku, zmusić do wysiłku, a zarazem unikać uderzeń.

Przeciągał walkę, umykając z miejsca na miejsce. Przysiadał, wywijał się i nurkował, a tymczasem słońce zbliżające się do zenitu prażyło Salę Buddy, zmieniając ją w rozpalony piec.

Raiden miotał się wściekły, a gdy Jack wywijał się od kolejnych ciosów, jego ruchy stawały się coraz bardziej ociężałe. Pot ściekał Raidenowi po twarzy i zalewał oczy. Ocierając go, chłopak na moment opuścił gardę.

To była szansa, na którą Jack czekał.

Wiedział, że nie ma sposobu, by zwykłe kopnięcie czy cios powaliły przeciwnika. Musiał uniknąć jego małpich ramion, zanim zyska szansę zadania skutecznego ciosu. Istniała tylko jedna możliwość, *chō-geri*, kopnięcie motyla. „ W cokolwiek wierzysz, to się stanie”, powiedział sensei Yamada i w tym momencie Jack uwierzył, że potrafi to zrobić.

Bez wahania wyskoczył w powietrze. Wszystkie treningi skupiły się w tym jednym ruchu.

Skręcił się w powietrzu, zataczając ramionami półokręgi, by kontrolować obrót; wyrzucił prawą nogę po łuku, trafiając osłabioną gardę Raidena i zbijając ją bez trudu, a potem lewą nogą walnął przeciwnika w szczękę. *Chō-geri* osiągnęło cel i Raiden załamał się pod jego siłą.

W Butoku-den zapadła cisza.

Jack wylądował zgrabnie obok ciała jęczącego przeciwnika dokładnie w chwili, gdy kadzidło zgasło i słupek popiołu spadł do misy.

– *Yame!* – wykrzyknął zdumiony urzędnik. – *Ippon* dla Jacka!

Na przekór wszystkiemu chłopcu udało się wykonać *chō-geri*. Nie mógł w to uwierzyć!

Szkoła Niten Ichi Ryū eksplodowała wiwatami, gdy Jack powlókł się do swojego rogu, pozostawiając Raidena rozciągniętego na podłodze.

– To było fantastyczne! – entuzjazmował się Saburo, który podbiegł, by podtrzymać przyjaciela.

– Gdzie się nauczyłeś tego kopnięcia? – zawołał jakiś głos z tłumu.

– Jak się nazywa? – dopytywał inny. – Latający gaijin?

Jacka otoczyli uczniowie ze szkoły; wszyscy chcieli, by ich nauczył kopnięcia „latający gaijin". Saburo odsunął ich, przypominając, by zachowali pełen szacunku dystans.

Wciąż oszołomiony zwycięstwem, chłopiec ukląkł na podłodze, a tymczasem pozostali przepychali się, chcąc być jak najbliżej nowego bohatera.

Urzędnik rozpaczliwie nawoływał o ciszę i stopniowo hałas tłumu cichł do pełnego podniecenia szmeru.

Kiedy wracali na miejsca, Jack zauważył, że sensei Yamada z tajemniczym uśmiechem uprzejmie wykręca się od pytań senseia Kyuzo, który najwyraźniej domagał się wyjaśnień w sprawie ukrytego talentu Jacka do kopnięć.

– Ostatnie starcie. Saburo przeciw Yamato. Na pozycje! – ogłosił urzędnik i oczy wszystkich zwróciły się na dwóch pozostałych

zawodników.

Przy wyrównanym obecnie wyniku ten pojedynek miał rozstrzygające znaczenie.

Gdyby Saburo pokonał Yamato, Niten Ichi Ryū zostałaby zwycięzcą drugiej rundy. Saburo był doświadczonym zawodnikiem i istniało spore prawdopodobieństwo, że zwycięży. Yamato jednak stał się niewiadomą.

Yamato zbliżył się nachmurzony do przeciwnika.

Saburo uśmiechnął się życzliwie, lecz Yamato pozostał niewzruszony, z pustym spojrzeniem, jakby nie poznał dawnego przyjaciela.

– *Rei!* – ogłosił urzędnik, obaj ukłonili się i zapalono kadzidło. – *Hajime!*

Yamato nie drgnął.

Saburo zawahał się nieznacznie, potem uderzył czystym kopnięciem wprost, do którego dodał silne uderzenie ramieniem na zewnątrz.

Yamato spokojnie zrobił unik przed kopnięciem i zablokował cios Saburo przedramieniem. Potem, wirując, błyskawicznym ruchem zbliżył się do niego i przerzucił przez ramię. Saburo pożeglował w powietrzu i wylądował ciężko na drewnianej podłodze Butoku-den.

– *Ippon!* – krzyknął urzędnik, zagłuszając radosne okrzyki. – Rundę drugą zwycięża Yagyu Ryū!

Kadzidło ledwie zaczęło dymić, lecz pojedynek był zakończony.

---

[39] Rei (jap.) – ukłon.

[40] Hajime! (jap.) – Do walki!

37

Jadeitowy Miecz

Jack spojrzał głęboko w oczy Yamato, czekając na jego pierwszy ruch.

– Większość pojedynków jest rozstrzygnięta, zanim wyciągnie się miecz – powiedział Jackowi sensei Hosokawa podczas jednej z lekcji kenjutsu. – Pokonaj umysł wroga, a pokonasz jego miecz.

Akiko wygrała swoje starcie na bokkeny z Moriko trzy do zera, dokonując na przeciwniczce słodkiej zemsty. Podstępna taktyka Moriko w czasie taijutsu rozwścieczyła ją, więc walczyła bez litości.

Saburo – przeciwnie – po pojedynku z Yamato tak bardzo stracił pewność siebie, że dał się pokonać Raidenowi dwa do jednego. Taryu-Jiai znalazło się znowu w równowadze; każda ze szkół mogła zwyciężyć.

Wszystko zależało od Jacka i Yamato.

Jack wciąż nie mógł się pogodzić z tym, że Yamato występuje przeciw szkole własnego ojca, lecz mroczny, posępny wyraz oczu

Japończyka jasno dawał do zrozumienia, że walczy z Jackiem, i tylko z nim.

– Do trzech zwycięstw? – zagadnął złośliwie Jack, po staremu rzucając mu wyzwanie.

Wiedział, jak Yamato myśli i walczy. Uczył się od niego, trenował z nim, nieraz został przez niego pokonany. Tym razem poprzysiągł sobie, że przyszła kolej na przegraną Yamato.

Yamato prychnął pogardliwie i nie odpowiadając, uniósł *kissaki* na tę samą wysokość co Jack.

– *Hajime!* – ogłosił urzędnik.

Japończyk zaatakował z szybkością kobry. Jego bokken ześlizgnął się po broni Jacka i śmignął ku jego głowie.

Chłopiec zanurkował i zawirował, próbując trafić przeciwnika w brzuch. Yamato szybko skontrował, blokując uderzenie. Jack natychmiast natarł znowu, lecz Yamato to przewidział i zręcznie usunął się z drogi, po czym uderzył własnym mieczem w trzymającą bokken dłoń Jacka.

– *Yame!* – krzyknął urzędnik przy wtórze wiwatów tłumu. – Punkt dla Yagyu!

– Widziałem, jak myślisz o ruchu przed jego wykonaniem! – zaśmiał się Yamato. – Nie zmieniłeś się, Jack.

– Ale ty tak – odparł chłopiec. – Straciłeś twarz.

Yamato zirytowała obelga i natarł, zanim urzędnik ogłosił rozpoczęcie następnej rundy. Właśnie na taką reakcję liczył Jack. Yamato wciąż się nie nauczył panować nad sobą, a Jack wiedział, że kiedy Yamato daje się ponosić emocjom, myli się w ocenie.

Ciosy posypały się na Jacka jak grad i naraz Yamato popełnił błąd. Zbliżył się za bardzo, przygotowując do odwrotnego cięcia;

Jack zrobił unik i uderzył go silnie w brzuch.

– *Yame!* – zawołał urzędnik, kiedy Yamato padł zgięty na podłogę, tłum zaś zareagował donośną mieszaniną wiwatów i drwin. – Punkt dla Niten Ichi Ryū!

Znowu był remis.

Następne starcie miało rozstrzygnąć Taryu-Jiai. Nikt nie ośmielał się oddychać. W Butoku-den zrobiło się ciszej niż w świątyni. Masamoto i Kamakura zamarli w oczekiwaniu, niczym kamienni bogowie na swoich tronach.

Wydawało się, że przez krótką chwilę czas stanął w miejscu, gdy Jack i Yamato zmagali się w niewidzialnej walce, szukając w pamięci otwierającego ruchu przeciwnika. Poruszali się wolnymi, zgranymi krokami, w identycznej postawie; równocześnie unieśli bokkeny i zrównali *kissaki*.

– *Hajime!* – ogłosił urzędnik.

Bokkeny uderzyły o siebie. Stopy walczących przesuwały się szybko niemal jak w tańcu, parady natrafiały na ciosy, ciosy na parady, potem obaj równocześnie zawirowali na piętach i wzięli morderczy zamach.

Ich ramiona zderzyły się, gdy obaj w tym samym momencie próbowali uderzyć przeciwnika w szyję.

– Remis! – krzyknął urzędnik z zaskoczeniem.

Oczy obu zawodników kontynuowały zmagania. Wciąż byli chłopcami walczącymi na mostku za domem Hiroko w Tobie, lecz żaden nie mógł zaprzeczyć, że są teraz równie sprawnymi wojownikami.

Wśród uczniów zapanowało zmieszanie. Czy Taryu-Jiai może się skończyć remisem? Oczywiście, że nie! Jak zatem wybrać

ostatecznego zwycięzcę? Urzędnik prosił o spokój.

Jack i Yamato odsunęli się od siebie, dopiero gdy sędzia wkroczył pomiędzy nich. Zaraz potem pośpieszył do Masamoto i Kamakury i zaczął z nimi rozprawiać zniżonym, poważnym tonem.

Zebrani wyciągnęli szyje w nadziei pochwycenia choć słowa.

Po kilkuminutowej ożywionej dyskusji wrócił na środek *dojo*.

– Samuraje z Niten Ichi Ryū! Samuraje z Yagyu Ryū! – ogłosił ceremonialnie z wielką powagą. – Na mocy władzy udzielonej mi przez dwór cesarski wzywam do odprawienia Rytuału Jadeitowego Miecza.

Tłum wybuchnął wrzawą i urzędnik prawie ochrypł od nawoływań, zanim zdołał nad nim zapanować na nowo.

– Zarządzeniem cesarza Kammu, ojca Kioto, Rytuał Jadeitowego Miecza można przeprowadzić w sytuacji, gdy Taryu-Jiai zakończy się remisem. Ustalono, że zwycięzcą zostanie samuraj, który przyniesie Jadeitowy Miecz z kapliczki przy wodospadzie Szelest Piór i wręczy go założycielowi swojej szkoły. Rytuał rozpocznie się za cztery pałeczki kadzidła od teraz przed Salą Buddy.

Zebranych ogarnęło gorączkowe podniecenie.

Rytuału Jadeitowego Miecza nie odprawiano od ponad stu lat. Nie było takiej potrzeby. Za pamięci żyjących dwie szkoły nigdy nie zremisowały.

38

Wodospad Szelest Piór

Kadzidło wypuściło ostatnią chmurkę dymu i zgasło.

– *Hajime!* – zawołał urzędnik pałacu cesarskiego.

Jack rzucił się do drzwi; Yamato uparcie trzymał się tuż obok.

Wiwaty przybrały na sile, kiedy zawodnicy wybiegli z Sali Buddy i popędzili schodami, przeskakując po dwa stopnie. Tłum zebrany na dziedzińcu rozstępował się jak olbrzymia ludzka fala, kiedy biegli w stronę głównej bramy.

Przed Niten Ichi Ryū skręcili w lewo w uliczkę; uczniowie płynący za nimi zagrzewali chłopców do walki.

Kilku z widzów próbowało dotrzymać zawodnikom kroku, lecz ci wkrótce zostawili kibiców w tyle.

Przy końcu ulicy Yamato wysunął się na prowadzenie i nagle skręcił skrótem w zaułek. Jack deptał mu po piętach, słysząc za plecami cichnące okrzyki uczniów. Nie chciał zgubić przeciwnika. Nie obawiał się, że zabłądzi. Akiko wytłumaczyła mu, jak dotrzeć do wodospadu Szelest Piór. Po prostu nie chciał zostać zbyt daleko w tyle na tak wczesnym etapie wyścigu.

Przed rozpoczęciem Rytuału Jadeitowego Miecza Akiko i Saburo zaciągnęli Jacka do Sali Lwów, gorączkowo próbując go przygotować. Podczas gdy przebierał się w świeże kimono, żarłocznie pochłaniając jedzenie i napoje, Akiko opowiadała mu historię miecza.

– Należał do samego cesarza Kammu, założyciela Kioto. Mówi się, że samuraj, który nim włada, nigdy nie zostanie pokonany. Dlatego cesarz Kammu rozkazał, by miecz nie opuszczał Kioto, tak aby miasto zawsze było chronione. Powierzył Jadeitowy Miecz na przechowanie buddyjskiemu mnichowi Enchinowi, a ten umieścił go na samym szczycie wodospadu Szelest Piór, by górował nad miastem i strzegł źródeł rzeki Kizu.

– Gdzie jest ten wodospad? – spytał chłopiec między jednym a drugim pośpiesznym przełknięciem ryżu.

– Za Świątynią Kiyomizudera w górach. Można tam dotrzeć stromą ścieżką odchodzącą od głównego mostu.

– Chodzi ci o ten most, przez który wjechaliśmy do Kioto?

– Tak. Ścieżkę będziesz miał po lewej. Wije się pod górę i zaprowadzi cię prosto do Nio-mon, Bramy Królów Deva. To główne wejście do świątyni. Nie możesz zabłądzić – dodała z przekonaniem, kiedy Jack obwiązywał się *obi*.

– To szlak dla pielgrzymów, jest wyraźnie oznaczony. Kiedy się znajdziesz wśród świątynnych zabudowań, idź prosto do Sanju-no-to, trzypiętrowej pagody w tym samym kolorze co *torii* w Tobie. Potem przejdź przez Świątynię Smoka i środkową bramą wejdź do Hondo. To Sala Główna. Naprzeciw zobaczysz *butai*, podwyższenie do tańca dla mnichów, a po lewej wodospad Szelest Piór i kapliczkę z Jadeitowym Mieczem.

– To się nie wydaje zbyt trudne.

– Nie daj się zwieść, Jack. Enchin miał powód, by umieścić miecz w tym miejscu. Wodospad jest niebezpieczny. Skały są śliskie i wilgotne, a ścieżka niewyobrażalnie stroma. Wielu samurajów spadło, próbując dotrzeć do miecza, i tylko kilku zdołało go wziąć do ręki.

Następnie, zanim Jack zdążył zapytać o coś więcej, pośpiesznie zaprowadzili go do Sali Buddy na rozpoczęcie rytuału; honor Niten Ichi Ryū spoczął teraz wyłącznie na jego barkach.

– Patrzcie, gdzie biegniecie! – krzyknął gniewnie kupiec, kiedy Yamato i Jack, pędząc obok jego kramu, strącili owoce na ziemię.

Robiąc uniki i nagłe skręty, przemykali wśród gromady zaskoczonych sprzedawców i wkrótce dotarli na obrzeża miasta. Jack z ulgą opuszczał duszący upał. Yamato dotarł do mostu pierwszy i przebiegł go ze stukotem, po czym skręcił na lewo w pielgrzymi szlak. W oddali Jack zobaczył Sanju-no-to, trzypiętrową pagodę wyłaniającą się zza drzew.

Akiko miała rację; żadnym sposobem nie udałoby mu się zabłądzić. Ku świątyni płynął równy strumyk pielgrzymów. Wzdłuż pylistej ścieżki stali handlarze, zachwalając talizmany, kadzidła i wróżby na skrawkach papieru, poważniejsi kupcy zaś sprzedawali gromadom wyczerpanych i wygłodniałych wędrowców wodę, senchę i makaron. Jack przeciskał się między nimi, próbując dogonić Yamato.

– Więcej pośpiechu, mniej szybkości! – zawołał jeden z handlarzy, podtykając chłopcu pod nos wróżbę, kiedy ten mijał go pędem.

Jack się nie zatrzymał i jeszcze bardziej przyśpieszył.

Yamato dotarł już do lasu porastającego podnóża góry. Ścieżka wiła się w górę zbocza, znikając i pojawiając się znowu między kępami drzew. Jack z ulgą powitał chłodny cień, kiedy on także dosięgnął linii lasu. Serce waliło mu w piersi, lecz nadal szybko przebierał nogami, ze wszystkich sił próbując doścignąć Yamato. Droga stawała się coraz bardziej stroma i kiedy chłopak minął zakręt, zobaczył, że Japończyk zaczyna zwalniać.

Sądził, że zdoła go wyprzedzić na kolejnym prostym odcinku, więc przyśpieszył, ale kiedy wypadł zza następnego zakrętu, z impetem zderzył się z wielkim, miękkim brzuszyskiem. Odbił się i wylądował na kamienistym gruncie.

– Hejże! Zwolnij, młody samuraju! – zawołał pulchny mnich w szafranowej szacie, czule pocierając swój dorodny brzuch.

– Przepraszam! – odparł Jack, w pośpiechu gramoląc się na nogi i otrzepując. – Ale muszę dogonić... to sprawa honoru.

Ukłonił się szybko i śmignął za Yamato.

– Och, ta dzisiejsza młodzież, taka spragniona oświecenia... Budda poczeka, wiesz?! – zawołał mnich przyjaźnie za oddalającym się szybko chłopcem.

Jack nie zobaczył Yamato, kiedy przebył ostatni zakręt i minął Nio-mon, Bramę Królów Deva. Ledwie rzucił okiem na dwa wielkie lwy czy też psy strzegące wejścia przed złymi siłami i pobiegł w górę po kamiennych stopniach, mijając zaskoczonych pielgrzymów, a potem skierował się przez drugą bramę do Sanju-no-to. Trzypiętrowa pagoda była pomalowana na ciemnoczerwony kolor i wyraźnie odcinała się od pozostałych budynków o barwie złamanego brązu.

Yamato wciąż nigdzie nie było widać, gdy Jack biegł w stronę Hondo, Sali Głównej, olbrzymiej budowli górującej nad pozostałymi zabudowaniami świątynnymi.

Przebiegł przez niewielką kaplicę z sufitem ozdobionym jaskrawym malowidłem zwiniętego, zielonego jak jadeit smoka, minął kolejną bramę strzeżoną przez lwopsy i znalazł się w zewnętrznym sanktuarium Hondo. Przeciskając się między pielgrzymami, padającymi na twarz w modlitwie, ruszył prosto do wewnętrznego sanktuarium.

W środku zastał jedynie kilku zdumionych mnichów, którzy z pogodnym zainteresowaniem obserwowali zgrzanego, spoconego i zdyszanego gaijina. Wewnętrzna świątynia była ciemna i chłodna, w przeciwieństwie do pozostałych ozdobiona kunsztownymi złoconymi podobiznami Buddy, lecz Jack zdążył jedynie zerknąć na nie w przelocie, kiedy rozglądał się za wyjściem.

– Wodospad Szelest Piór? – spytał zdesperowany.

Szczupły, smagły mnich siedzący w pozycji półlotosu wskazał drzwi po swojej prawej stronie. Jack skłonił się krótko w podziękowaniu, wybiegł na zewnątrz i znowu znalazł się w blasku słońca.

Przekonał się, że stoi na rozległej drewnianej platformie, *butai*, zawieszonej nad głębokim wąwozem porośniętym bujną roślinnością. Huk wodospadu rozbrzmiewał mu w uszach i przez delikatną mgiełkę widział Kioto rozpostarte w oddali na dnie doliny. Miasto lśniło w pełnej chwale niczym miraż, delikatna tęcza zdobiła znajdujący się pośrodku pałac cesarski.

Tuż na lewo od chłopca wodospad Szelest Piór spływał kaskadami ze stromego zbocza do wielkiego kamiennego basenu położonego jakieś pięć pięter niżej. Woda gwałtownie spadała w dół, spieniona i pełna zawirowań, po czym uspokajała się i toczyła wąwozem do doliny Kioto.

Jack spojrzał w górę i przekonał się, że Yamato wspina się już po skalnej ścianie, zmierzając ku maleńkiej kamiennej kapliczce przycupniętej na skraju przepaści.

Ocenił, że wodospad ma mniej więcej wysokość bocianiego gniazda na Alexandrii. Yamato znajdował się niewysoko nad *butai* i wyraźnie miał kłopoty. Nawet ze swojego miejsca Jack widział, jak chłopcu drżą nogi, gdy rękami na ślepo wymacywał następny uchwyt.

Przeszedł przez balustradę *butai* i zobaczył wąską półkę, od której należało zacząć wspinaczkę. W tym celu musiał przeskoczyć z bezpiecznego *butai* na zbocze. Wzburzone jezioro daleko w dole stanowiło jedyną siatkę bezpieczeństwa. Jack wziął głęboki oddech, zebrał się na odwagę i dał susa na skalną ścianę.

Wylądował czysto na półce, lecz natychmiast zaczął się zsuwać po jej śliskiej powierzchni. Bezradnie zjeżdżał po zboczu. Gdy rękami starał się wymacać wystającą skałę, doświadczenie majtka na żaglowcu zwróciło się tysiąckrotnie: instynktownie znalazł uchwyty dla dłoni i się zatrzymał.

Uspokoił się, biorąc głęboki oddech. Musi być znacznie ostrożniejszy, jeśli ma przeżyć to wyzwanie.

Podniósł wzrok i widząc, że Yamato zrobił niewielkie postępy, podjął wspinaczkę z nową energią. Wciąż istniała szansa, że pierwszy dosięgnie Jadeitowego Miecza.

Kiedy nauczył się, jak sobie radzić na śliskiej powierzchni zbocza, przyśpieszył. Odkrył, iż wspinanie się po skałach niewiele się różni od wspinaczki po olinowaniu Alexandrii, a nie mając lęku wysokości, wkrótce zrównał się z Yamato.

– Wszystko w porządku? – spytał zaniepokojony złą formą przeciwnika.

Yamato nie odpowiedział. Z pobladłą twarzą i oczyma zmatowiałymi ze strachu spojrzał tylko ze złością.

– Potrzebujesz pomocy? – powtórzył Jack, przypominając sobie własne przerażenie, kiedy pierwszy raz wspinał się na bocianie gniazdo.

– Nie od ciebie, gaijinie! Raz to już za wiele! – syknął, lecz głos załamał mu się z lęku, kiedy zawzięcie czepiał się śliskiej skały, aż kostki palców pobielały mu z wysiłku.

– W porządku. Możesz sobie spaść – odparł Jack i wyminął przeciwnika.

Bez dalszych kłopotów dotarł na skraj wodospadu. Rzucił pobieżne spojrzenie na Yamato, który tkwił przyklejony do skały niczym pijawka, po czym po kilku wielkich kamieniach przeszedł do stojącej pośrodku kapliczki.

Wślizgnął się do środka i w ciemnej niszy znalazł Jadeitowy Miecz.

Spoczywał na podstawie z rubinowej laki, lśniąc w rozproszonym świetle. Była to ceremonialna katana w *saya* z czarnego lakierowanego drewna, na której wyrzeźbiono smoka. W oko zwierzęcia wprawiono wielki zielony jadeit. Krew ścięła się Jackowi w żyłach. Dokugan Ryu. Smocze Oko.

Starał się powstrzymać drżenie dłoni, kiedy unosił ciężki oręż ze stojaka. Chwycił skórzaną rękojeść, wykonaną z pęcherzykowatej w dotyku skóry białej *rai*, i wyciągnął lśniącą klingę z polerowanej stali, tak ostrą, że sam jej widok ranił oczy. Na powierzchni metalu wyryto blady zarys drugiego smoka i chłopiec szybko schował błyszczące ostrze do pochwy.

Wsunął Jadeitowy Miecz za *obi*, przywiązał go starannie, a potem wyszedł z kapliczki.

Spojrzał w dół i przekonał się, że Yamato wciąż nie ruszył się z miejsca.

Szybko zsunął się po zboczu. Tym razem Yamato nawet na niego nie spojrzał. Tulił się do skały, drżąc na całym ciele niczym liść miotany burzą.

– Posłuchaj, utknąłeś – odezwał się Jack, próbując przyciągnąć jego uwagę.

Widywał to wiele razy u marynarzy na pokładzie Alexandrii. Ich umysł zamierał ze strachu, a ciało odmawiało posłuszeństwa. Ogarniały ich mdlące zawroty głowy, aż w końcu puszczali olinowanie i spadali do oceanu lub – co gorsza – na pokład.

Jack zrozumiał, że Yamato pozostało niewiele sił i musi go szybko sprowadzić w dół.

– Pozwól sobie pomóc. Przesuń prawą stopę...

– Nie mogę – zaprotestował Yamato słabym głosem.

– Możesz. Zwyczajnie opuść stopę i postaw ją na tym niewielkim występie poniżej.

– Nie, nie mogę... nie sięgnę...

– Ależ sięgniesz. Zaufaj mi, potrafisz to zrobić.

– Czemu właściwie ci na tym zależy? Ukradłeś mi ojca! – rzucił Yamato napastliwie, kiedy przypływ gniewu przełamał jego odrętwienie.

– Ukradłem ci ojca? – powtórzył Jack zaskoczony.

– Tak! Zanim się zjawiłeś, wszystko było w porządku. Nareszcie zaczął mnie akceptować. Nie byłem już w cieniu Tenny. A ty go ukradłeś...

– Nie ukradłem ci ojca. Sam mnie adoptował! Nie miałem żadnego wyboru.

– Miałeś. Mogłeś umrzeć z resztą swojej załogi! – odparł Yamato z niepohamowaną nienawiścią.

– Cóż, gdyby nie ja, zginąłbyś z ręki tamtego wojownika ninja! – odparował Jack.

– Właśnie o tym mówię. Zginąłbym z honorem jak mój brat. Ale ty się wmieszałeś i mnie ocaliłeś! Straciłem przez ciebie twarz!

– Wy Japończycy i wasza duma! – krzyknął Jack zirytowany. – O co chodzi z tą „twarzą”? Uratowałem ci życie. Byliśmy... przyjaciółmi. Gdybym chciał mieć Masamoto za ojca, pozwoliłbym ci wtedy zginąć. Nie chcę twojego ojca. Chcę mojego, ale on nie żyje!

– Cóż, może ja też powinienem nie żyć! – odparł posępnie Yamato, spoglądając na majaczące pod wodą skały w dole. – Zdobyłeś miecz. Zyskałeś całą chwałę. Teraz ojciec nigdy mnie nie przyjmie. Zdradziłem go. Czy chcesz, czy nie, Masamoto jest twoim ojcem!

I rzucił się w przepaść.

39

Przeprosiny

– Nie! – krzyknął Jack, próbując go pochwycić, lecz Yamato zniknął w białej, spienionej zasłonie wodospadu.

Chłopiec zsunął się po skalistym zboczu i przeskoczył z powrotem na *butai*. Przecisnął się obok kilku pielgrzymów zebranych na drewnianym pomoście, zaintrygowanych tym, co się stało.

– Czy ktoś go widzi? – dopytywał się natarczywie, wpatrując się nad balustradą w spienioną wodę w dole.

– Nie. Wpadł pod wodospad. Jeszcze nie wypłynął – wyjaśnił jeden z pielgrzymów, przyglądając mu się podejrzliwie.

– Pewnie uderzył o skały – dodał inny.

Jeszcze kilka osób wynurzyło się z Hondo i podbiegło popatrzeć.

– Zaraz! Jest tam! – krzyknął któryś z nich, wskazując kamienisty basen.

Yamato wynurzył się na chwilę, chwytając powietrze, lecz natychmiast został porwany przez prąd i wciągnięty pod powierzchnię.

– Hej, ten chłopak ma Jadeitowy Miecz! – zawołał jeden z mnichów, którzy nadeszli z wewnętrznego sanktuarium Hondo. – Trzymajcie go!

Jack spojrzał nad balustradą. Ocenił, że *butai* znajduje się co najmniej tak wysoko jak reja na Alexandrii, lecz widywał marynarzy spadających do oceanu z większej wysokości bez szkody dla siebie. Czy uda się i jemu?

– Zatrzymajcie go! On ma miecz! – zagrzewał gapiów mnich.

Nie zastanawiając się dłużej, Jack skoczył z *butai*.

Powietrze zaświszczało mu w uszach i przez krótką chwilę poczuł się nieważki, niemal spokojny. Mignął mu widok otoczonego mgiełką Kioto, po czym wpadł w lodowatą wodę.

Uderzenie wycisnęło mu całe powietrze z płuc i połknął kilka haustów wody. Mocno pracując nogami, by zrównoważyć ciężar miecza, wynurzył się. Kilka razy zwymiotował, zanim doszedł do siebie.

Rozejrzał się za Yamato, ale nigdzie go nie widział. Nabrał parę haustów powietrza do płuc i zanurkował we wzburzonej wodzie.

Płynął w stronę wodospadu, lecz wciąż nie widział Japończyka. W mętnej wodzie majaczyły skały, wiry próbowały pochwycić chłopca i zatrzymać na zawsze w głębinie.

Czuł, że lada moment pękną mu płuca i już miał się wynurzyć, gdy coś gładkiego musnęło go po ręce. Nie patrząc, chwycił to coś i przyciągnął do siebie. Objął ramieniem bezwładny ciężar i wiosłując obiema nogami, pociągnął go w górę.

Wynurzyli się równocześnie, lecz niemal natychmiast prąd poniósł ich brzegiem skalnego basenu, a potem zostali porwani przez wzburzoną rzekę.

Jack słyszał nawoływania, kiedy wśród bystrzyn próbował utrzymać nad powierzchnią siebie, Yamato i miecz. Woda rwała wąwozem w dół, nieustępliwie wlokąc ze sobą obu chłopców; siły szybko opuszczały Jacka, kiedy próbował dopłynąć do brzegu. Znajdowali się teraz daleko od Hondo; świątynia zniknęła im z oczu, minęli zakręt rzeki, lecz na szczęście prąd się nieco uspokoił i chłopiec cudem zdołał dotrzeć na ląd. Ostatkiem sił wyciągnął na brzeg bezwładne ciało Yamato.

Padł obok niego i chwilę leżał, chwytając powietrze niczym ryba wyrzucona na brzeg w prażącym słońcu. Kiedy doszedł do siebie, pomyślał mgliście, czy nie odnalazł Yamato za późno, by go uratować, zaraz jednak usłyszał, jak chłopak parska głośno i wypluwa wodę po odzyskaniu przytomności.

– Daj mi umrzeć – jęknął, odgarniając z oczu mokre włosy.

– Nie, jeśli zdołam cię uratować – wydyszał Jack.

– Czemu? Nigdy nie okazałem ci życzliwości.

– Mamy być braćmi. A przynajmniej tak nakazał twój ojciec, prawda? – odparł Jack z ironicznym uśmiechem. – Poza tym nauczyłeś mnie walczyć bokkenem.

– No to co?

– Pomogłeś mi zrozumieć, że nie jestem bezradnym gaijinem – wyjaśnił, pozwalając, by obraźliwe określenie zawisło w powietrzu między nimi.

Yamato popatrzył na niego zdziwiony.

– A kiedy niby byłeś bezradny?

– Gdy zginął mój ojciec. Nie potrafiłem go ocalić. Byłem bezbronny wobec takich umiejętności – wyznał chłopiec. – Smocze Oko zaśmiał mi się w twarz, kiedy próbowałem go zaatakować. Ty

mi pokazałeś drogę wojownika. Dałeś mi powód, by żyć, i za to jestem ci wdzięczny.

– Nie rozumiem cię, gai... Jack – zaczął Yamato, siadając i obejmując głowę dłońmi. – Ignorowałem cię i gardziłem tobą, a jednak kiedy ninja próbował mnie zabić, rzuciłeś się na niego bez wahania. Z honorem i odwagą. Ja bym tak nie zrobił. Postąpiłeś jak brat. Jak samuraj.

– Zrobiłbyś to samo.

– Nie... nie zrobiłbym – odparł Yamato i przełknął z wysiłkiem ślinę, jakby słowa zmieniły się w jego gardle w kamienie. – Tamtego wieczoru, kiedy widziałem, jak Kazuki cię pobił, bałem się za bardzo, by uczynić cokolwiek. Wiedziałem, że jest lepszy ode mnie. On też wiedział. Nie miałem odwagi go zaatakować...

Odwrócił głowę, lecz Jack widział, że chłopak ociera oczy grzbietem dłoni i drży od tłumionego szlochu.

– Bliźniacy Seto... znowu obawiałem się za bardzo, by ci pomóc. Nie chciałem, żeby mnie przezywali miłośnikiem gaijinów. A później zbyt się wstydziłem, żeby zostać twoim przyjacielem. Zasługiwałeś na kogoś lepszego niż ja. To był prawdziwy powód. Przepraszam...

Jack nachylił się do niego z nierozumiejącym wyrazem twarzy.

– Nie pojmuję. Za co mnie przepraszasz?

– Pokazałeś mi moje prawdziwe ja i nie spodobało mi się to, co zobaczyłem. Ojciec miał rację. Nie jestem godzien zostać samurajem, nie mówiąc już o byciu Masamoto. Jesteś jego synem bardziej niż ja. Nie ukradłeś mi ojca. Sam go straciłem.

– Nie bądź idiotą, Yamato. Nie straciłeś go. Nie jest martwy jak mój – rzekł Jack dobitnie. – Masamoto może i jest wściekły, ale

nie ma powodu wstydzić się ciebie. Nie po tym, jak dzisiaj walczyłeś. A co do skrupułów za przeszłość, zapomnij. Kazukim nie warto sobie zawracać głowy. To zadufany, nadęty prosiak z gębą jak tyłek psa akita!

Wyszczerzył zęby do Yamato, który w odpowiedzi uśmiechnął się blado.

– Poza tym teraz mnie przeprosiłeś. Czy to nie znaczy, że odzyskałeś twarz?

– Chyba tak, ale...

– Żadnych ale. Ja codziennie muszę przepraszać Akiko za taką czy inną wpadkę! Nauczyła mnie wszystkiego o japońskim przebaczaniu. Wybacza mi za każdym razem, więc teraz ja wybaczam tobie. Będziemy przyjaciółmi? – zakończył, wyciągając rękę.

– Dziękuję, Jack – odparł Yamato, ze skrępowaniem potrząsając jego dłonią wedle angielskiego zwyczaju. – Ale wciąż nie rozumiem, czemu mi wybaczasz.

– Yamato, masz wszelkie powody, żeby mnie nie lubić. Ja byłem wściekły, kiedy Jess się urodziła i mój ojciec zaczął się zajmować tylko nią. A to moja mała siostra! Ciarki mnie przechodzą na myśl, co by było, gdyby ojciec adoptował jakiegoś małego Francuza! – zawołał Jack i aż się skrzywił na samą myśl. – Nie winię cię, że jesteś wściekły. Ale to nie na mnie powinieneś się złościć, tylko na Dokugana Ryu. Gdyby nie zabił Tenny i mojego ojca, nie siedzielibyśmy tu teraz, na wpół utopieni, ze skradzionym Jadeitowym Mieczem w garści!

Nagle do obu dotarła absurdalność ich położenia i wybuchnęli śmiechem. Skrępowanie zniknęło, jakby zmyte wodami

wodospadu Szelest Piór.

Kiedy skończyli się śmiać, siedzieli w milczeniu, rzucając kamienie do rzeki, niepewni, co powiedzieć i robić dalej.

– Lepiej wracajmy – odezwał się w końcu Yamato. – Słońce niedługo zajdzie, a Niten Ichi Ryū powinna się dowiedzieć o swoim zwycięstwie.

– Ty go nieś – oznajmił Jack, odwiązując Jadeitowy Miecz i wręczając go Japończykowi.

– Czemu ja? To ty go zdobyłeś.

– Owszem, ale twój ojciec nie musi się o tym dowiedzieć, prawda?

40

Pozostać na ścieżce

Jack i Yamato razem wbiegli do Sali Buddy.

Uczniowie szkoły Yagyu oszaleli, widząc, że ich przedstawiciel niesie Jadeitowy Miecz. Kamakura nadął się z dumy i poprawił uroczysty strój, gotowy do przyjęcia miecza oraz zwycięstwa.

Masamoto ze skrzyżowanymi nogami siedział obok na podwyższeniu. Wyraz jego twarzy, obojętny i poważny, nie wyrażał prawdziwych uczuć, bo kiedy Yamato wszedł do Sali Buddy z mieczem, zdawało się, jakby samuraja zastąpiła naturalnej wielkości figura z masy papierowej – pusta skorupa pozbawiona życia.

Wiwaty ścichły do pełnego szacunku szmeru, kiedy obaj chłopcy podeszli do podwyższenia i się ukłonili.

Akiko i Saburo klęczeli po prawej stronie, Raiden i Moriko po lewej. Akiko uśmiechnęła się smutno, wyraźnie ucieszona, że widzi Jacka w jednym kawałku, lecz zarazem przygnębiona porażką. Yamato wystąpił naprzód z mieczem w dłoni. Kamakura przygotował się na przyjęcie daru.

Jack długo musiał przekonywać Japończyka do wzięcia miecza, aż ten w końcu się zgodził, że będzie to najlepszy sposób na pogodzenie z ojcem. Jack niewiele dbał o zaszczyt zwycięstwa w Taryu-Jiai. Masamoto okazał mu wielką życzliwość, przyjmując do rodziny. Chłopiec nie chciał być powodem, dla którego ta rodzina miałaby się rozpaść.

Yamato ukłonił się raz jeszcze i ukląkł na jedno kolano, unosząc Jadeitowy Miecz nad głową w obu dłoniach. Kamakura sięgnął, by oficjalnie przyjąć dar i przypieczętować swój triumf w Taryu-Jiai, zanim jednak zdążył położyć na nim ręce, Yamato obrócił się i wręczył miecz Masamoto.

– Ojcze, proszę o wybaczenie i przekazuję ci dowód sprawiedliwego zwycięstwa Niten Ichi Ryū. Nie ja zdobyłem miecz. To był Jack.

W sali zapadła pełna zmieszania cisza.

Jack aż otworzył usta ze zdziwienia. Nie tak się umawiali. Owszem, Yamato miał wręczyć miecz Masamoto, lecz nie powinien mówić, że to Jack go zdobył. Chwała miała przypaść jemu. To dowód, jakiego potrzebował Masamoto, że Yamato zasługuje, by zostać samurajskim wojownikiem; że jest godzien należeć do rodu ojca.

Akiko oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia spojrzała na kłaniającego się Yamato, a potem na Jacka, który kręcił głową w milczącym proteście.

Masamoto posłał synowi podejrzliwe spojrzenie.

– Czy to prawda?

– Tak, ojcze. Lecz nalegał, żebym to ja ci go wręczył.

Ignorując protesty Jacka, Masamoto skinął raz głową, rozstrzygając sprawę. Wstał i wziął miecz z wyciągniętych rąk syna.

– Szkoła Niten Ichi Ryū zostaje uznana za zwycięzcę Taryu-Jiai! – ogłosił równie zbity z tropu urzędnik dworu cesarskiego.

Sala Buddy wybuchnęła kakofonią wiwatów ze strony Niten Ichi Ryū. Od strony Yagyu Ryū dobiegły hałaśliwe protesty; Raiden z wściekłością tupnął w podłogę, Moriko obnażyła czarne zęby, sycząc z niechęcią na Akiko. Twarz Kamakury poczerwieniała z furii; gardło zatrzęsło mu się, jakby się zadławił wielką żabą.

– To oburzające! – krzyknął w końcu, popychając urzędnika na podłogę. – Oburzające!

Skłonił się krótko Masamoto i wypadł jak burza z sali, a jego samuraje w ślad za nim. Urzędnik podniósł się i poprosił o ciszę. Kiedy hałas w końcu umilkł, oddał głos Masamoto.

– Uczniowie Niten Ichi Ryū! – zaczął samuraj i uroczyście zamachnął się Jadeitowym Mieczem i unosząc go w bohaterskim salucie. – Dzisiaj zobaczyliśmy, co to znaczy być samurajem z naszej szkoły!

Rozległy się wiwaty. Masamoto podniósł wolną rękę, by uciszyć zebranych, zszedł z podwyższenia i zbliżył się do Jacka.

– Na początku roku powiedziałem, że każdy młody samuraj musi pokonać własne ja, znieść wyczerpujące ćwiczenia i rozwinąć w sobie niezłomnego ducha. Ten oto chłopiec, Jack-kun, jest tego dowodem. Dzisiaj walczył z męstwem i odwagą. Pokonał wroga i zdobył nagrodę dla naszej szkoły!

Zabrzmiały kolejne okrzyki, głośniejsze niż poprzednio.

– Lecz *bushido* to nie tylko sprawa odwagi i honoru. A jego celem nie jest walka i wojenne rzemiosło. Choć mogą być koniecznymi etapami na waszej drodze, nie są przeznaczeniem. Prawdziwą istotą *bushido* jest prawość, uczynność i wierność.

Masamoto zwrócił się do Yamato i położył dłonie na ramionach syna.

– Yamato-kun zademonstrował tę właśnie istotę. Wyznanie prawdy w obecności tak wielu ludzi stanowi przejaw niezwykłej odwagi. Może większej niż zdobycie Jadeitowego Miecza.

Uniósł w powietrze lśniący oręż i uczniowie zawołali raz jeszcze.

– Yamato-kun, odpowiedziałeś na moje pytanie – ciągnął, spoglądając na syna z czułością, jakiej Jack nie widział nigdy wcześniej. – Kazałem ci wyjaśnić, co to znaczy być Masamotą. To, co właśnie pokazałeś, jest prawdziwym duchem naszego rodu. Okazałeś honor i szacunek Jackowi-kunowi, drugiemu samurajowi. Okazałeś prawość. Prawdziwie jesteś Masamoto. Przyjmuję twoje przeprosiny po stokroć i błagam, byś wrócił do Niten Ichi Ryū.

Przykląkł na jedno kolano, by znaleźć się na jednej wysokości z Yamato.

Jack nie wierzył własnym oczom, lecz sądząc po wyrazie twarzy Akiko, ona również była zaskoczona. Mimo wszystkiego, co się wydarzyło, Masamoto oficjalnie i publicznie przyjmował syna. Doniosłość tej chwili nie umknęła pozostałym uczniom i w pełnej szacunku ciszy skłonili się Masamoto i Yamato.

Ojciec i syn wymienili ukłony.

– *Bushido* to nie podróż, którą można podejmować lekkomyślnie – oznajmił Masamoto, wstając. – Mówiłem wam, że droga

wojownika trwa całe życie, mistrzostwo zaś polega jedynie na tym, by na niej pozostać. Uczniowie Niten Ichi Ryū: nie opuszczajcie drogi!

Sala Buddy zadrżała od żarliwych wiwatów.

41

Gion Matsuri

Mały chłopiec w sztywnej białej szacie i czarnym kapeluszu mnicha *shinto* uniósł nad głowę krótki miecz wakizashi i uderzył ze wszystkich sił.

Jednym ciosem przeciął linę i święto Gion Matsuri się rozpoczęło.

– To niewiarygodne! Nigdy nie widziałem nic podobnego! – entuzjazmował się Jack.

Mijała go niekończąca się procesja olbrzymich, drewnianych platform ozdobionych gobelinami i kolumnami, na których zawieszono kuliste białe latarnie podobne do żagli wznoszących się w niebo. Niektóre nieśli na ramionach mężczyźni; największe, o rozmiarach rzecznych łodzi, na których siedziały pięknie ubrane gejsze o białych twarzach, umieszczono na drewnianych kołach i ciągnięto po ulicach.

Kiedy pierwsza platforma zbliżyła się do skrzyżowania, ciągnący ją mężczyźni zaczęli głośno śpiewać: *Yoi! Yoi! Yoi to sei!* [41] do wtóru wielkich bębnów *teiko* umieszczonych w jej górnej

części. Cała konstrukcja poczęła się obracać i po chwili zniknęła za rogiem niczym olbrzymi, obwieszony klejnotami smok.

– Z jakiej okazji jest to święto? – zawołał Jack, przekrzykując hałas.

– To rytuał oczyszczenia – wyjaśniła Akiko, stojąca tuż obok w szmaragdowym kimonie w barwne chryzantemy. – Siedemset lat temu przez Kioto przeszła zaraza, Matsuri ma chronić przed jej powrotem.

– My też mieliśmy zarazę w Anglii – powiedział Jack. – Nazywali ją czarną śmiercią[42].

Tłum wokół nich parł naprzód, ludzie przepychali się, chcąc zająć najlepsze miejsca, by oglądać przejeżdżające platformy. W ścisku do Jacka, Akiko i Yamato przyłączyła się Emi z dwojgiem przyjaciół.

– Jak się dziś miewa nasz zwycięski samuraj? – przywitała Jacka i poruszając czerwonym papierowym wachlarzem, manewrowała tak, by się wślizgnąć między niego a Akiko. Akiko ściągnęła brwi na to niespodziewane wtargnięcie.

– Świetnie, dzięki! – odparł Jack. – Wspaniałe święto...

– Chodźcie! – zawołał Yamato, widząc niezadowolenie dziewczyny. Chwycił Jacka za rękę. – Znam lepsze miejsce.

– Przykro mi, muszę iść. Może zobaczymy się później?! – zawołał Jack, machając rozczarowanej Emi, kiedy Yamato i Akiko ciągnęli go na tyły zbiegowiska, gdzie zastali czekających Saburo, Yoriego i Kiku.

– Proszę, spróbuj tego! – zawołał na powitanie Saburo i podsunął Jackowi niewielkie ciasteczko w kształcie ryby.

– Co to jest? – spytał chłopiec, patrząc nieufnie.

– *Taiyaki*... – wyjaśnił Japończyk z pełnymi ustami.

– Później. Mamy całe popołudnie na jedzenie – przerwał Yamato. – Musimy wyprzedzić procesję, jeśli chcemy wszystko zobaczyć. Za mną!

Poprowadził ich uliczką na tyłach, a potem labiryntem wąskich, opuszczonych zaułków, z których wynurzyli się na główny bulwar przed pałacem cesarskim.

Zgromadziły się tam już setki ludzi; ulicę otaczały stragany, gdzie sprzedawano dziwaczne słodycze, szaszłyki z pieczonego kurczaka, senchę i ogromny wybór świątecznych akcesoriów, od jaskrawych papierowych wachlarzy po przerażające maski z masy papierowej, przygotowane na wieczorne obchody.

– Patrz! Nie mówiłem, Jack? Stąd zobaczymy całą procesję! – chwalił się przejęty Yamato, przeciskając do przodu.

Od zwycięstwa w Taryu-Jiai poprzedniego dnia i pojednania z ojcem był odmieniony. Nie zachowywał się już z powagą, nie odnosił z chłodem do Jacka. Prawdę mówiąc, posunął odnalezioną przyjaźń tak daleko, że stał się niemal osobistym strażnikiem chłopca, gotowym rzucić wyzwanie każdemu, kto by go nazwał gaijinem.

Co prawda mało kto miał na to ochotę. Wraz z Akiko i Saburą, Jack i Yamato zostali bohaterami szkoły. Tylko Kazuki i jego poplecznicy wciąż zachowywali się wobec Jacka wrogo, trzymali się jednak z dala, podczas gdy wszyscy pozostali świętowali zwycięstwo szkoły nad Yagyu Ryū.

– Patrzcie! – zawołała Kiku. – Tam jest Masamoto!

– Dokąd on idzie? – spytał Jack.

– Na spotkanie z cesarzem, oczywiście! – wyjaśniła Kiku z lękliwym szacunkiem. – Z naszym żyjącym Bogiem.

– Może i zwyciężyłeś w Taryu-Jiai – wyjaśniła Akiko – ale to Masamoto jako założyciela Niten Ichi Ryū spotkał zaszczyt spotkania cesarza twarzą w twarz.

Masamoto, z Jadeitowym Mieczem w ręce i otoczony przez senseia Yamadę, senseia Kyuzo, senseia Hosokawę oraz sensei Yosę w strojach ceremonialnych, minął olbrzymią bramę pałacu cesarskiego i zniknął za wysokimi, ziemnymi murami.

Jack zastanawiał się, jak by to było spotkać „żyjącego Boga".

Reszta popołudnia upłynęła im na oglądaniu parady, gejsz i muzyków, a zarazem zapoznawaniu Jacka z bogactwem dziwacznych japońskich przekąsek. Saburze najwyraźniej sprawiało wielką radość eksperymentowanie ze zmysłem smaku cudzoziemca, bo karmił go niemal siłą ze zmiennymi efektami. Jackowi smakowały *takoyaki*, pączki z ciasta naleśnikowego z imbirem i smażoną ośmiornicą, lecz *obanyaki*, twarde okrągłe ciasteczka z kremem waniliowym uznał za mdląco słodkie. Kiedy wędrowali ulicami, Saburo wciąż podsuwał Jackowi rozmaite smażone specjały.

– Te nazywają się *okonomiyaki*. To znaczy „usmaż to, co chcesz i kiedy chcesz" – wyjaśniła Akiko, patrząc z dezaprobatą, jak Jack pochłania czwarte ciastko z kolei – ale ja bym im nie dowierzała. Nigdy nie wiadomo, co kucharz do nich wrzuci!

– Szybko, chodźcie tutaj! – zawołał Yamato, gestem przywołując ich do jakiegoś straganu w bocznej uliczce. – Mają tu najlepsze maski, jakie dotąd widziałem!

– Proszę, Jack, ta będzie w sam raz dla ciebie – zażartował Saburo, podając przyjacielowi podobiznę szkaradnego czerwonego demona z czworgiem oczu i metalicznymi złotymi zębami. – Zyskasz na urodzie!

– Hm, biorąc pod uwagę, jak walczysz, powinieneś wybrać tę! – odparował Jack, wskazując pomarszczoną, zapadniętą twarz starej kobiety.

– Ha, ha! – burknął Saburo bez humoru, lecz mimo to ją kupił. – Co powiesz na tę, Yamato?

– Owszem, czemu nie? Ma charakter – odparł chłopak, przyglądając się uważnie złotej masce szaleńca z czarnymi włosami jak kolce.

– A ty, którą zamierzasz wybrać, Akiko? – spytał Jack.

– Myślałam o tej – powiedziała, wskazując czerwono-złotego motyla.

– Tak, wyglądałabyś w niej uroczo... – zaczął, lecz urwał nagle, widząc zdziwienie na twarzach Saburo i Kiku na ten nieoczekiwanie czuły komplement.

– Cóż... ładniejsza niż tamta... przedstawiająca psa akitę – dokończył niezręcznie i lekceważąco machnął ręką.

– Dziękuję – uśmiechnęła się wdzięcznie i zwróciła do sprzedawcy.

Jack poczuł ulgę, że dziewczyna się odwróciła, bo pozwoliło mu to ukryć rumieniec. Zauważył go jednak Yamato i znacząco uniósł brwi.

Wkrótce po zachodzie słońca na platformach zapalono latarnie, a Kioto przemieniło się w zaczarowany rajski ogród. Latarnie unosiły się nad ulicami niczym ogromne chmury, oświetlone od

środka przez maleńkie słońca. Wszyscy włożyli maski i miasto rozbrzmiało muzyką i zabawą.

Wiele platform stanęło w miejscu, gdyż niosący je mężczyźni zaczęli pić saké z wielkich butli i nie minęło wiele czasu, a na każdym rogu dało się słyszeć odgłosy hulanki.

Kiedy Jack, Akiko i Yamato oraz pozostali wracali na główny bulwar, chcąc zobaczyć pokaz sztucznych ogni, minęła ich grupa pijanych samurajów, zmuszając Jacka, by im ustąpił z drogi.

Zderzył się z ubranym na czarno mężczyzną w hebanowej masce diabła z dwoma ostrymi różkami i małą białą czaszką wyrzeźbioną pośrodku czoła.

– Z drogi! – syknął diabeł.

Chłopiec spojrzał uważniej przez otwory we własnej masce i zamarł.

Zirytowany mężczyzna pchnął go na bok i pośpieszył ulicą, a potem skręcił w wąski zaułek.

– Wszystko w porządku? – spytała Akiko, podbiegając do Jacka.

– Chyba... właśnie widziałem Smocze Oko!

---

[41] Yoi... (jap.) – Onomatopeja dodająca animuszu przy zbiorowym wysiłku. Nie ma polskiego odpowiednika.

[42] Epidemia dżumy, która w XIV w. spustoszyła Europę – w jej wyniku śmierć poniosło ok. 1/3 ludności (przyp. tłum.).

42

Dokugan Ryu

– Musiałeś się pomylić. Dokugan Ryu nigdy by się nie ośmielił pokazać na święcie – przekonywała dziewczyna, kiedy biegli zaułkiem w ślad za czarnym diabłem.

– Na pewno go widziałem – upierał się Jack. – Miał tylko jedno oko i było zielone! Ilu znasz Japończyków mających tylko jedno zielone oko?

– Jednego – zgodził się Yamato.

– Właśnie. Modlę się jedynie, by mnie nie poznał. – Jack w biegu zdjął maskę. – Dokąd prowadzi ta uliczka?

Lecz zanim Yamato zdążył odpowiedzieć, minęli róg i znaleźli się przez zamkiem Nijo. Stali obok jednego z bocznych wejść, niewielkiej furtki, do której prowadził wąski most nad fosą.

– Myślisz, że ten twój ninja wszedł do zamku? – spytał Saburo niespokojnie.

– Nie ma innej możliwości – odparł chłopiec, rozglądając się po pustej ulicy. – Gdzie się wszyscy podziali?

– Pewnie oglądają sztuczne ognie przed pałacem cesarskim – wyjaśniła Kiku.

Jack lustrował ciemności, szukając jakiegoś śladu Smoczego Oka. Nie dostrzegł żadnego ruchu. I na tym polegał problem.

– Gdzie są straże? – zapytał. – Myślałem, że tu mieszka ojciec Emi. Czy Takatomi nie jest *daimyo* Kioto? Z pewnością powinien mieć straże przy wszystkich wejściach?

– Owszem, ale dzisiaj jest Gion Matsuri – wyjaśnił Yori. – Bierze udział w uroczystościach, podobnie jak większość strażników.

– Oczywiście! Trudno o lepszą okazję dla wojowników ninja, żeby wejść do zamku! – zawołał Jack.

– Ale po co miałby tam wchodzić? – zapytała Kiku.

– Kto wie – odparł, wzruszając ramionami. – Założę się, że nie po to, by oglądać sztuczne ognie. Chodźcie! Zobaczmy, co zamierza, i powstrzymajmy go.

– Przecież to ninja! – zaprotestował Saburo.

– A my jesteśmy samurajami!

Jack przeciął ulicę i podbiegł do mostku. Po chwili wahania pozostali przyłączyli się do niego; Saburo wlókł się z ociąganiem na końcu.

– Saburo, lepiej zostań na straży z Yorim! – polecił Jack ku widocznej uldze chłopca.

Pozostała czwórka ostrożnie podeszła do bramy wąskim mostem.

– Myślisz, że będzie otwarta? – zapytała Akiko. – A jeśli wspiął się przez mur?

– Można to sprawdzić tylko w jeden sposób – odparł i pchnął ciężkie drewniane drzwi.

Otwarły się bez oporu.

Zajrzał w atramentowy mrok. Nie widział nic. Wziął głęboki oddech, przygotowując się na zasadzkę, i szybko wślizgnął się do wnętrza.

Zrobił zaledwie dwa kroki, gdy naraz zawadził o coś nogą i runął twarzą na kamienie.

– Jack, wszystko w porządku? – zapytała Akiko, zaniepokojona jego stłumionym stęknięciem z bólu.

– Tak, jasne – szepnął w odpowiedzi. – Możecie wejść. Potknąłem się o strażnika, to wszystko. Nie żyje.

Zastali go klęczącego nad ciałem samuraja.

– Za drzwiami jest jeszcze jeden – powiedział.

Kiku wydała stłumiony okrzyk na widok bezgłowych zwłok drugiego mężczyzny.

– Wygląda na to, że zabili go jego własnym mieczem – zauważył Yamato. Akiko przytuliła do siebie Kiku.

– Wracaj do pozostałych – poleciła stanowczym szeptem. – Niech zaalarmują Masamoto i powiedzą mu, co tu się stało.

Kiku kiwnęła bez słowa, ominęła bezgłowego samuraja i wymknęła się przez drzwi, a potem pobiegła w stronę pałacu cesarskiego.

– Co teraz? – zapytał Yamato.

– Znajdziemy go i powstrzymamy! – oznajmił Jack ze złowieszczą determinacją.

Zaczął się uważnie rozglądać po dziedzińcu, wypatrując jakiegokolwiek ruchu.

– Albo znajdźmy strażnika, który pozostał przy życiu, żeby wszczął alarm – zaproponowała Akiko, którą pomysł Jacka zaniepokoił.

– Za późno na to – odparł, wskazując czarny cień, ledwie widoczny na tle blanków. – Tam jest Dokugan Ryu! Przy ścianie w głębi dziedzińca.

Rozejrzał się i spostrzegł na ziemi katanę pozbawionego głowy samuraja. Chwycił zakrwawiony miecz i rzucił się w kierunku Smoczego Oka, pozostawiając zaskoczonych Yamato i Akiko.

– To szaleństwo! – zawołała dziewczyna. – Przecież zginie!

– Nie, jeśli zdołam temu zapobiec – odparł Yamato, przepatrując ciemności w poszukiwaniu katany drugiego strażnika.

– Przecież żaden z was nie używał wcześniej prawdziwego miecza!

– Nie szkodzi. Kto umie się posługiwać bokkenem, z pewnością bez trudu da sobie radę z kataną. Ach, mam go – dodał, odkrywszy drugi miecz porzucony za budką strażników. – Chodź! Jack jest już po drugiej stronie.

– Doskonale! Zostawcie mnie z krótkim mieczem, czemu nie? – burknęła Akiko, zabrała wakizashi najbliższemu martwemu samurajowi i pobiegła za oddalającym się Yamato.

Jack znalazł się już pod zamkowym murem, gdy dostrzegł Smocze Oko, kryjącego się w mroku. Ninja zmierzał ku pięciu budynkom tworzącym główną część zamku. Widząc, jak bogato są zdobione, Jack wywnioskował, że to pałac Takatomich.

Smocze Oko jeszcze nie zauważył chłopca; zbyt był zajęty obserwowaniem drogi przed sobą.

To była szansa Jacka.

Przesunął katanę w dłoniach, poprawiając uchwyt. Miecz wydawał się znacznie cięższy od bokkena. Chłopiec musiał pamiętać, by nie opuścić *kissaki* i nie wystawić się na cios.

Podkradł się bliżej; Smocze Oko wciąż nie był świadom jego obecności.

Kiedy znalazł się w odległości dziesięciu kroków od ninja, tłumiony gniew i ból po śmierci ojca wezbrały niczym lawa i eksplodowały we wnętrzu Jacka.

Teraz wybiła godzina! Dokugan Ryu nareszcie zapłaci za śmierć jego ojca!

Zawahał się jednak.

Nie mógł tego zrobić.

– Nigdy się nie wahaj! – syknął Dokugan Ryu, wciąż zwrócony do niego plecami.

Zawirował w miejscu i w ciemności błysnął srebrny shuriken.

– Uważaj! – krzyknął Yamato, zasłaniając Jacka własnym ciałem.

Pocisk zagłębił się w jego piersi. Yamato osunął się na ziemię, na kamienny dziedziniec trysnęła krew.

Jackowi z furii poczerwieniało w oczach. Krzycząc, ile sił w płucach, natarł na Smocze Oko z wysoko uniesionym mieczem i ciął wroga ze wszystkich sił.

Smocze Oko wyciągnął z *saya* na plecach *ninjatō* i gładko odbił ostrze chłopca. Potem skontrował poprzecznym cięciem na wysokości jego brzucha.

Jack przewidział ruch i go zablokował. Natychmiast zaatakował sam, mierząc z dołu w twarz Smoczego Oka. Ninja jednak odchylił

się i wywinął salto, by uniknąć wznoszącej się klingi. W locie kopnął Jacka w dłonie, wytrącając mu miecz. Wylądował dokładnie w chwili, gdy katana chłopca z brzękiem potoczyła się po ziemi, pozostawiając go nieuzbrojonego i bezbronnego.

– Jak na gaijina zrobiłeś postępy, młody samuraju! – oznajmił ninja z nieudawanym szacunkiem. – Pewnego dnia może naprawdę staniesz się godzien walki. Dzisiaj jednak mam inną misję, więc wracaj do domu jak grzeczny chłopiec!

– Nie mam domu. Zabiłeś mi ojca. Pamiętasz?! – ryknął Jack ze wściekłością. – Zamordowałeś go też z powodu jakiejś misji?

– Nie poddasz się, prawda? – syknął z irytacją ninja. – Miejmy nadzieję, że zdołasz przeżyć bez prawej ręki!

Uniósł ninjatō i zamachnął się z zamiarem spełnienia groźby.

Z głębi nocy niczym spadająca gwiazda nadleciał wakizashi Akiko i wirując, pomknął w stronę Dokugana Ryu. W ostatnim momencie ninja odruchowo się uchylił; jego miecz o włos minął ramię Jacka. Wakizashi trafił wojownika w bok, lecz choć ostrze wbiło się głęboko, ninja nie wydał dźwięku. Zatoczył się lekko i spojrzał na sterczącą mu z boku broń.

– Od kogo się tego nauczyłaś? Od Masamoto? – warknął z niesmakiem do dziewczyny, która stanęła u boku Jacka.

Ostrożnie wyciągnął zakrwawione ostrze, patrząc na nich prowokacyjnie. Potem obrócił krótki miecz w dłoni i już go miał posłać w stronę bezbronnej teraz Akiko, kiedy główna brama rozwarła się gwałtownie i na dziedziniec wpadł Masamoto ze swymi samurajami niosącymi płonące pochodnie.

– Rozproszyć się! – rozkazał Masamoto. – Znaleźć ich i zabić ninja!

– Innym razem, gaijinie! – syknął Smocze Oko. – Wciąż pamiętam o rutterze.

Upuścił wakizashi i wspiął się po zamkowym murze niczym groźny czworonogi pająk, a potem rozpłynął się w mroku.

W dali rozbłysły sztuczne ognie i barwne iskry posypały się jak deszcz meteorów z nocnego nieba.

43

Kendo – droga miecza

– Jak sądzimy, Dokugan Ryu został wysłany, by otruć *daimyo* Takatomiego – wyjaśnił Masamoto następnego wieczoru w Hō-oh-no-ma, Sali Feniksa.

Siedział na podwyższeniu na tle wspaniałego płonącego ptaka. Sensei Kyuzo i sensei Yosa zajmowali miejsca po jego lewej, sensei Hosokawa i sensei Yamada po prawej stronie.

Jack klęczał na niższym poziomie między Akiko a obandażowanym Yamato. Na szczęście shuriken nie był zatruty i choć Yamato miał głęboką ranę na piersi, nic poważniejszego mu nie zagrażało.

– Ale kto go wysłał? – zapytał Jack.

Masamoto napił się senchy i spojrzał z namysłem na czarkę.

– Tego nie wiemy. Być może to zwiastun tego, co nas czeka – odparł poważnie. – Dlatego *daimyo* Takatomi zwiększył osobistą straż i zarządził, by w zamku wprowadzono nowe środki bezpieczeństwa. Przysyła przeprosiny, że nie mógł tu przyjść dzisiejszego wieczoru. Został wezwany do Edo. Jest jednak pełen

podziwu dla waszych wysiłków, by powstrzymać wojownika ninja. Prosił, bym wam to przekazał jako dowód jego uznania.

Weszła służąca, niosąc trzy pudełka, i ustawiła po jednym przed każdym z młodych samurajów. Jack przyjrzał się swojemu. Była to niewielka, prostokątna skrzyneczka z grubo lakierowanego drewna. Powierzchnię ozdobiono złotem i srebrem; wśród wzorów rozpoznał delikatnie rytowane drzewo sakury z kwiatami z kości słoniowej. Na szczycie pudełka, przymocowana konopnym sznurem, znajdowała się niewielka przetyczka z kości słoniowej, wyrzeźbiona w kształt lwiej głowy. Jack spojrzał pytająco na pozostałych.

Oni otrzymali podobne podarunki, lecz ich pudełka miały inne wzory; przetyczka Yamato była w kształcie głowy małpy, a Akiko – maleńkiego orła.

– Nazywają się *inro*, Jack-kun – wyjaśnił Masamoto, widząc jego zdziwione spojrzenie. – Służą do noszenia drobnych przedmiotów, jak lekarstwa, pieniądze, pióra i inkaust. Głowa lwa nazywa się *netsuke*. Przekłada się ją przez *obi*, żeby nie zgubić pudełka.

Jack ujął pięknie wykonane *inro* i rzeźbione *netsuke*. Zawsze się zastanawiał, jak Japończycy radzą sobie bez kieszeni w kimonach. *Inro* składało się z kilku mniejszych, starannie dopasowanych pudełek. Przesunął lwią głowę przez *obi* i przymocował *inro* do pasa.

– Takatomi-sama obiecał także przedłużyć na czas nieokreślony wsparcie dla Niten Ichi Ryū – ciągnął Masamoto. – Chce też wyposażyć szkołę w nową salę do ćwiczeń. Ma się nazywać Taka-no-ma, Sala Jastrzębia. Za to osobiście jestem waszym

dłużnikiem. Raz jeszcze dodaliście szkole wielkiego splendoru. W uznaniu waszych zasług chciałbym wam wręczyć te dary.

Weszło troje służących, każdy z dużym pudłem z laki, które umieścili na podwyższeniu.

– Yamato-kun, dowiodłeś, że jesteś prawdziwym Masamoto. Tym razem własną krwią. Jestem dumny, że mogę cię nazywać swoim synem. Podejdź, proszę, i na dowód mego szacunku przyjmij to *daishō*.

Yamato skłonił się sztywno i ukląkł przed ojcem; rana nie pozwalała mu na wykonanie należnego, pełnego szacunku ukłonu. Masamoto otworzył pierwsze pudełko i wyjął jego zawartość.

– Być może je poznajesz, Yamato-kun. Należało do Tenny. Pora, byś je zaczął nosić, bowiem bez wątpienia dowiodłeś, że jesteś tego godny.

Chłopiec wyciągnął ręce i krzywiąc się z bólu, przyjął katanę i krótszy miecz wakizashi. Oba razem tworzyły *daishō* i były symbolem pozycji społecznej oraz osobistego honoru samuraja. Otrzymanie *daishō* stanowiło ogromny zaszczyt.

Przez chwilę Yamato tylko się im przyglądał; czarne lakierowane *saya* kierowały myśli ku lśniącym klingom ukrytym w ich wnętrzach. Potem chłopiec wrócił na miejsce obok Jacka i Akiko. Jack zauważył, że oczy Yamato rozbłyskują ogromną dumą.

– Akiko-chan, proszę, uklęknij przed sensei Yosą. Bowiem to ona pragnie cię obdarzyć podarunkiem.

Dziewczyna wstała i skłoniła się głęboko przed nauczycielką.

– Akiko-chan, masz jastrzębie oko i wdzięk orła – zaczęła sensei, przysuwając bliżej swoje pudełko i czule wyjmując z niego

kilka przedmiotów. – Zasługujesz, by nosić mój łuk i strzały. Proszę, przyjmij je jako dowód uznania dla swoich wybitnych zdolności jako *kyudoka*.

Akiko była zbyt zaskoczona, by okazać należny szacunek. Drżącymi dłońmi ujęła długi bambusowy łuk sensei Yosy i kołczan strzał zakończonych piórami jastrzębia.

– Mój łuk może cię wiele nauczyć, Akiko-chan. Jak wiesz, łuk kryje w sobie nieco ducha tego, kto go sporządził. Teraz należy do ciebie i mam nadzieję, że zapewni ci bezpieczeństwo, tak jak zapewnił je mnie.

– *Arigatō gozaimashita, sensei*[43] – szepnęła dziewczyna, z największym respektem ujmując łuk i strzały, po czym wróciła na swoje miejsce.

– Na koniec dochodzimy do ciebie, Jack-kun – odezwał się wielkodusznie Masamoto. – Kto by pomyślał, że na wpół utopiony, ledwo żywy gaijin okaże się tak wiele wart? Gdyby twój ojciec dożył tego dnia, z pewnością byłby z ciebie dumny.

Oczy Jacka nagle wypełniły gorące łzy. Niespodziewana wzmianka o ojcu okazała się ogromnie trudna do zniesienia – musiał mocno zagryźć wargi, by się nie rozpłakać.

– Uratowałeś życie Yamato-kunowi – ciągnął Masamoto. – Dwa razy, jeśli się nie mylę. Nauczyłeś się naszego języka i przestrzegasz naszych zwyczajów. Pokrzyżowałeś zbrodnicze zamiary Dokugana Ryu – nie raz, lecz trzy razy. Gdyby mój *daimyo* miał armię chłopców takich jak ty, w mgnieniu oka podbiłby każdy kraj. Wystąp naprzód.

Jack ukląkł i ukłonił się z szacunkiem przed samurajem.

Wszyscy senseie odwzajemnili jego ukłon, sensei Hosokawa i sensei Yosa posłali mu poważne, lecz pełne aprobaty skinienia głową. Sensei Kyuzo jak zwykle skłonił się krótko, natomiast sensei Yamada rozpromienił życzliwie.

– Wciąż wiele musisz się nauczyć, Jack-kun – dodał Masamoto, nagle poważniejąc. – Jesteś zaledwie maleńkim pączkiem. Położyłeś dopiero kamień węgielny. Uczyniłeś pierwszy krok. Wciąż masz przed sobą długą wędrówkę drogą wojownika, lecz, jak powiedziałem na początku, jesteśmy tu, by ci w niej pomóc. Dlatego darowuję ci moje pierwsze miecze.

Z oszołomienia senseiów oraz westchnień Akiko i Yamato Jack wywnioskował, że to wielki i niespotykany zaszczyt. Masamoto otworzył ostatnie lakierowane pudełko i wyjął dwa wspaniałe miecze.

Inaczej niż Jadeitowy Miecz, *daishō* Masamoto nie było przesadnie zdobione. *Saya* sporządzono z czarnej laki, jedyny ornament stanowił inkrustowany, mały złoty feniks poniżej rękojeści. Nie było to dzieło sztuki ani miecze na pokaz. Była to broń wojownika.

– Jack-kun, miecz jest duszą samuraja – wyjaśnił Masamoto z wielkim naciskiem i wręczył *daishō*, wbijając w chłopca surowe spojrzenie bursztynowych oczu. – Z posiadaniem takiej broni wiąże się wielka odpowiedzialność – ciągnął, nie wypuszczając mieczy, tak że teraz trzymali je obaj. – Nigdy nie mogą wpaść w ręce wroga. A ty zawsze musisz kultywować samurajskie zasady *bushido*. Prawość. Odwagę. Uczynność. Szacunek. Uczciwość. Honor. Wierność. Rozumiesz?

– *Hai*, *Masamoto-sama. Arigatō gozaimashita* – odparł Jack całkowicie szczerze.

Ujął miecze i poczuł, jak ręce uginają mu się pod ciężarem. Skłonił się nisko i wrócił na swoje miejsce między Akiko a Yamato, kładąc *daishō* obok siebie.

– Teraz, skoro skończyliśmy, proszę uprzejmie, byście zechcieli zostawić nas samych, mnie i Yamato-kuna. Chcę spędzić nieco czasu ze swoim synem. Mamy wiele do omówienia – rzekł Masamoto i uśmiech rozjaśnił wolną od szram połowę jego twarzy.

Wszyscy skłonili się z szacunkiem i opuścili Salę Feniksa.

Jack i Akiko udali się do Południowego Ogrodu Zen, by zaczekać na Yamato. Stali między dwoma wielkimi kamieniami i milcząc, wpatrywali się w nocne niebo. Księżyc był jasny i krągły, dwa dni przed pełnią, a gwiazdy świeciły mocno.

– Widzisz tę gwiazdę, najjaśniejszą na całym niebie? To Kłos – powiedział Jack po kilku chwilach.

– Która? – spytała dziewczyna. – Dla mnie wyglądają tak samo.

– Zacznij od dyszla Wielkiego Wozu, gwiazdozbioru nad naszymi głowami, potem przedłuż łuk do Arktura i jeszcze dalej – wyjaśnił, pokazując palcem. – Tę powyżej i na lewo nazywamy Regulusem, a ta obok niej to Bellatrix. Ta migocąca tutaj to Jowisz, lecz nie jest gwiazdą, tylko planetą.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytała, zwracając się ku niemu.

– Ojciec mnie nauczył. Powiedział, że jeśli mam zostać pilotem jak on, będę się musiał nauczyć nawigacji według gwiazd.

– I się nauczyłeś?

– Tak. Na tyle, by sprowadzić statek do portu – odparł, po czym dodał ze smutkiem: – Może nawet na tyle, by wrócić do domu.

– Wciąż chcesz wrócić do domu?

Odwzajemnił spojrzenie. Światło księżyca lśniło w jej czarnych jak dżet oczach; poczuł na plecach lekki dreszcz.

Tak, wciąż chciał wrócić do domu. Tęsknił do zielonych pól Anglii wiosną i przytulnego ciepła kominka w domu rodziców w zimie, kiedy ojciec raczył go opowieściami o śmiałych morskich wyprawach. Tęsknił za chaotycznym Londynem, hałasem wzniecanym przez przekupniów, bydło i walących młotami kowali. Ślinka napływała mu do ust na myśl o wołowinie, pasztecikach i chlebie grubo posmarowanym masłem, język zaś marzył, by porozmawiać z kimś po angielsku. Lecz najbardziej Jack tęsknił za rodziną. Teraz została mu tylko Jess. Musi ją odnaleźć. Upewnić się, że wszystko z nią w porządku.

A jednak, kiedy tak stał pod gwiazdami obok Akiko, pierwszy raz poczuł, że mógłby znaleźć swoje miejsce w Japonii.

– Dokądkolwiek trafisz, to przyjaciele tworzą twój świat – powiedziała mu matka, kiedy przeprowadzali się kolejny raz z Rotterdamu do Limehouse z powodu pracy ojca. Miał wtedy zaledwie siedem lat i nie cierpiał przenosin, teraz jednak zrozumiał, o co jej chodziło. Tu, w Japonii, znalazł przyjaciół. Prawdziwych przyjaciół. Saburo, Yoriego, Kiku, Yamato i najważniejszą ze wszystkich Akiko.

– Akiko-chan! – zawołał jakiś głos.

Była to sensei Yosa.

– Mogę cię prosić na chwilę? Muszę ci wyjaśnić pewne szczególne właściwości twojego łuku.

– *Hai*, *sensei* – zgodziła się dziewczyna, lecz nim odeszła, spojrzała na Jacka. – Wiem, że tęsknisz za swoim domem

w Anglii, Jack, lecz Japonia też może być twoim domem.

Potem, z ciepłym, delikatnym uśmiechem, skłoniła się i odeszła przez ogród.

Jack wpatrywał się w nocne niebo; w dalszym ciągu nazywał w pamięci każdą gwiazdę, starając się opanować wzburzone uczucia i powstrzymać łzy. Jego dłoń w roztargnieniu spoczęła na nowych mieczach; wodził palcami po rękojeści.

Wiedziony impulsem wyciągnął katanę i uniósł ją w blasku księżyca. Podziwiając głęboką, elegancką krzywiznę klingi, obrócił broń w powietrzu, oceniając ciężar oraz wyważenie. Miecz nie stał się jeszcze przedłużeniem jego ramienia jak lżejszy drewniany bokken, lecz mimo to chłopiec czuł się na tyle pewnie, by spróbować kilku ruchów.

Przeciął księżyc na pół, przeszył Bellatrix i trafił spadającą gwiazdę. Wirując, uniósł *kissaki* do kolejnego ataku i ujrzał przed sobą Dokugana Ryu. Stojącego w ciemności. Nieruchomego. Czekającego na atak.

„Nigdy się nie wahaj".

Tym razem się nie zawahał. Uniósł miecz nad głowę i pomknął ku wojownikowi ninja, by wymierzyć morderczy cios.

– Jack-kun! – zawołał sensei Yamada za jego plecami.

Dokugan Ryu obrócił się w kamień, a Jack się obejrzał.

– Co ty wyprawiasz? – opierając się na lasce, zapytał nauczyciel zen z pytającym wyrazem twarzy.

– Ja... – zaczął chłopiec i obejrzał się na kamień. – Ćwiczyłem *kata*.

– Na kamieniu?

– Nie, właściwie nie – odparł, tracąc pewność siebie. – Wyobrażałem sobie, że to Dokugan Ryu. Chciałem go zabić. Zemścić się.

– Zemsta sama na siebie ściąga porażkę. Pochłonie cię, aż nic nie zostanie – rzucił Yamada, wypowiadając prawdę równie oczywistą jak księżyc na nocnym niebie.

– Ale on zabił mojego ojca!

– Tak. I niewątpliwie zapłaci za ten grzech, jeśli nie w tym życiu, to w przyszłym. Nie wierz jednak nawet przez chwilę, że posiadanie miecza czyni cię wszechmocnym. Nie wolno ci nigdy zapomnieć o *bushido*. Prawość, umiejętność rozsądzania, co jest złe, a co dobre, to podstawa bycia samurajem.

Ujął chłopca pod ramię i wolno poprowadził ścieżką do kąta ogrodu, ku starej sośnie o gałęziach wspartych na drewnianym szczudle.

– Uczynność, współczucie dla innych, spoczywa u podstaw wszystkich pozostałych. Na drodze nie ma miejsca na gniew ani wściekłość. W prawdziwym budo nie ma wrogów. Prawdziwe budo służy miłości. Droga wojownika nie polega na tym, by niszczyć i zabijać, lecz by wspierać życie[VIII]. By je chronić.

Zatrzymał się przy sośnie i zwrócił twarzą do chłopca.

– Jack-kun, jak powiedział Masamoto-sama, dopiero zacząłeś się uczyć drogi wojownika, lecz musisz się także nauczyć drogi miecza. Kendo.

Uśmiechnął się tajemniczo, z bystrymi oczyma błyszczącymi niczym maleńkie gwiazdy, a potem zniknął za zasłoną ciemności spowijającą drzewo; pozostawił Jacka samego pod japońskim niebem.

Chłopiec spojrzał w górę na spadającą gwiazdę przecinającą nieboskłon.

Meteoryt błysnął jasno i zgasł; ścieżka, jaką wypalił na firmamencie, zbladła niczym żar w kominku.

W tym ułamku sekundy na Jacka spłynęło *satori*, oświecenie jasne jak sama gwiazda. On też znajdował się w podróży, której cel był nieznany, a przebieg niepewny. Lecz wyznaczył sobie kurs i nie miał odwrotu.

Wybrał... drogę wojownika.

---

[43] Arigatō gozaimashita... (jap.) – Dziękuję bardzo, mistrzu.

Informacje na temat źródeł

Książka zawiera odsyłacze do następujących cytatów; ich źródła wymieniono poniżej:

1. „Droga wojownika trwa całe życie. Mistrzostwo zaś nierzadko polega jedynie na tym, by na niej pozostać” [str. 148] Richard Strozzi Heckler (*strozziinstitute.com*). (Za zgodą autora).

2. „Z każdego maleńkiego pączka wyrasta drzewo o wielu gałęziach. Budowę każdego zamku rozpoczyna położenie pierwszego kamienia. Każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku” Lao Tse, filozof i twórca taoizmu. (Materiał w domenie publicznej).

3. „Dobrze jest mieć cel w podróży, lecz to podróż jest ostatecznym celem”. Fragment z *Lewej ręki ciemności* Ursuli K. Le Guin, copyright © 1969, 1997 Ursula K. Le Guin, wydanie Ace Books. (Za zgodą agenta autorki).

4. „Mając dostatecznie wiele czasu, każdy zdoła wytrenować ciało. Mając dość wiedzy, każdy może zostać mędrcem. Lecz tylko najbardziej oddany wojownik może opanować jedno i drugie,

i osiągnąć prawdziwe *bushido*" T'ien T'ai, szkoła buddyjska. (Materiał w domenie publicznej).

5. „Żeby zostać wdeptanym w błoto, trzeba leżeć na ziemi" Brian Weir. (Oryginalne źródło nieznane; nie odnaleziono publikacji).

6. „Odwaga to nie brak strachu, lecz raczej stwierdzenie, że coś innego jest ważniejsze niż strach". Fragment z *No Peaceful Warriors!*, „ A Journal of the Western Inner Traditions", copyright © 1991 Ambrose Holling-worth Redmoon (urodzony jako James Neil Holling-worth).

7. „Im większa przeszkoda, tym większa chwała z jej pokonania" Molier, francuski dramatopisarz i aktor. (Materiał w domenie publicznej).

8. „W prawdziwym budo nie ma wrogów. Prawdziwe budo służy miłości. Droga wojownika nie polega na tym, by niszczyć i zabijać, lecz by wspierać życie". Morihei Ueshiba, twórca aikido. (W: *Budo Secrets*, John Stevens, copyright © 2001 John Stevens. Przedrukowane na mocy umowy z Shambhala Publicactions, Inc., *shambhala.com*).

Podziękowania

Pragnę szczególnie podziękować następującym osobom, które odegrały znaczącą rolę w powstaniu *Drogi wojownika*:

Charliemu Vineyowi, mojemu agentowi, za wsparcie pomysłu serii *Młody samuraj* oraz za nieustające wysiłki, by moja pierwsza powieść ujrzała światło dzienne; Sarah Hughes, pani redaktor w wydawnictwie Puffin, za surowe oko oraz samurajską umiejętność postawienia mego rękopisu w stan pełnej gotowości bojowej; Pippie Le Quesne za profesjonalne wskazówki i przenikliwe uwagi podczas edycji pierwszych szkiców; Tessie Girvan z ILA za to, że rzuciła wyzwanie światu; Fundacji Sasakawa i Society of Authors za przyznanie mi Great Britain Sasakawa Award 2007 i umożliwienie podróży do Japonii w celu zebrania podstawowych informacji do książki; sensei Akemi Solloway za zorganizowanie wspaniałej i niezwykle pouczającej wyprawy kulturalnej po Japonii, *arigatō gozaimashita*; fantastycznemu zespołowi z wydawnictwa Puffin za ciężką pracę i entuzjazm; Steve'owi Cowleyowi i wszystkim senseiom z jego Akademii Sztuk Walki za pomoc w zdobyciu czarnego pasa

w taijutsu; Hiroko Takagi za tłumaczenia na japoński; Katherine Hemingway za japońskie intuicje; Mattowi Bouldowi za wyczulenie na szczegóły; moim rodzicom za nieustające wsparcie i wiarę we mnie oraz żonie Sarah za to, że była moją pierwszą czytelniczką!

Uwagi o języku japońskim

Krótki przewodnik po wymowie japońskich słów

Samogłoski w języku japońskim wymawia się bardzo podobnie jak w języku polskim.

W użytej tu transkrypcji Hepburna, najczęściej używanej do transliteracji na alfabet łaciński języka japońskiego, występują znaki diakrytyczne w postaci kreski nad samogłoskami „o” i „u”. Należy je wymawiać po prostu nieco dłużej.

Spółgłoski w języku japońskim także w bardzo małym stopniu różnią się od polskich.

Zastosowana tu transkrypcja została stworzona na potrzeby wymowy anglosaskiej, tak więc:

„j” – wymawiamy jak „dź” w wyrazie „dźwig”
„y” – jak „j” w wyrazie „ja”
„ch” – jak „ć” w wyrazie „ćma”
„ts” – jak „c” w wyrazie „cuma”

„sh” – jak „ś” w wyrazie „śledź”
Język japoński jest językiem z wymową sylabiczną.

Przykłady sylabicznego wymawiania imion bohaterów książki:

A – ki – ko
Ya – ma – to
Ma – sa – mo – to
Ka – zu – ki

Słownik

abunai niebezpiecznie
age-uke blok ciosu na twarz poprzez uniesienie przedramienia nad poziom czubka głowy
arigatō (gozaimasu) dziękuję (bardzo)
ama poławiaczka pereł
bokken drewniany miecz
bonsai ozdobne przystrzyżone drzewko
budo sztuki walki i ich filozofia
bushi wojownik, samuraj
bushido droga wojownika – kodeks samurajów
butai scena, arena
Butoku-den Sala Cnót Wojennych
Butsuden Sala Buddy
chawan czarka do herbaty
chiburi wytarcie krwi z ostrza miecza
Chō-no-ma Sala Motyli
daimyo feudalny władca
daishō komplet mieczy: długi – katana i krótki – wakizashi

dojo sala ćwiczeń
fumi-komi technika ataku poprzez zdecydowane wkroczenie
futon japońskie łóżko: płaski materac ułożony bezpośrednio na podłodze wyłożonej matami ***tatami*** i zwijany na dzień
furo kąpiel
gaijin cudzoziemiec, barbarzyńca (określenie negatywne)
gejsza w Japonii: dama do towarzystwa, kurtyzana
-gi tu: sufiks oznaczający strój, ubiór
hajime! komenda do rozpoczęcia walki
hanami oglądanie rozkwitłych kwiatów wiśni japońskiej (sakury)
hara trzewia, wnętrzności, w Japonii uważane za siedlisko duszy
hashi drewniane pałeczki do jedzenia potraw orientalnych
Hō-oh-no-ma Sala Feniksa
ikinasai idź! (poufała, protekcjonalna forma)
inro tradycyjne japońskie wielowarstwowe (jak matrioszka) pudełko na drobne przedmioty
ippon komenda oznaczająca jednoznaczne zwycięstwo w walce
iye nie
juban numer dziesięć
kami bóg, a także duch przodka
kamon herb
kanji ideogramy chińskie
karo doradca księcia feudalnego w okresie Edo w Japonii (1603–1868)
kata ustalona sekwencja ruchów podczas ćwiczeń w sztukach walki
katana długi miecz

kendo droga miecza, najpopularniejsza sztuka walki japońskim mieczem
kenjutsu sztuka miecza, tradycyjne style walki japońskim mieczem
ki energia życiowa
kiai dosłownie „skoncentrowany duch”; w sztukach walki okrzyk w celu skupienia energii przy wykonywaniu techniki
kihon waza podstawowe techniki
kissaki koniec miecza
koan publiczna dysputa nad precedensem
kohai młodszy kolega z zespołu, z drużyny, ze szkoły
koka komenda oznaczająca prawidłowe wykonanie techniki, punktowana, ale nie zakończająca walki
konnichiwa dzień dobry (w ciągu dnia)
kyudoka adept kyudo (droga łuku), sztuki strzelania z japońskiego łuku
kyujutsu sztuka łuku, tradycyjne style strzelania z japońskiego łuku
matsuri uroczystość, festiwal
mawashi-zuki cios sierpowy
miso pasta sojowa, miso
ne- sufiks oznaczający oczekiwanie potwierdzenia
netsuke pójście spać
nikkyō dwa nurty w buddyzmie
nani co
ninjatō miecz używany przez ninja, dłuższy od katany
niwa ogród
nodachi długi miecz dwuręczny

nukite-uchi uderzenie ręką sponad głowy
obanyaki tradycyjne japońskie pączki
obi tradycyjny japoński pas
o-goshi pełny rzut przez biodro
ohayō dzień dobry (rano)
okonomiyaki tradycyjne japońskie placki z nadzieniem
-gozaimasu sufiks oznaczający zwiększoną grzeczność wypowiedzi
randori sparring
rei wezwanie do wykonania ukłonu
ren-geri kombinacja kopnięć
ri tradycyjna chińska jednostka miary, ok. 500 m
saké wino ryżowe
sakura japońska wiśnia
satori oświecenie, objawienie
saya pochwa miecza
sencha zielona herbata (najpowszechniejsza)
sensei nauczyciel
seoinage rzut przez plecy
seppuku rytualne samobójstwo honorowe samurajów (rozcięcie jamy brzusznej)
shaku tradycyjna japońska jednostka miary, ok. 30 cm
shinai miecz bambusowy do kendo
shinobi strój ninja
shozoku kostium, przebranie
Shishi-no-ma Sala Lwów
shoji japońskie przesuwane drzwi
seiza pozycja siedząca na ziemi (kolana i stopy dotykają do ziemi)

sohei mnisi wojownicy
sumimasen przepraszam; proszę o wybaczenie
sushi owoce morza z ryżem
tabi japońskie skarpetki z rozdzielonymi palcami
taiyaki tradycyjny japoński pączek w kształcie ryby
taijutsu sztuka ciała (walka wręcz), tradycyjne sztuki walki bez broni
Taka-no-ma Sala Jastrzębia
takoyaki kawałki ośmiornicy zapiekane w cieście
tantō nóż, tradycyjny japoński sztylet
Taryu-Jiai zwój o walce na ostre miecze
tatami mata na podłogę
teiko opór
tenouchi wewnętrzna strona dłoni
tofu twaróg sojowy
tori tu: atakujący w walce
torii brama
tsuba garda (miecza)
uchi uderzenie
ude-uke blok przedramieniem
uke tu: broniący się w walce
ura mawashi-geri kopnięcie obrotowe
wakarimasen nie rozumiem
wakizashi krótki miecz noszony przy boku
wakō japońscy piraci
waza-ari komenda oznaczająca warunkowe uznanie techniki, najniżej punktowana
yame stop! przestać! koniec!

yoko bok; w sztukach walki prefiks do technik wykonanych bokiem
zabuton poduszka do siedzenia
zafu poduszka do siedzenia w świątyni buddyjskiej
zazen medytacja w pozycji siedzącej

Japońskie imiona własne składają się zwykle z nazwiska rodowego, po którym następuje imię, inaczej niż w świecie zachodnim, gdzie imię poprzedza nazwisko. W feudalnej Japonii (do 1868 r.) nazwiska wyrażały pozycję społeczną i przekonania religijne danej osoby. Zwracając się do kogoś, na znak szacunku dodajemy do jego nazwiska – albo imienia w sytuacjach mniej oficjalnych – przyrostek „san" (podobnie jak w języku polskim „pani" czy „pan"), zaś w wypadku osób o wyższej pozycji – „sama". W odniesieniu do nauczycieli w Japonii używa się określenia *sensei*, zwykle po nazwisku, lecz w cyklu *Młody samuraj* zachowano europejską kolejność. Zwracając się do chłopców i dziewcząt, stosuje się odpowiednio formy „kun" i „chan".

Poznaj Chrisa

– ILE MIAŁEŚ LAT, KIEDY ZACZĄŁEŚ TRENOWAĆ SZTUKI WALKI?

– Zająłem się judo, mając siedem lat. Jako ośmiolatek zdobyłem pierwszy medal i od tej pory próbowałem wielu stylów.

– JAKA JEST TWOJA ULUBIONA DYSCYPLINA I DLACZEGO?

– Lubiłem wszystkie style; każdy nauczył mnie czegoś nowego, lecz moim ulubionym jest z pewnością *Zen Kyo Shin Taijutsu*, bo w nim jako pierwszym zdobyłem czarny pas. Wywodzi się on ze sztuki walki wojowników ninja; mój *sensei* pobierał nauki u arcymistrza ninja!

– CZY SPOTKAŁEŚ KIEDYŚ PRAWDZIWEGO SAMURAJSKIEGO WOJOWNIKA?

– Tak; jestem uczniem *sensei* Akemi Solloway, pierworodnej córki starego samurajskiego rodu, wywodzącego się od rezydującego w zamku Iwatsuki (niedaleko Tokio) *karō* władcy Oty Dokana (1432–1486). Imię Akemi znaczy „jasna i piękna”;

ponieważ nie miała braci, na niej spoczęła odpowiedzialność za podtrzymanie tradycji samurajskich przodków.

– JAKA JEST TWOJA ULUBIONA KSIĄŻKA?

– *To* Stephena Kinga. Najbardziej przerażająca i najlepsza z jego powieści.

– KIEDY ZACZĄŁEŚ PISAĆ?

– Pisałem całe życie, lecz głównie teksty piosenek. Pisaniem opowiadań zająłem się znacznie później, choć pamiętam, że wymyślałem je jako dziecko, szczególnie w czasie długich podróży samochodem, żeby się nie nudzić.

– JAK DŁUGO PISAŁEŚ DROGĘ WOJOWNIKA?

– Napisałem książkę bardzo szybko, w ciągu dwóch miesięcy! Opowieść dosłownie wyskoczyła mi z głowy w pełni gotowa.

– SKĄD CZERPIESZ POMYSŁY I INSPIRACJĘ?

– Z mojego serca i życia. Trylogię *Młody samuraj* zainspirowała moja namiętność do sztuk walki. To opowieść o młodym chłopcu, który uczy się życia poprzez sztuki walki. Mógłbym być na jego miejscu. Podobnie jak każdy z was.

– CZYM SIĘ ZAJMOWAŁEŚ, ZANIM ZOSTAŁEŚ PISARZEM?

– Byłem autorem tekstów i muzykiem. Śpiewam i gram na gitarze oraz harmonijce. Dawałem koncerty na całym świecie, występowałem w telewizji i uczyłem muzyki w znakomitej

Academy of Contemporary Music w Guildford. Doświadczenia muzyczne skłoniły mnie do napisania pierwszej książki o tworzeniu tekstów piosenek (*Heart & Soul*) dla British Academy of Composers & Songwriters.

– JAKIE JEST TWOJE ULUBIONE MIEJSCE NA ŚWIECIE I DLACZEGO?

– Odwiedziłem wiele cudownych miejsc, lecz mam trzy najmilsze wspomnienia – gdy grałem na gitarze na plaży o zachodzie słońca na Fidżi, gdy siedziałem w domku na drzewie w samym środku dżungli w Laosie oraz gdy słuchałem świątynnego dzwonu rozbrzmiewającego o świcie w japońskim Kioto.

– JAKA JEST TWOJA ULUBIONA POTRAWA?

– Sushi. Jest zdrowe i bardzo smaczne.

– A NAJCENNIEJSZY PRZEDMIOT W TWOJEJ KOLEKCJI?

– Mój samurajski miecz. Klinga lśni jak błyskawica i świszcze, przecinając powietrze.

– JAKI JEST TWÓJ ULUBIONY FILM?

– *Przyczajony tygrys, ukryty smok*. Sceny akcji są fantastyczne i dosłownie rzucają wyzwanie grawitacji, aktorzy przypominają walczące baletnice, no i występuje tam jedna z najlepszych aktorek specjalizujących się w sztukach walki, Michelle Yeoh.

Najskuteczniejsze techniki sztuk walki używane przez przez Jacka

KOPNIĘCIA

(sufiks – GERI)

MAE-GERI – to kopnięcie w przód jest niezwykle silne i może nawet powalić przeciwnika na ziemię

YOKO-GERI – to kopnięcie w bok jest niebywale skuteczne w walce, lecz uważajcie, przeciwnikowi łatwiej się do niego przygotować niż do kopnięcia w przód

MAWASHI-GERI – często używane na początku walki, takie kopnięcie po łuku polega na uniesieniu nogi i wykonaniu nią okrężnego ruchu

USHIRO-GERI – to podkręcone kopnięcie w tył należy do najsilniejszych w sztukach walki

CHO-GERI – bywa nazywane kopnięciem motyla, bo w chwili jego wykonywania atakujący prostuje wszystkie kończyny, co sprawia, że przypomina motyla ze skrzydłami rozłożonymi w locie

UDERZENIA

(sufiks – ZUKI)

OI-ZUKI – to pchnięcie lub dźgnięcie w przód należy do podstawowych, lecz zdecydowanie bywa przydatne

GYAKU-ZUKI – jeszcze silniejsze jest pchnięcie ręką odwrotną do nogi wykrocznej, w które angażuje się prawie całe ciało
KAGE-ZUKI – należy być niezwykle szybkim, by wykonać to uderzenie sierpowe, lecz należy ono do ulubionych przez Jacka, bo trudno je zablokować
URAKEN-ZUKI – to uderzenie grzbietem dłoni jest jeszcze szybsze; dłoń należy zacisnąć w pięść i uderzyć dwiema pierwszymi kostkami

Przeczytaj również

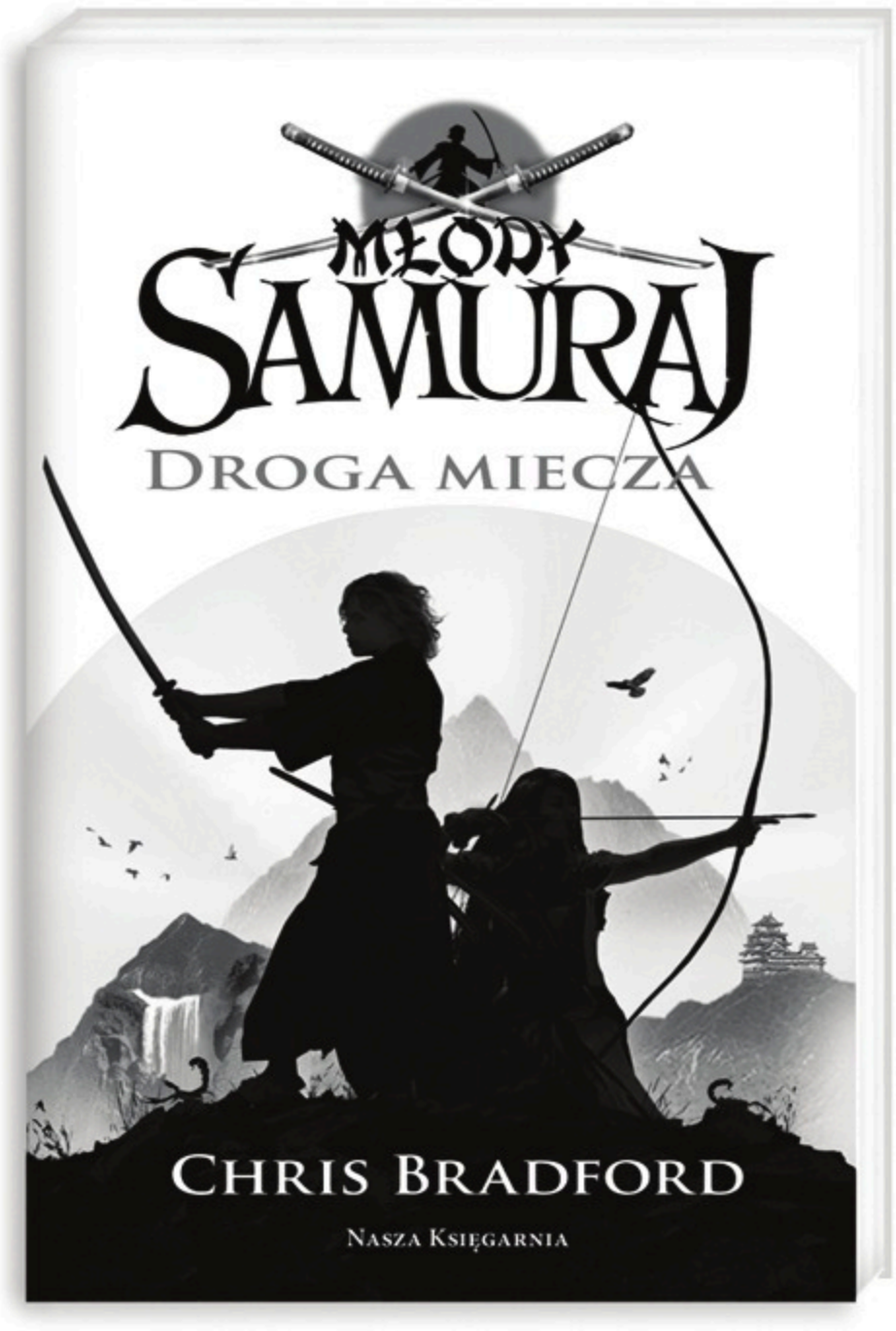

Drugi tom bestsellerowej trylogii o przygodach Jacka!

Jest rok 1612. Po roku trenowania w szkole samurajów Jack Fletcher ma prawdziwe kłopoty. Musi się przygotować do

starożytnego rytuału sprawdzającego odwagę i nie tracić czujności: pirat ninja Smocze Oko, ten sam, który zabił ojca chłopaka, może uderzyć w każdym momencie. Młody samuraj ma bowiem coś, czego pragnie morderca...

Jacka czeka wkrótce walka na śmierć i życie.

Czy zdoła na czas opanować drogę miecza?

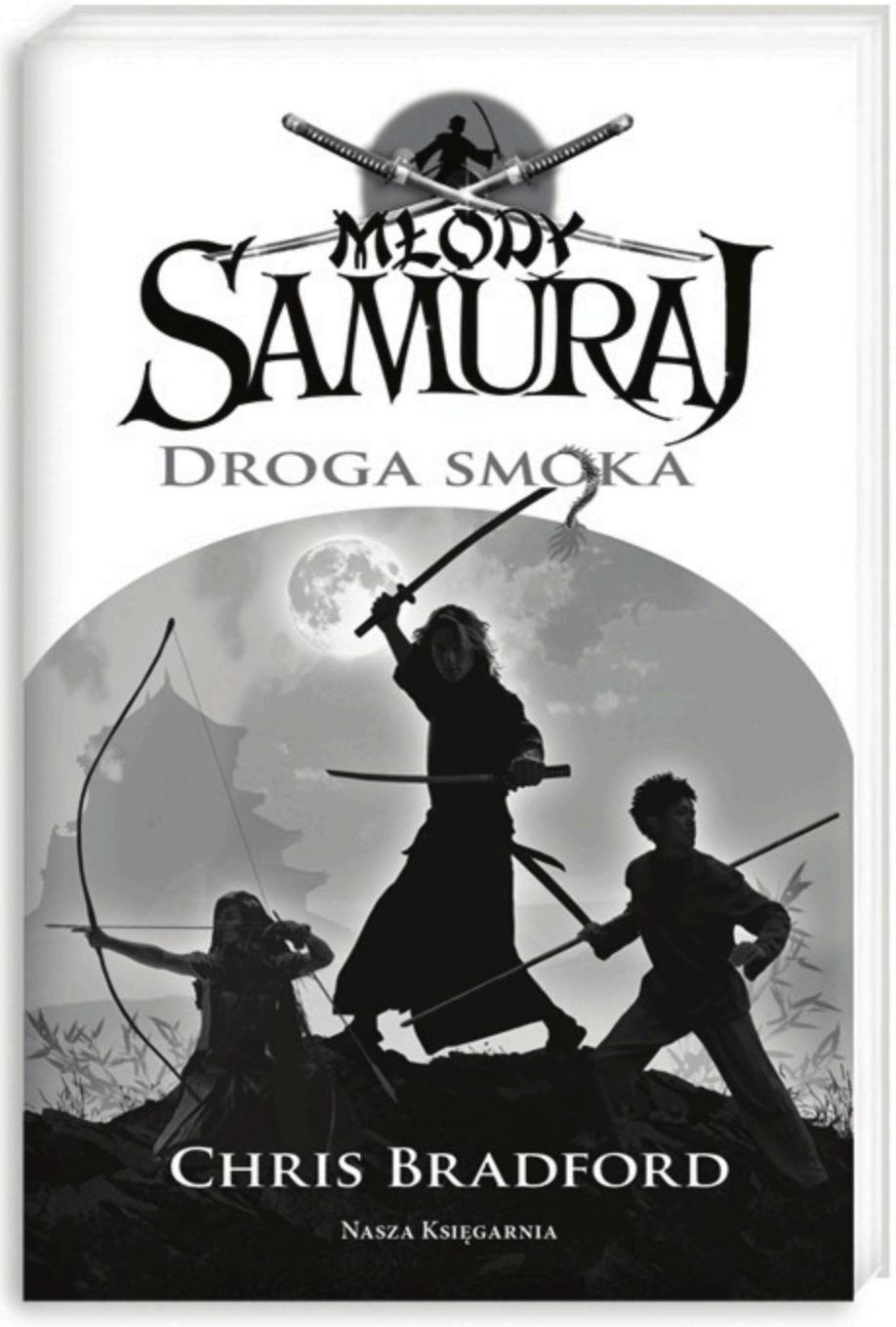

Trzeci tom bestsellerowej trylogii o przygodach Jacka!

Jest rok 1613. Nastały niespokojne czasy. Szczególnie dla cudzoziemców. Japonia stoi u progu wojny i każdy samuraj musi

się opowiedzieć po którejś ze stron. A gdy zacznie się prawdziwa walka, umiejętności bojowe Jacka Fletchera zostaną wystawione na ostateczną próbę.

Przetrwanie Jacka – i jego przyjaciół – zależy od tego, czy chłopak opanuje tajemną technikę Dwojga Niebios, której naucza Masamoto. Tymczasem gdzieś w pobliżu wciąż czai się śmiertelny wróg, ninja Smocze Oko...

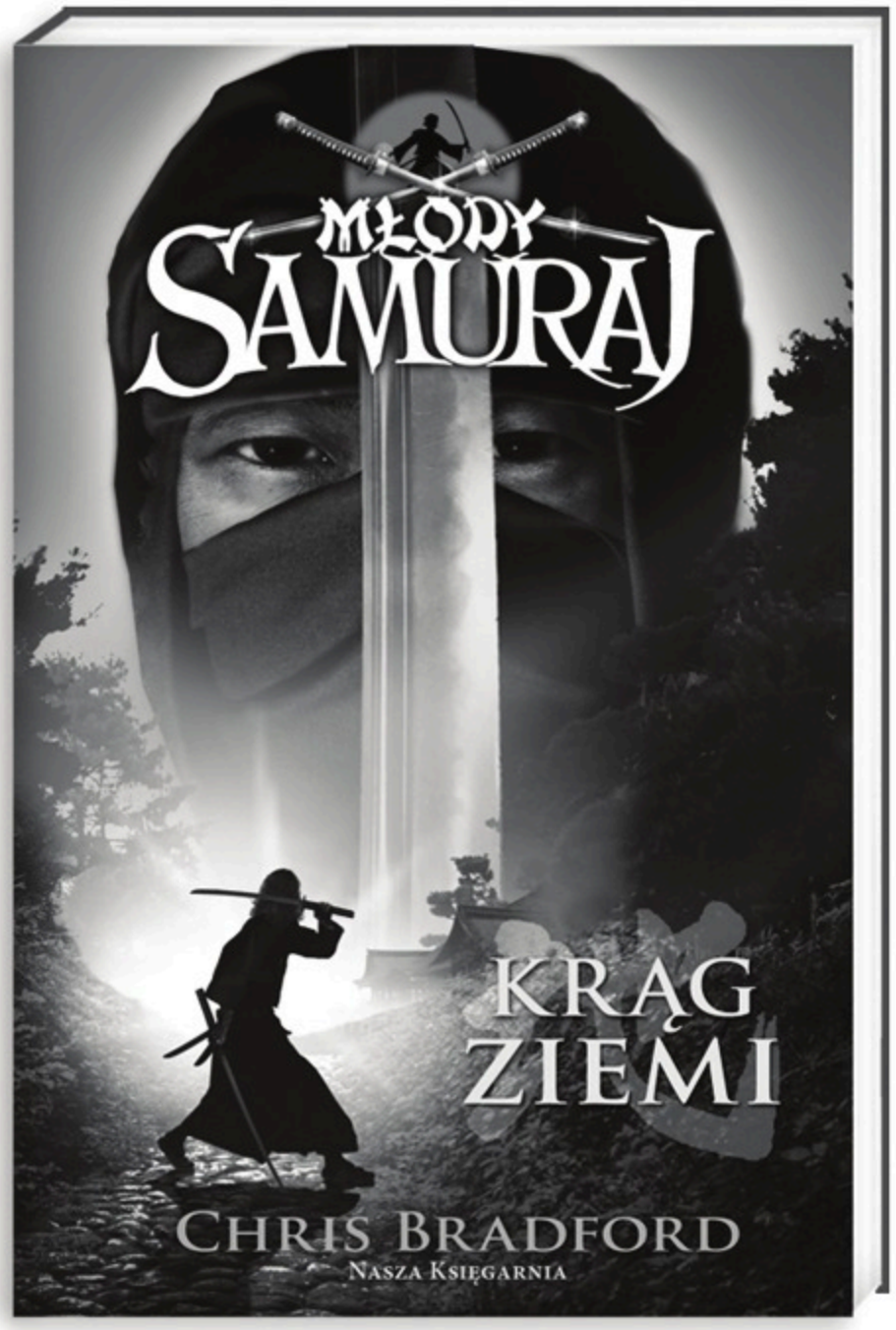

Jedyna Szkoła Dwojga Niebios przestała istnieć, w wojennej zawierusze zginęło wielu przyjaciół Jacka. Chłopak, podobnie jak inni obcokrajowcy, musi natychmiast opuścić Japonię. W przeciwnym wypadku czeka go śmierć. Ścigany przez

samurajów szoguna, nie zdoła ujść pogoni, chyba że opanuje sztukę stawania się niewidzialnym. To, co z pozoru niemożliwe, okaże się realne, gdy młody wojownik trafi do ukrytej w górach wioski.

Będzie też musiał odpowiedzieć na pytanie, czy śmiertelni wrogowie rzeczywiście są tak niegodziwi, jak go uczono.

Tytuł oryginału angielskiego *Young Samurai: The Way of the Warrior*
Text copyright © Chris Bradford, 2008 All rights reserved
The moral right of the author has been asserted

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia", Warszawa 2009
© Copyright for the Polish translation by Hanna Pasierska, Warszawa 2009
Cover illustration by Paul Young
First published in Great Britain in the English language by Puffin Books Ltd, 2008
Konsultacja merytoryczna Stanisław Ryu Matsumoto

Redaktorzy prowadzący *Agnieszka Betlejewska, Joanna Wajs*
Redakcja *Bogumiła Widła*
Korekta *Joanna Kończak, Zofia Kozik*
Przygotowanie pliku do konwersji *Agnieszka Dwilińska-Łuc*

ISBN 978-83-10-12459-3

Plik wyprodukowany na podstawie pliku *Młody samuraj. Droga wojownika*, Warszawa 2012

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

www.naszaksiegarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl